

WYBORCZE MITY
WIELKIEJ PŁYTY

CÓRKA KSIĘDZA:
NIE JESTEM GRZECHEM

POLOWANIE
NA BIDENÓW

SUPERMOCE
PODSIADŁY

Kraków 20 – 26 września 2023 nr 39 (3872)

cena 13 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl

Obywatelka reżyserka

AGNIESZKA
HOLLAND



ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425



9 770041 480307

O TYM SIĘ MÓWI

SIEDEM SZCZĘŚĆ DANIELA OBAJTKA

O powiązaniach, spektakularnych awansach, majątkach i układach „skromnego wójta Pćmnia”, który został jedną z najważniejszych osób w kraju.

POLSKA NA PODSŁUCHU

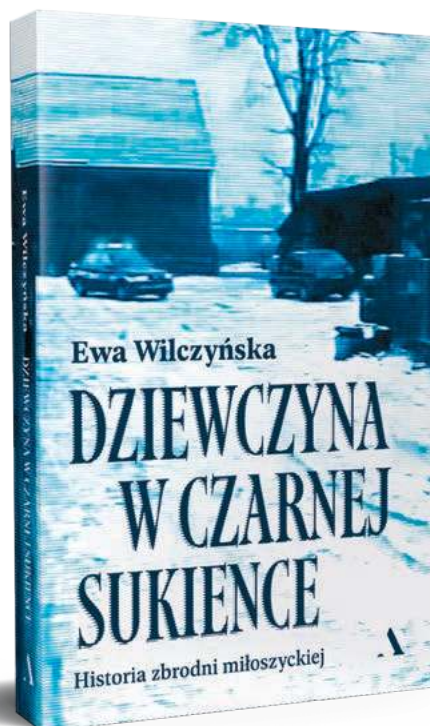
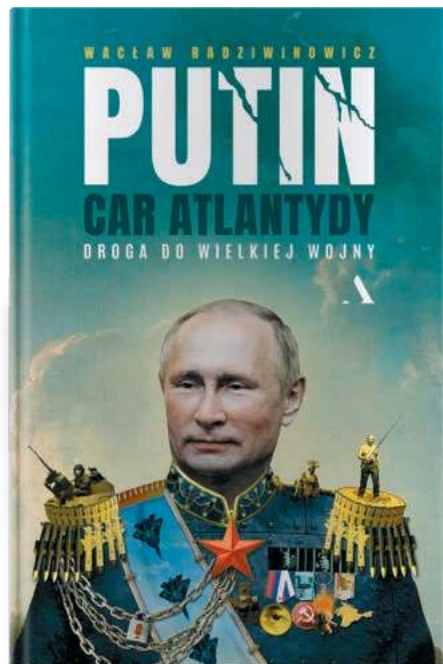
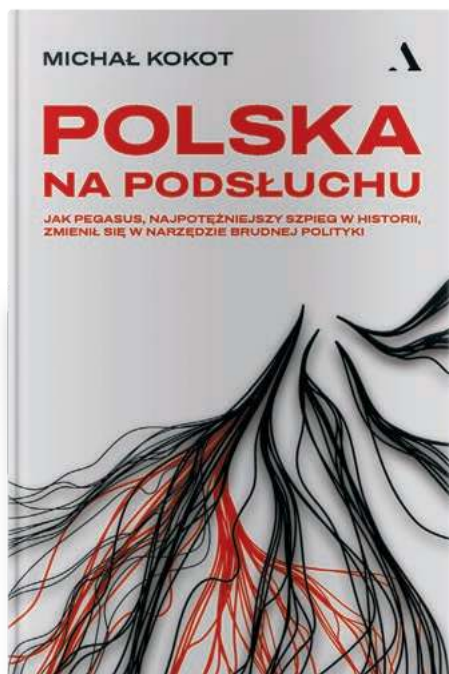
Jak aktualna władza bezprawnie wykorzystwała Pegasusa, narzędzie śledzące terrorystów i szpiegów, do bezwzględnej gry politycznej.

PUTIN CAR ATLANTYDY

Przez jakie punkty zwrotne przeszła Rosja zanim wydała wojnę Ukrainie? Fascynujący portret Putina rysuje wybitny znawca rosyjskiej duszy i polityki Wacław Radziwiłowicz.

DZIEWCZYNA W CZARNEJ SUKIENCIE

Historia zbrodni miłoszyskiej, za którą skazano Tomasza Komendę. Ewa Wilczyńska, opisując jedną z najbardziej tajemniczych spraw kryminalnych, stworzyła opowieść, która pozwala rozumieć i współczuć.



KS. ADAM

Boniecki: Święci malowani

WSPOMNIENIE SPRZED WIELU LAT. KSIĄŻKA, tłumaczona z francuskiego i zdjęcia. Właśnie zdjęcia były ważne: prawdziwe podobizny wielkich postaci Kościoła. Chodziło autorowi, o ile dobrze pamiętam, o to, że podobizny świętych korygujemy, osładzamy, upiększamy. Robimy to przez szacunek, może też popychani obawą, że prawdziwy obraz twarzy, prawdziwa sylwetka, mogą rozczarować.

Powiedzmy wprost: chodziło mu o to, że mogą nie nadawać się do kultu. Dlatego – tłumaczył – autorzy poprawiają, idealizują, wysładzają. Bo właśnie taki „wyidealizowany” wizerunek bardziej odpowiada wyobrażeniom o świętości. Świętość ogłoszona często więc bierze w nawias (czy po prostu skreśla) ludzkie rysy, ludzkie słabości świętego. Pamiętam beatyfikację Piotra Jerzego Frassatiego. Wystawiony portret nowego błogosławionego był – rzecz raczej wyjątkowa – powiększoną fotografią. Piotr Jerzy w górach. Piękne zdjęcie. Potem się dowiedziałem, że autentyczne zdjęcie zostało lekko poprawione. Na autentycznym zdjęciu trzymał w ręku fajkę. Fajka z beatyfikacyjnego wizerunku znikła. Może słusznie, może z okazji beatyfikacji nie powinno się promować palenia, które szkodzi zdrowiu i jest oznaką słabości bohatera. Z drugiej strony jednak, jeśli palił i został beatyfikowany... Nie wiem.

O zakazanych wizerunkach Bogwowa i świętych ludzi w Starym Testamencie przeczytałem ciekawy tekst. Jeden z pierwszych wielkich teologów ikony, św. Jan Damasceński (675-749) pisał: „W dawnych czasach Boga, który nie ma ciała ani (widzialnej) postaci, nigdy nie przedstawiano w sposób obrazowy. Teraz natomiast, odkąd Bóg stał się widzialny w ciele i przebywał z ludźmi, mogę przedstawić to, co z Boga stało się widzialne. Nie wielbię materii, wielbię jej Stwórcę, który ze względu na mnie sam stał się materią, w niej żył i przez jej pośrednictwo dokonał dzieła zbawienia, i zawsze będę okazywał szacunek materii, przez którą przyszło moje ocalenie”. Tu zgoda, lecz pozostaje pytanie o obrazy świętych. Piszę przecież o tym wszystkim w związku z obrazem beatyfikowanej



rodziny Ulmów, który pokazano nam w Markowej. Przeczytacie o nim w pasjonującym tekście Magdaleny Łanuszki „Zbanalizowana świętość”.

Myślę, że naprawdę boimy się ich prawdziwych twarzy. Odkryłem to po raz pierwszy, przeglądając się fotografii św. Teresy od Dzieciątka Jezus. Ta święta, która jako żywo nie miała w zakonie łatwo, na autentycznym zdjęciu nie ma, jak na wielu podretuszowanych fotografiach, lalkowatego uśmiechu. Zresztą sami zobaczcie prawdziwe zdjęcia innych ludzi uznanych za świętych.

To twarze, na które pracowali wiele lat. Tak, to są twarze piękne, ale pięknem specyficznym. Bo człowiek pisze na twarzy kronikę swojej duszy. Dlatego nie jest łatwo wykonać portret na uroczystość beatyfikacji, dlatego są one często banalne, słodkie, odczłowieczone.

Tu chcę podkreślić, że świętych ludzi jest jednak znacznie więcej niż tych wyniesionych na ołtarze. W moim życiu poznałem kilkoro ogłoszonych dziś przez Kościół błogosławionymi czy świętymi. Oczywiście, spotkanie takich osób jest szczęściem. Cokolwiek się dzieje z (oficjalną) pamięcią o nich, w mojej pozostają ludźmi, o których nie myślałem, że zostaną w Kościele tak wyróżnieni, lecz których wyróżnienie nie sprawiło mi problemu. Jednak szczególnie dla mnie ważne jest spotkanie świętych, których Kościół nie ogłosił, nie wyniósł na ołtarze i prawdopodobnie nigdy nie wyniesie. Dzieją się ciche cuda za ich wstawiennictwem, a co ważniejsze, przekazali wiarę, którą sami żyli, a przekazać wiarę nie jest łatwo, o czym z doświadczenia wiemy aż za dobrze.

Myślę, że zawsze będą święci niekanonizowani, bez względu na ewolucję kanonizacyjnych procedur. Myślę, że oni są ważni dla nas, ludzi słabej wiary. Nie zawsze w idealnej harmonii z kościelną władzą, nie zawsze słuchani przez masy, niekoniecznie złotouści, niekoniecznie duchowni, ale zawsze służący ludziom bardziej niż korzyściom własnym. Słudzy Pana doprowadzą świat do zbawienia, jakkolwiek będzie ono wyglądało. Nie bójmy się ich prawdziwych twarzy. ©P

TP ZA TYDZIEŃ W „TYGODNIKU” SPECJALNY DODATEK

Muzeum Historii Polski. Otwarcie

A w nim m.in. wywiad z jego dyrektorem, ROBERTEM KOSTRO:

„Z mojego doświadczenia wynika, że wbrew pozorom istnieje w Polsce możliwość wypracowania konsensusu co do rzeczy ważnych i fundamentalnych, na przykład związanych z naszą przeszłością. Fakt, że już za chwilę otwieramy w Warszawie Muzeum Historii Polski, jest tego najlepszym przykładem”.



„TYGODNIK” Z DODATKIEM W KIOSKACH OD ŚRODY 27 WRZEŚNIA

20 Polska piłka, czyli nieradość

MICHAŁ OKOŃSKI

Dziesięć lat temu Andrzej Duda zestawiał stan naszych gier zespołowych z kondycją naszego państwa. Żadne inne słowa przyszłego prezydenta nie okazały się równie skrzydlate.



46 Dokąd dowody poniosą

MARTA
ZDZIEBORSKA

Republikanie atakują Joeego Bidena i jego syna Huntera. Jednemu grożą impeachmentem, na drugiego szukają haków.



30 Jestem dzieckiem, nie grzechem

EWELINA BURDA

Przez lata milczałam, ukrywałam tajemnicę, która nie była moja. Dziś mówię to głośno, nie tylko dla siebie. Jestem Marta Glanc, córka księdza.



38 Przedostatni dźwięk

JACEK PODSIADŁO

Nie wolno na byle co dzwonić, to nie jest dzwonek poświęcony na byle co. Kim pan jest? Jest pan biskupem albo jakim ojcem świętym, żeby trzeba było dzwonić?



66 Obywatelka reżyserka

JAKUB MAJMUREK

„Zielona granica” wyrasta z całej biografii Agnieszki Holland – z długoletniej postawy, jaką konsekwentnie zajmowała wobec polskiej wspólnoty.



78 Emocje z krwi i kości

ROZMOWA
Z TINĄ OZIEWICZ,
PISARKĄ:

Sfera emocjonalna nigdy nie powinna być traktowana jako coś wadliwego lub niepożądanego. A jeśli jest bogata i złożona, to tylko dobrze.

OBRAZ TYGODNIA

6 Imigranci: daleko od Warszawy

MARCIN ŻYŁA

8-9 Komentarze

10-11 Wydarzenia

CZYTANIA

18-19 MAŁGORZATA KORDOWICZ,
O. WACŁAW OSZAJCA,
ABP GRZEGORZ RYŚ,
PIOTR SIKORA

KRAJ

20 Polska piłka, czyli nieradość
MICHAŁ OKOŃSKI

24 Równanie w dół
JERZY DZIEKOŃSKI o poziomie
kształcenia naszych lekarzy

27 Dwa machy na godzinę
MAREK RABIJ: Czy zakupy
polskiej armii mają sens?

28 Ugotowani jak żaby
ROZMOWA Z PROF. JERZYM
SZWAGRZYKIEM, BIOLOGIEM:
Drzewa tniemy szybciej niż rosną

WIARA

30 Jestem dzieckiem,
nie grzechem
EWELINA BURDA

34 Świętość zbanalizowana
MAGDALENA ŁANUSZKA
o obrazach beatyfikacyjnych

Z ODDECHEM

38 Przedostatni dźwięk
JACEK PODSIADŁO

ŚWIAT

42 Bawełna pije jak smok
MACIEJ AUGUSTYN
Z UZBEKISTANU: Istnienie tego
narodu zależało od jeziora,
które dziś znika

TEMAT TYGODNIKA

12 Mity wielkiej płyty

BEATA CHOMĄTOWSKA

Obiecując wyborcom
program rewitalizacji
wielkopłytowych osiedli,
rząd mimowolnie
ujawnił przekonanie
o istnieniu osobnego
gatunku człowieka.
Tego z bloków.

PIOTR KAMIONKA / REPORTER



FELIETONY

37 ZUZANNA RADZIK **59** ELIZA KĄCKA

76 OLGA DRENDĄ **77** PAWEŁ BRAVO

82 TOMASZ STAWISZYŃSKI

82 BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE: AGNIESZKA HOLLAND
FOT. STEPHANE CARDINALE/CORBIS/GETTY IMAGES

Redaktor prowadzący: MARCIN ŻYŁA

46 Dokąd dowody poniosą
MARTA ZDZIEBORSKA

49 Czy Laima przyniesie
szczęście Ukraińcom
TOMASZ OTOCKI Z ŁÓTWY
o wielkim powrocie pewnej
piosenkarki

HISTORIA

54 Chusta naszej niewidomej
KALINA BŁAŻEJOWSKA
o eksterminacji pacjentów
szpitali psychiatrycznych
przez Niemców

58 Markowa: symetrii
nie było
WOJCIECH PIĘCIAK

NAUKA

60 Sąd nad antropocenem
ROZMOWA Z JANEM
ZALASIEWICZEM,
PALEOBIOLOGIEM:
To nie polityczny gest, tylko
geologiczna diagnoza stanu
planety

KULTURA

66 Obywatelka reżyserka
JAKUB MAJMUREK

70 Ludzie w lesie
ANITA PIOTROWSKA
o „Zielonej granicy”
Agnieszki Holland

72 Debiut i pastisz
LEKTOR o książce Roberta
Walsera „Wypracowania
Fritza Kochera”

72 Supermoce Dawida
OLGA DRENDĄ: Dawid
Podsiadło zapracował na
sukces własnym talentem,
konsekwencją i pokorą

ZMYŚŁY

78 Emocje z krwi i kości
ROZMOWA Z TINĄ OZIEWICZ

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Drugie oblężenie Timbaktu [Strona świata]

W Mali, gdzie dziesięć lat temu zbrojne powstanie podnieśli
afrykańscy dżihadysty, dojrzewa nowa wojna
– pisze **WOJCIECH JAGIELSKI** | TygodnikPowszechny.pl/stronaswiata

Co oglądać na VoD

„Prawy chłopak”: memiczny portret radykała czy empatyczna
opowieść? **ANITA PIOTROWSKA** recenzuje najlepsze filmy na VoD
| TygodnikPowszechny.pl/weekend

Serwisy specjalne: patrz szerzej

POLSKA SZKOŁA

Uczniowie, nauczyciele i lekcje do odrobienia

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/SZKOŁA

f /TYGODNIKPOWSZECHNY • t /TYGODNIK • i /TYGODNIK • y YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY



IMIGRANCY: DALEKO OD WARSZAWY

Prawo i Sprawiedliwości bardzo zależało na wizerunku formacji sprzeciwiającej się imigrantom z państw odległych kulturowo. Rozkręcająca się wciąż „afera wizowa” może spowodować przegraną obozu władzy.

MARCIN ŻYŁA

POWYŻEJ:
Medyka, 28 lutego 2022 r.

Z KOŃCEM LATA GĘSTNIEJĄ PORANNE mgły nadciągające znad Jeziora Orawskiego, więc prowadząc samochód trzeba uważać bardziej niż zwykle – sylwetki ludzi wylaniają się w ostatniej chwili. Idą poboczem, zwykle w małych grupach, nie zważając na mijające ich tuż obok pojazdy. Niektórzy mają do pokonania ponad 10 kilometrów. Pieszo, dwa razy dziennie.

Tutaj, pod wsią Jabłonka niedaleko granicy ze Słowacją, dobrze widać, ile dzieli toczony w Warszawie dyskusje o imigrantach od rzeczywistości. Młodzi ludzie idący drogą pochodzą

z Afryki i południowo-wschodniej Azji. Pracują w miejscowym zakładzie mięsnym, lecz zakwaterowano ich na końcu sąsiedniej wsi, w nieczynnym od przystąpienia Polski do strefy Schengen budynku Straży Granicznej. Wśród jadących tędy samochodów jest wiele na austriackich numerach – to mieszkańcy orawskich wsi, którzy jak co tydzień spieszą do pracy w Austrii (Wiedeń jest stąd niecałe 300 kilometrów).

Życie w Jabłonce – której migranci o innym kolorze skóry, choć jeszcze niezintegrowani z lokalną społecznością, stali się już częścią – toczy się

w rytmie i z emocjami dużo spokojniej- szymi niż te w telewizji. Na kilka tygodni przed polskimi wyborami tzw. afery wizowa skomplikowała bowiem sytuację Zjednoczonej Prawicy, opozycji zaś – głównie Koalicji Obywatelskiej – niespodziewanie wsunęła w dłonie oręż. Kłopot w tym, że i jedni, i drudzy tylko z pozoru spierają się o politykę migracyjną, skupiając się raczej na podgrzewaniu emocji.

Szkoda, bo sprawa – ujawniona przez dziennikarzy Onetu i „Gazety Wyborczej” – dotyczy naszej przyszłości w stopniu większym niż inne tematy tej kampanii. Przypomnijmy: powodem sierpniowej dymisji wiceministra spraw zagranicznych Piotra Wawrzyka miało być jego uczestnictwo w sieci nielegalnego przerzutu imigrantów z Azji i Afryki – do Europy, a nawet Stanów Zjednoczonych. Co więcej, w niektórych krajach łapówki miały umożliwiać przyspieszenie wydawania polskich wiz (ich załatwianiem np. w Indiach zajmują się wyspecjalizowane agencje; MSZ zapowiedziało już rewizję ich działalności). Warto też dodać, że – wbrew sugestiom zawartym w *de facto* antymuzułmańskim spocie wyborczym KO – nie ma na razie dowodów na to, iż za sprawą tych nieprawidłowości do Polski dostali się ludzie zagrażający naszemu bezpieczeństwu.

Wiemy jednak, że MSZ depeszowało do naszych ambasad w Afryce i Azji, naciskając na zwiększenie liczby wydawanych wiz – miało na tym zależeć polskiemu biznesowi oraz sektorowi rolniczemu. W świetle afery inny kontekst zyskała też sprawa z początku lata, gdy po fali krytyki rząd wycofał się z pomysłu rozporządzenia, które w 21 państwach Azji całkowicie wyłączałoby konsulów z procesu przyznawania wiz (wnioski miały być ślone od razu do Warszawy). Żadna z tych informacji nie powinna być zaskoczeniem – zakłady takie jak ten w Jabłonce pilnie potrzebują pracowników. I nie wszystkie traktują ich w sposób godny. Media informowały niedawno m.in. o budowie fabryki pod Szczecinem, na której imigranci z Filipin pracowali po 12 godzin dziennie, przez 6 dni w tygodniu, a Państwowa Inspekcja Pracy była w tej sprawie bezsilna, bo zatrudniono ich na umowy-zlecenia. Liczba osób pracujących na podstawie takich umów w ostatnim czasie gwałtownie wzrosła – powodem mogą być właśnie migranci.

Zjednoczonej Prawicy bardzo zależało, aby do dnia wyborów zachować wizerunek formacji twardo sprzeciwiającej się

Kraj otwarty na migrację

WBREW SWEJ OFICJALNEJ narracji PiS prowadzi bardzo otwartą politykę migracyjną. W czasach rządu Mateusza Morawieckiego napływ pracowników z zagranicy jest rekordowy i właściwie co roku wzrasta. W 2015 r. wydano 74 tys. zezwoleń na pracę dla cudzoziemców spoza UE. W ubiegłym – było to już 365 tys., w tym ok. 140 tys. dla obywateli państw muzułmańskich, chociaż przed tymi ostatnimi PiS przestrzega szczególnie głośno i alarmistycznie.



PIOTR KAMIONKA / REPORTER

TRZEBA JEDNAK ZAZNACZYĆ, że liczba zezwoleń na pracę może być myląca, gdyż nie wszystkie osoby je otrzymujące finalnie przyjeżdżają do Polski. Dokładniejsze są dane Urzędu ds. Cudzoziemców, publikowane na portalu migracje.gov.pl. Według nich obecnie zezwolenie na pobyt w Polsce ma 804 tys. osób spoza UE (w tym 486 tys. Ukraińców). To ponad pięciokrotny wzrost w stosunku do 2015 r.

AKTUALNIE WAŻNE zezwolenie na pobyt w Polsce posiada ok. 56 tys. obywateli państw muzułmańskich, czyli znacznie mniej, niż wynikałoby to z liczby wydanych zezwoleń na pracę – jednak bez porównania więcej niż na początku rządów PiS. Liczba przebywających u nas obywateli Indii wzrosła siedmiokrotnie (z 2350 do 16 652 osób), Banglijczyków szesnastokrotnie (obecnie jest ich 3,1 tys.), a Uzbeków czternastokrotnie (do 7,1 tys. osób).

W OSTATNIM CZASIE znacznie wzrosła też liczba imigrantów z państw Afryki. Zezwolenie na pobyt ma obecnie prawie 2 tys. Nigeryjczyków (w 2015 r. niespełna pół tysiąca) oraz ponad tysiąc Marokańczyków (w 2015 r. – 263).

POLSKA STAŁA SIĘ liderem w UE pod względem przyjmowania imigrantów ekonomicznych. Według danych Komisji Europejskiej w 2021 r. w całej UE wydano 2,9 mln pierwszych zezwoleń na pobyt. Jedną trzecią z nich (967 tys.) wydała Polska. Niemcy w 2021 r. zrobiły to 186 tys. razy, Francja 285 tys., Hiszpania 372 tys., a Włochy 274 tys. © PW

migrantom z Afryki i Bliskiego Wschodu, ale otwartej na uchodźców (a jeszcze przed rosyjską inwazją także na pracowników) z Ukrainy. „Afera wizowa” może spowodować jej przegraną. Nic dziwnego, że szybko zareagowali politycy opozycji, w tym, w orędziu telewizyjnym, marszałek Senatu Tomasz Grodzki. Gdyby nie on, informacja o aferze nie pojawiłaby się w telewizji publicznej w ogóle – „Wiadomości” TVP ją przemilczały, otwierając serwis korespondencją z „obłożonej przez imigrantów” Lampedusy. Sprawa wciąż jednak eskaluje – sam prezydent Andrzej Duda był zmuszony odpowiadać na pytania o domniemany szantaż ze strony urzędników MSZ w sprawie ambasadorskich nominacji.

Marszałek Grodzki ma oczywiście rację mówiąc, że „afery wizowa” może nadzarpnąć wizerunek Polski na Zachodzie. Jednak na kilka tygodni przed wyborami ani wyciszającej ją władzy, ani podkreślającej ją opozycji nie chodzi przecież o nieprawidłowości w procedurach. O wygranej w wyborach zdecydują emocje – a na ewentualną rewizję strategii migracyjnej przyjdzie nam jeszcze poczekać. Niezależnie od tego, kto będzie rządził po jesieni, imigrantów z Afryki i Azji będzie w Polsce tylko przybywać, a narracja o tym, że przyjmujemy jedynie „bliższych” nam Ukraińców, szybko straci sens. Władza już teraz powinna wprowadzić czytelne kryteria wydawania wiz pracowniczych – a także odpowiedzieć na pytania (i przeprowadzić w tej kwestii kampanię społeczną), kogo, dlaczego i w jakich miejscach będziemy w najbliższych latach potrzebować.

Jeśli gdzieś jest nadzieja na schłodzenie emocji i spokojne spojrzenie na imigrantów, znajduje ją nie w mediach czy wśród polityków – a nawet nie w dużych, anonimowych dla nas miastach – ale właśnie choćby na polsko-słowackim pograniczu. Do mieszkających pod Jabłonką migrantów czasem dotrze ksiądz-Afrykanin z Krakowa. Czasem dostrzeże się ich w zajeździe we wsi Chyżne, gdy w weekend odpoczywają po tygodniu pracy. W okolicy, w której nawet jedna czwarta Polaków wciąż pracuje w Austrii, są to obrazy znane z lokalnego doświadczenia; kilkanaście lat temu, po pierwszym wyjeździe na Zachód, przeżywano przecież podobne sytuacje.

A kiedy i tutaj zacznie się integracja z mieszkańcami? Jeden z miejscowych księży ma już pomysł: chce zorganizować „afrykański” turniej piłki nożnej. ©



Indie chcą grać w I lidze

MAREK RABIJ

ZAKOŃCZONY NIEDAWNO SZCZYT G20 w New Delhi miał nie tylko zaprezentować światu nowe mocarstwowe oblicze gospodarza, ale też zaowocować pierwszymi decyzjami, które legitymizowałyby miejsce Indii w gronie najważniejszych państw świata. O ile to pierwsze z grubsza się udało, o tyle w przypadku drugiego trudno mówić o sukcesie.

Indie długo szykowały się do tego szczytu. Z terenów przylegających do budynków, w których miały się odbywać posiedzenia, wysiedlono tysiące mieszkańców slumsów, a ich domy zrównano z ziemią.

Tuż przed rozpoczęciem obrad na powierzchni Księżyca wylądował też indyjski łazik. Na ten sukces pracowały setki naukowców, ale w narracji premiera Narendry Modiego (na zdjęciu) stało się to właściwie zbiorowym osiągnięciem 1,4 mld Indusów i ich ojczyzny. Przed lądowa-

niem Indie dokonały też skoku. Tylko w pierwszych dwóch dekadach tego stulecia ich nominalny PKB urosł z 468,4 mld do 2,6 bln dolarów, a średnia przewidywana długość życia – z 62,6 do 70,1 lat. Dziś pretendują już do roli ambasadora globalnego

Południa w klubie najbogatszych. Szczyt G20 odbywał się pod hasłem będącym parafrazą sanskryckiej frazy „*vasudhaiva kutumbakam*”, co można przetłumaczyć jako „świat będący jedną rodziną”. New Delhi przekonuje, że reguły gospodarki można zmienić na lepiej odpowiadające potrzebom biedniejszych, ale w tym celu świat potrzebuje nowego przywództwa. Globalni przywódcy jednak nie oddadzą Indiom tego miejsca gratis. Przywódca Chin Xi Jinping delhijski szczyt G20 po prostu zlekceważył. ©

Więcej: powszech.net/bharat



DOMENA PUBLICZNA / WIKIPEDIA

NA PUNKTY

ORĘDZIA

Wedle rozporządzenia Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji z 1996 r. prezydent, premier oraz marszałkowie Senatu i Sejmu mogą w mediach publicznych „w sposób bezpośredni prezentować oraz wyjaśniać politykę państwa”. Marszałek Grodzki przekonywał więc w TVP, że w ramach „afery wizowej rządu PiS (...) setki tysięcy migrantów napłynęły do naszej ojczyzny”, natomiast marszałek Witek replikowała, że „gdyby dziś rządził Tusk, Polki nie wychodziłyby po zmroku z domu, a rodzice baliby się posyłać dzieci same do szkoły czy na basen. Na polskich ulicach płonęłyby samochody, a poruszanie się komunikacją miejską byłoby nie lada odwagą”.

SPOTY

W sumie lepsze orędzia niż spoty wyborcze. W nowej reklamie PiS pojawiły się zdjęcia odtajnionych planów użycia Sił Zbrojnych zatwierdzonych przez b. szefa MON Bogdana Klicha, z których wynika, że linia obrony Polski w razie ataku ze wschodu miała się znajdować na linii Wisły.

WIECE

W sumie lepsze spoty niż wystąpienia na wiecach czy konwencjach partyjnych. „Oni są sektą” – powiedział prezes Kaczyński o PO na jednym z nich, a premier Morawiecki nazwał Michała Kołodziejczaka „Judaszem polskiej wsi”. ©



Kościół i brak odpowiedzialności

ARTUR SPORNIAK

DIECEZJA KALISKA PRZEGRZAŁA proces o zadośćuczynienie dla Bartłomieja Pankowiaka – jednego z bohaterów filmu braci Sekielskich „Zabawa w chowanego” – za krzywdy wyrządzone mu w dzieciństwie przez ks. Arkadiusza Hajdasza (wydalonego w zeszłym roku z kapłaństwa). Sąd Apelacyjny w Łodzi utrzymał w mocy wyrok z maja 2022 r., przyznający poszkodowanemu 300 tys. zł zadośćuczynienia. Diecezja musi doliczyć do tego ustawowe odsetki liczone

od chwili złożenia pozwu w czerwcu 2019 r., które w tej chwili wynoszą 105 tys. zł.

Ta sprawa ma trzy aspekty: materialny, koszty społeczne oraz patologię, na którą wskazuje. Biskup kaliski Damian Bryl odwołując się od wyroku pierwszej instancji, naraził diecezję na o wiele wyższe koszty. Bronienie się przed wypłatą zadośćuczynienia było z góry skazane na porażkę. Od czasu precedensowego wyroku Sądu Najwyższego, który w marcu 2020 r. utrzymał

w mocy zasądzenie miliona złotych zadośćuczynienia od Towarzystwa Chrystusowego dla kobiety gwałconej w dzieciństwie przez członka zakonu, przełożeni kościoła muszą liczyć się z tym, że prawnie odpowiadają za szkody wyrządzone przez podległych im duchownych na takiej samej zasadzie, na jakiej pracodawca odpowiada za czyny pracowników.

O wiele poważniejszym aspektem jest zgorznienie, jakie wywołuje takie unikanie odpo-

wiedzialności za krzywdy wyrządzone w Kościele, przy jednoczesnym zapewnianiu, że te krzywdy w żaden sposób nie są podważane. Co jest podstawą tego pokrętnego myślenia?

Biskup ma w kościele katolickim absolutną władzę (wykonawczą, ustawodawczą i sądowniczą), za którą nie ponosi żadnej odpowiedzialności. Rozliczać go może jedynie papież, co czyni w wyjątkowych tylko okolicznościach. Takie funkcjonowanie demoralizuje. Nie jest zatem dziwne, że biskupi próbują unikać odpowiedzialności także na gruncie prawa świeckiego. Ta strukturalna patologia tym bardziej wymaga zatem pilnej reformy. ©



Moment oddalenia

WOJCIECH PIĘCIAK

CZEKA NAS FRONTALNE ZDERZENIE Kijowa z Warszawą. Po tym, jak 15 września Komisja Europejska nie przedłużyła embarga na sprzedaż ukraińskiego zboża oraz nasion oleistych w pięciu państwach sąsiadujących z Ukrainą, i po tym, jak Polska, Słowacja oraz Węgry (Rumunia miała podjąć decyzję 18 września) wprowadziły własne embarga. Z Komisji płyną wprawdzie sygnały o deeskalacji – Bruksela nie podejmuje kroków przeciw trzem krajom – za to ukraiński minister rolnictwa zapowiada, że Kijów wystosuje przeciw nim pozew na forum Światowej Organizacji Handlu, i sugeruje, że będą działania odwetowe wobec importu z Polski owoców i warzyw.

Wcześniej władze w Kijowie łatwo, zbyt łatwo sięgały w tym sporze po retoryczne hiperbole, a nawet dezinformacje. Prezydent i premier tweetowali, że Polska blokuje ukraiński eksport w świat – gdy w istocie od kwietnia br., podczas obowiązywania embarga, tranzyt rolny przez Polskę znacząco wzrósł. Bo chroniąc własne rolnictwo przed konkurencją z Ukrainy, jej sąsiedzi nie blokowali tranzytu na inne rynki Europy, a także w Azji i Afryce.

Skąd w ogóle ten konflikt? Błędem pierwotnym, który leży u źródeł tego oddalenia Kijowa od Warszawy, była decyzja podjęta po 24 lutego 2022 r. przez Unię (wtedy zgodnie, pod wrażeniem inwazji), by w sferze rolnictwa włączyć Ukrainę do unijnego rynku z dnia na dzień, bez okresów przejściowych. Ignorując to, jak wielką konkurencją jest ukraińskie rolnictwo, a także fakt, że nie podlega ono unijnym przepisom, które, jak chce żart, regulują nawet kształt banana. Jakby założono, że ludzie to anioły i machną ręką na reguły rynku – te kazały wszak sprzedawać produkt tuż za granicą (a z drugiej strony: taniej kupić), skoro można, zamiast mozolnie ślać go w świat (swoje mogły zrobić też mechanizmy korupcyjne, które na Ukrainie cały czas mają się dobrze).

Szkoda, że Kijów jest głuchy na argument sąsiadów – ich obawę przed destabilizacją własnego rolnictwa (niektórzy mówią nawet o likwidacji jego segmentów). Podobnie Bruksela, która bardziej pomogłaby Ukrainie, inwestując w usprawnienie tranzytu.

Tego nie zmieni wynik wyborów w Polsce, jakkolwiek by on był. ©P



ARCHIWUM PRYWATNE

OMAR BENSURITY,
KOORDYNATOR
POMOCY
HUMANITARNEJ:

*Powódź
zabrała
całą rodzinę*

MARCIN ŻYŁA: 10 września we wschodnią Libię uderzył cyklon Daniel, wywołując apokaliptyczną powódź. Jak wygląda sytuacja po tygodniu?

OMAR BENSURITY: Z Bengazi monitoruję sytuację na terenie, który w dużej mierze został właściwie zmyty – chodzi o miejscowości Darna, Susa, Al-Bajda oraz ich okolice. Fragment Darny wygląda tak, jakby wcześniej nie było tu miasta. Władze mówią o ok. 7 tys. ofiar śmiertelnych i 10 tys. osób zaginionych. Te liczby na pewno się zmieniają, bo wiele ciał nie wydobyto jeszcze z błota i ziemi. Ludzie, którzy stracili domy, śpią pod gołym niebem. Nawet ratownikom brakuje sprzętu i leków.

Jak duże jest ryzyko wybuchu epidemii?

Olbrzymie – woda na dużym obszarze jest skażona. Na szczęście działają lotniska w Bengazi i Tobruku. Wciąż jednak czekamy na dostawy szczepionek. W tej chwili trwa ewakuacja Darny. Chodzi właśnie o zagrożenie epidemią. Z dnia na dzień wzrasta liczba osób przesiedlonych, które muszą szukać schronienia w innych miejscowościach.

W Libii obok siebie mieszkają często całe wielopokoleniowe rodziny. Zdarza się, że od ich nazwisk nazywano okolice.

To prawda, nasza struktura społeczna oparta jest na więzach krwi. Słyszeliśmy o rodzinie, której wszyscy członkowie, ok. 30 osób, zginęli podczas powodzi. Z innej, o której wiemy, ocalały tylko dwie osoby. Są w głębokiej traumie, mają poczucie winy, że przeżyli. Osieroconych zostało wiele małych dzieci – na razie jedyne, co można zrobić, to opiekować się nimi w zaadaptowanych na ten cel budynkach szkół. Powódź będzie miała długofalowe następstwa, jeśli chodzi o zdrowie psychiczne Libijczyków.

Ale w pewien sposób tragedia zbliżyła nas do siebie. Ludzie przyjeżdżają z pomocą z całego kraju, nikt nie pyta o religię, politykę czy przynależność etniczną. Ta powódź może zjednoczyć Libijczyków. ©P

OMAR BENSURITY jest reprezentantem Polskiej Misji Medycznej w Libii.

Jej działania można wspomóc przekazując darowiznę na konto nr 62 1240 2294 1111 0000 3718 5444.



IGOR TKACHENKO / EPA / PAP

Trafiony rosyjską rakietą terminal zbożowy w obwodzie odeskim, 21 lipca 2023 r.

Więcej zarobimy, więcej wydamy

NAJNIŻSZA KRAJOWA ■ Rada Ministrów przyjęła rozporządzenie w sprawie wysokości minimalnego wynagrodzenia za pracę w przyszłym roku. Od 1 stycznia wyniesie ono 4242 zł brutto (czyli 3222 zł na rękę), a minimalna stawka godzinowa wzrośnie do 27,70 zł. W lipcu przyszłego roku nastąpi kolejna podwyżka; wtedy minimalne wynagrodzenie zwiększy się do 4300 zł, a stawka godzinowa – do 28,10 zł.

Podczas zwołanej z tej okazji konferencji prasowej premier Morawiecki podkreślał: „gdy przejmowaliśmy stery rządów, to płaca minimalna wynosiła 1750 zł”. Konferencja miała nawet hasło przewodnie: „Rząd blisko ludzi”. Tym razem chodzi jednak wyłącznie o kielbasę wyborczą. Rząd musi waloryzować minimum płacowe ze względu na inflację powyżej progu 5,5 proc. – nakazuje to obowiązująca od 21 lat ustawa o minimalnym wynagrodzeniu za pracę. W przyszlórocznym budżecie założono inflację na poziomie 6,5 proc. Płace pójdą jednak w górę gwałtowniej i to już czysty ułkon w stronę najgorzej sytuowanych wyborców. W porównaniu z lipcem tego roku, latem 2024 najniższe wynagrodzenie będzie wyższe aż o 19,4 proc.

Rząd szacuje, że najniższą pensję krajową pobiera 3,6 mln osób. Przy okazji obłowi się jednak i budżet wraz z ZUS, bo za sprawą podwyżki pensji minimalnej łączne koszty zatrudnienia pracownika wzrosną w przyszłym roku z 4,2 do 5,1 tys. zł. Licząc z PIT, obciążenie podatkowe jednego etatu wyniesie już 1,9 tys. zł. Wyższe zarobki mają też napędzić słabnącą konsumpcję, a zatem przełożyć się na wpływy z VAT. Podwyżkę odczuwają wreszcie samozatrudnieni, którzy od lutego zapłacą wyższe składki ZUS.

Stratna będzie również budżetówka. W wielu jej sektorach, choćby edukacji, średnie wynagrodzenie niebezpiecznie zbliża się już do krajowego minimum płacowego.

© © MAREK RABIJ

Chodzi o wodę, nie tylko o strach

MIGRANCI ■ „Jesteśmy zmęczeni” – mówią zgodnym głosem, choć z różnych powodów, migranci oraz mieszkańcy włoskiej wyspy Lampedusa. Ci pierwsi – bo za nimi niebezpieczna podróż przez morze. Ci drudzy – bo już od dwóch dekad ani w Rzymie, ani w Brukseli nie mogą się doprosić, by wysłuchali ich politycy.

W minionym tygodniu znowu wyszli na ulicę, by zaprotestować. Powodem był plan zbudowania w miasteczku tymczasowego obozu namiotowego dla migrantów – jedyny sposób, aby pomieścić 9 tys. ludzi, którzy dotarli na wyspę w ciągu zaledwie tygodnia. Dziewięć tysięcy – to więcej niż stałych mieszkańców Lampedusy. Włosi domagali się też pilnego spotkania z przedstawicielami lokalnych władz na Sycylii. Ich protest zbiegł się w czasie z próbami sforsowania ogrodzenia ośrodka recepcyjnego przez migrantów – co można, jak polska telewizja publiczna, która chyba pierwszy raz wysłała na wyspę dziennikarzy, uznać za dowód agresywności przybyszów. Można też, jak uznała telewizja włoska, zwrócić uwagę na panujący na wyspie upał i fatalne warunki w samym ośrodku.

Żadnej „inwazji imigrantów” na Europę oczywiście nie ma. Od początku roku do Włoch dotarło jednak przez Morze Śródziemne prawie 126 tys. ludzi, niemal dwukrotnie więcej niż w tym samym okresie poprzedniego roku. Nie do końca

wiadomo, co jest tego przyczyną (w ostatnich dniach mogła się do tego przyczynić tragiczna powódź w Libii). Trend jest jednak tak wyraźny, że w celu uspokojenia nastrojów na wyspie, na życzenie premier Włoch Giorgii Meloni, poleciała tam Ursula von der Leyen, przewodnicząca Komisji Europejskiej.

Von der Leyen, która ma zamiar ubiegać się o drugą kadencję na tym stanowisku, ogłosiła na Lampedusie 10-punktowy plan ulżenia sytuacji Włoch. Obejmuje on m.in. możliwą unijną misję morską, szybszą deportację osób, których wnioski o azyl odrzucono, oraz uruchomienie tzw. korytarzy humanitarnych dla uchodźców. Szefowa Komisji chce też, aby urzędnicy Fronteksu, unijnej agencji ochrony granic, brali udział w procedurach azylowych, i aby zostały one przyspieszone (w tej chwili – biorąc pod uwagę, że obciążenie urzędników jest olbrzymie – włoskie procedury są chwalone nawet przez promigranckie organizacje pozarządowe).

Przewodnicząca von der Leyen chce też zwiększenia nadzoru elektronicznego Morza Śródziemnego – wysłania na wodę większej liczby dronów. „To my będziemy decydować o tym, kto przybywa do Europy, a nie przemytnicy” – mówiła.

Czy ten plan zmieni coś w sytuacji na Lampedusie, pokażą najbliższe miesiące.

© © MARCIN ŻYŁA



ALESSANDRO SERRANO / AFP / EAST NEWS

Lampedusa, 14 września 2023 r.



Pierwsze
Radio
Informacyjne

**DZIENNIKARZE
I AUTORZY „TP”**

co tydzień goszczą

w programie „Światopodgląd” Agnieszki Lichnerowicz w Radiu Tok FM. Słuchaj od wtorku do piątku o godzinie 15.00. Zapraszamy!

95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław

96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź

97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań – www.tokfm.pl

Łączy nas piłka. Nie futbolowa, ta trochę mniejsza

SIATKÓWKA ■ Daleko jej do popularności piłki nożnej, ale to i tak jeden z najbardziej rozpoznawalnych sportów zespołowych, z potencjałem sięgającym 900 mln widzów na świecie. Wiadomość o zdobyciu przez Polaków mistrzostwa Europy miała więc szansę wcisnąć się między relacje z futbolowych stadionów.

Wiele dyscyplin sportowych walczy dziś o przetrwanie. Siatkówce też jest ciężko, ale trafił się jej dobry ratownik. To Polska, gdzie sport ten stał się fenomenem kulturowym. Pełne trybuny na meczach reprezentacji (już nie tylko męskiej), energetyczna publiczność i pozytywne wibracje napędzane przekonaniem o możliwym sukcesie – zwłaszcza ten ostatni element odróżnia kibica siatkówki od jego futbolowego odpowiednika, skazanego na wieczną frustrację. Ciekawe jest też i to, że nasze trybuny gromadzą cały wachlarz wiekowy, a dużą grupę stanowią ludzie w okolicach wieku emerytalnego. Nie ma tu wulgarnych przyśpiewek, bo trudno o złe emocje, jeśli reprezentacja gromi cały świat, a w finale Ligi Mistrzów spotykają się dwie polskie drużyny. Na dodatek z Jastrzębia i Kędzierzyna-Koźla, co też jest charakterystyczne



Reprezentacja Polski w siatkówce po powrocie z mistrzostw Europy, Warszawa, 17 września 2023 r.

– to nie jest sport polskich metropolii, ale średnich miast, które tym sportem żyją.

Naszej siatkówce nie było łatwo. Mieliśmy fundament w postaci złotej drużyny Huberta Wagnera, ale to były lata 70. Związkiem co parę lat wstrząsały afery i nawet rok 2014, kiedy wywalczyliśmy po latach mistrzostwo świata, w dodatku przed polskimi kibicami, też przyniósł proces o korupcję. Nigdy jednak publiczność nie miała wątpliwości co do samych zawodników – to ludzie na poziomie, zżyci z sobą, których ciężko sobie wyobrazić, jak kłócą się o premie.

Sam związek zresztą też przeszedł długą drogę. Na jego czele stoi ledwie 46-let-

ni Sebastian Świderski, wicemistrz świata z 2006 r. Podczas ceremonii wręczenia medali w Rzymie widać było, jak odróżniał się wiekiem od innych działaczy światowej siatkówki, co też może tłumaczyć, dlaczego właśnie Polska ją ratuje.

Faktem jest bowiem, że poza naszym krajem, Włochami i Brazylią emocje wokół tego sportu rosną tylko przy okazji mistrzostw czy igrzysk. Nas wyróżnia także i to, że posiadamy na tle świata bardzo nowoczesne hale, a kluby mają pieniądze, by ściągać najlepszych zawodników. To pozwala na narodową dumę. Cóż, niech choć piłka nas łączy. © MAREK KĘSKRAWIEC

NASA poszuka wyjaśnień rzekomych wizyt kosmitów

PLANETA ZIEMIA ■ Dyrektor ds. UFO – to nowe stanowisko stworzone przez NASA. Formalnie rzecz biorąc Mark McInerney będzie nosił tytuł dyrektora badań UAP (niezidentyfikowanych zjawisk anormalnych), ale wszyscy wiedzą, że chodzi o latające talerze.

Nominacja jest konsekwencją stworzonego przez agencję

raportu o UAP. To 33-stronicowy dokument, nad którym od roku pracowało 16 ekspertów, w tym emerytowany astronauta Scott Kelly i znany astrobiolog David Grinspoon.

Zespół przyjrzał się obserwacjom niewyjaśnionych zjawisk dokonanych m.in. przez amerykańskich pilotów wojskowych. Powołane roku temu przez Pentagon biuro zbierające podobne relacje w maju miało ich już około 800.

W NASA kosmicznej sensacji nie było. „Zespół nie znalazł dowodów na to, że UAP są pochodzenia pozaziemskiego” – stwierdził szef agencji Bill Nelson. Większość zaobserwowanych obiektów okazało się balonami, meteorami czy

śmieciami niesionymi wiatrem. Niektóre mogą stanowić tajne drony czy broń. Pozostaje jednak niewielki odsetek takich, których nie udało się zidentyfikować. Autorzy raportu wezwali więc agencję, by ta wsparła próby naukowego zbadania tych zjawisk.

NASA początkowo utrzymywała nazwisko nominata w tajemnicy. „Nauka musi być wolna, musi przejść prawdziwy, rygorystyczny i racjonalny proces, a do tego potrzebna jest swoboda myślenia” – tłumaczył z-ca administratora NASA ds. badań Dan Evans. Przeszkadzać mieli zbył rozemocjonowani inter-nauci. „Groźby i nękanie, których doświadczyli niektórzy

z naszych panelistów, są nie do przyjęcia” – mówił Evans.

Emocje podgrzały np. zeznania przed Kongresem byłego oficera amerykańskiego wywiadu Davida Gruscha, który w lipcu stwierdził, że rząd USA jest w posiadaniu obcych pojazdów oraz zwłok kosmitów. Pentagon, rzecz jasna, zaprzeczył.

Jeszcze bardziej osobliwe zeznania złożył w zeszłym tygodniu przed meksykańskim Kongresem dziennikarz Jaime Maussan. Pokazał dwie mumie, które jego zdaniem są szczątkami kosmitów. Peruwiancy eksperci już dwa lata temu uznali, że to fałszywki z majstrowane m.in. z kości lam.

© WOJCIECH BRZEZIŃSKI

TEMAT
TYGODNIKA

MITY WIELKIEJ PŁYTY

Obiecując wyborcom program rewitalizacji wielkopłytowych osiedli, rząd mimowolnie ujawnił przekonanie o istnieniu osobnego gatunku człowieka. Tego z bloków.

BEATA CHOMĄTOWSKA

TRZY DEKADY TEMU HOMO BLOCUS utożsamiano z *homo sovieticus*. Choć to akurat też nieprawda. Bowiem bloki – a także niektóre technologie do ich produkcji, jak właśnie wielka płyta, którą premier Mateusz Morawiecki niedawno mylnie utożsamiał z wszystkimi blokowymi osiedlami – zrodziły się przede wszystkim na Zachodzie. I stamtąd rozpoczęły triumfalny pochód przez Polskę.

Bloki, blokowiska, blockerski

Na początku lat 70. XX w. Edward Gierek, obejmując władzę w kraju jako pierwszy sekretarz partii komunistycznej, zapowiedział wzniesienie w latach 1970-

-1990 siedmiu milionów mieszkań. Takie tempo oznaczało konieczność szybkiego uprzemysłowienia budownictwa. Dotąd z prefabrykatów stawiano nie całe bloki, lecz podstawowe ich elementy, jak ściany wewnętrzne i stropy – rodzaj stelażu, na którym z cegieł lub gruzobetonowych bloczków murowano zewnętrzne części budynków. Dopiero gdy w 1971 r. rząd Gierka zamówił w Niemczech Zachodnich i Francji wyposażenie fabryk domów i urządzenia do produkcji płyt, w krajobrazie polskich miast zaczęło przybywać masowo wytwarzanych budynków.

Stawiano je coraz szybciej, coraz większe i coraz bardziej do siebie podobne. Nic dziwnego, że umęczeni monotonią, przymusowymi metrażami, szarością, niedoróbkami i beznadzieją schyłkowego PRL-u mieszkańcy marzyli o wyprawadźce. Najchętniej do własnego domu z ogródkiem, bo własne równało się lepsze niż przymus współdzielenia. A rynek najmu w dzisiejszym rozumieniu w zasadzie nie istniał.

→

Osiedle zwane „Manhattanem” z murem Wiedźmina na ścianie szczytowej jednego z bloków. Łódź, 2021 r.

PIOTR KAMIONKA / REPORTER

→ W pierwszej dekadzie po transformacji *homo blocus* przeistoczył się w blokera. Postać w obowiązkowym dresie z kapturem, syna i córkę rodziny o rysach patologicznych, którzy zabijają czas na podwórku pod blokiem na słuchaniu hip-hopu i paleniu blantów. Filmy i reportaże prezentowały osiedle jako teren niebezpieczny dla obcych, królestwo lokalnych zabijaków. Pejoratywne określenie „blokowisko” – pierwotnie oznaczające osiedle z wadami – rozprzestrzeniło się na ogół blokowych osiedli, stając ich synonimem.

Słowa premiera Morawieckiego o „dziadostwie”, „Polsce B i C” wpisują się w ten schemat. Żeby było zabawniej – najbliższych wzorców podobnego, być może świadomego pomieszanego pojęć dostarczały długo Niemcy po zjednoczeniu. W berlińskiej prasie większość artykułów o problematycznych *homo blocus* opatrywano zdjęciami bloków ze wschodniej części miasta, jakby dotyczyły tylko *homo sovieticus*, a monstrualne osiedla na zachodzie, znane choćby z „My, dzieci z dworca Zoo” Gropiusstadt, nagle przestały przysparzać kłopotów albo zniknęły – choć przecież istnieją znacznie dłużej. Nic dziwnego, że *Ossi* upatrywali w tym manipulację służącą wzbudzeniu przekonania, że są rzekomo gorsi od *Wessich*.

Wielu polskich mieszkańców wielkopłytowych osiedli podobnie odebrało też słowa Morawieckiego.

Wschodnie i zachodnie

Utopijne „szklane domy”, do których wzdychano jeszcze w Polsce przedwojennej, dziś przeobraziły się niemal w symbol dystopii: „trudne dziedzictwo”, nie tylko architektoniczne, balast, z którym trzeba się jakoś uporać. Zatem: czy bloki są dobre, czy złe? – nie zliczę, ile razy po wydaniu książki „Beton” zadawano mi podobne pytanie, choć był to reportaż, a nie książka naukowa. Nie ma jednak na nie odpowiedzi innej niż znienawidzone „to zależy”, na przekór biało-czarnemu obrazowi świata, jaki wolą nasze mózgi z ich skłonnością do porządkowania.

Sądząc po danych z rynku mieszkaniowego – dobre, gdyż jest na nie popyt, a ceny, nawet w wielkiej płycie, nie odbiegają od tych w kamienicach czy budynkach deweloperskich. Główną przyczyną jest oczywiście brak mieszkań,

Słowa premiera
Morawieckiego
o „dziadostwie”
i „Polsce B i C” wpisały się
w stereotypy o osiedlach
z wielkiej płyty.

szacowany obecnie na 1,5-2 mln lokali. Przede wszystkim więc zależy: jaki blok, jakie osiedle, a nawet: jaki blok, jakie osiedle i jakie mieszkanie, w jakim mieście i okolicy.

W historii blokowego budownictwa w Polsce po 1945 r. są bowiem lata tłuste i chude. Te pierwsze to epoka tuż po wojnie, gdy architekci, nieskrępowani jeszcze przez wytyczne socrealizmu, mogli wreszcie realizować osiedla społeczne w duchu przyjętej w 1933 r. przez urbanistów Karty Ateńskiej – zielone, z rozrzedzoną, różnorodną zabudową. Czas dominacji socrealizmu też nie jest najgorszy, bo większość pryncypiów projektowania utrzymano, a „pałace dla ludu” charakteryzuje solidność materiału. Krótki karnawał odwilży drugiej połowy lat 50., gdy znów można było budować nowoczesnie, bez narzuconego kostiumu, choć niektóre zachodnie wynalazki, jak megastuktury w rodzaju osiedla Ża Żelazną Bramą czy tzw. superjednostek, prze-flancowano na polski grunt zbyt bezkrytycznie. I wreszcie złota era wielkiej płyty, czyli wczesne lata 70., gdy na realizację szeroko zakrojonych planów nie brakowało jeszcze pieniędzy.

Czasy ciemne to przede wszystkim era oszczędności schyłkowego Gomułki i ostatnia dekada przed transformacją, kiedy budowano coraz szybciej i bardziej niedbale.

Były (i nadal są) w Polsce osiedla gorsze, zaniedbane, lub pojedyncze skupiska bloków owianych złą sławą – lecz mimo wszystko daleko im do paryskich, londyńskich czy amsterdamskich blokowych dzielnic lub wręcz miast satelickich. Z podstawowego powodu: na Zachodzie osiedla budowano dla gorzej sytuowanych obywateli, zwykle w ramach programów socjalnych, zapominając częstokroć o zapewnieniu środków na ich utrzymanie i rewitalizację (mieszkańców

tym bardziej nie było na to stać). Szybko następował więc proces określany jako spirala upadku albo syndrom wielkiego osiedla: bloki niszczały i z czasem zostawali w nich tylko najubożsi, często bezrobotni, pozbawieni alternatywy lokatorskiej. Osiedle zmieniało się zaś w ośrodek przestępczości.

Z tych zagrożeń zdawali sobie też sprawę urbanisci z warszawskiego Biura Odbudowy Stolicy już w 1949 r. W dokumentacji planowanej wyłącznie dla robotników śródmiejskiej dzielnicy Muranów dopisano odręcznie uwagę, że zbytnia jednorodność społeczna nie byłaby pożądana.

W odróżnieniu od zachodnioeuropejskich, polskie osiedla od początku charakteryzowała różnorodność. Wprost wypływała ona z koncepcji egalitarnego miasta socjalistycznego, pośrednio zaś – z dominacji państwa na rynku mieszkaniowym i w budowlance. Strefy nowych dzielnic mieszkaniowych, czyli osiedli z wielkiej płyty, w mieście socjalistycznym uchodziły za obszar o najlepszych warunkach do życia (obok historycznego centrum i strefy przejściowej o mieszanej zabudowie). Dlatego sąsiedowali w niej ze sobą robotnik, artysta i profesor. Trudno mówić o *homo blocus* jak o obcym, skoro na samych wielkich osiedlach (a to przecież nie wszystko, jeśli idzie o budownictwo blokowe) do dziś żyje 40 proc. Polaków. A prawie każdy miał jakieś z blokiem doświadczenie – jeśli sam się w nim nie wychował, to chociaż mieszkał przez chwilę lub odwiedzał rodzinę.

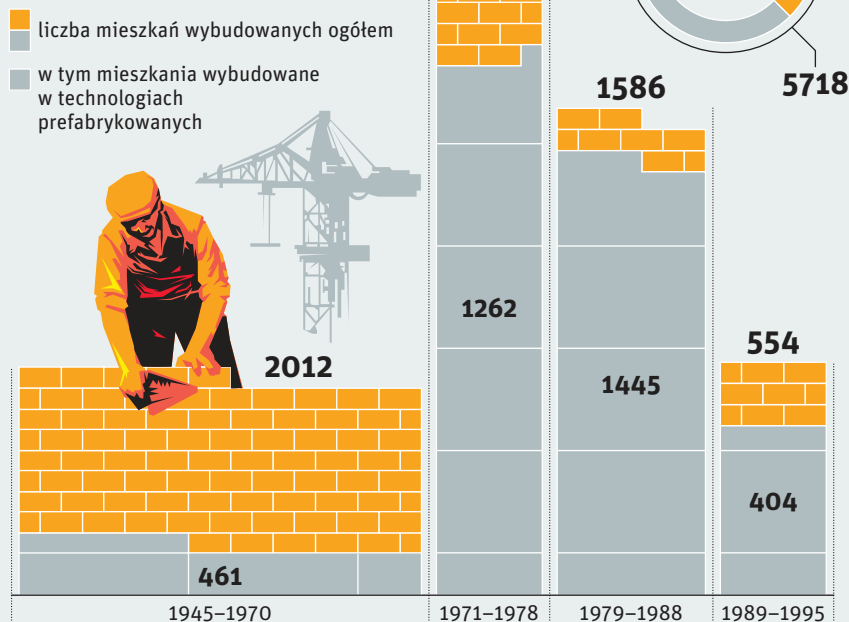
Funkcjonalność ponad wszystko

Oczywiście bloki, a zwłaszcza wielkie osiedla powstałe w okresie, gdy wielka płyta dominowała inne technologie, mają swoje minusy. Kraje zachodniej Europy nie bez powodu pozbywały się balastu w postaci fabryk domów, oferując klientom z demoludów licencje, linie produkcyjne, a nawet całe wytwórnie. Złote laty Niemcy Zachodnie, które miały dość wielkiej płyty, odkąd przekonały się, że nie da się mieć ciastka i zjeść ciastka – czyli ograniczać kosztów budowy i jednocześnie dbać o atrakcyjność wizualną.

Stereotypowość, monotonia, anonimowość to zauważalne na pierwszy rzut oka i punktowane przez specjalistów mankamenty wielkopłytowej architektury.

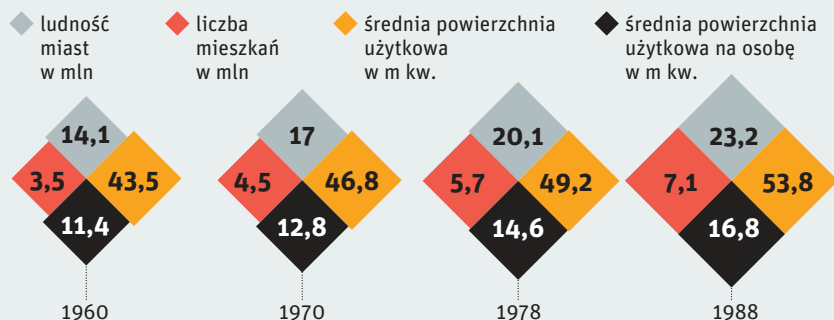
MIESZKANIA W POLSKICH MIASTACH WYBUDOWANE W LATACH 1945–1995

(W TYS.)



ŹRÓDŁO: EWA SZAFAŃSKA, WIELKIE OSIEDLA MIESZKANIOWE W MIEŚCIE POSTSOCJALISTYCZNYM, 2016, OPRACOWANE NA PODSTAWIE SZACUNKÓW ZAMIESZCZONYCH W PRACY E. RĘBOWSKIEJ I INNYCH, 2006.

WYBRANE DANE MIESZKANIOWE DLA PRL-U



ŹRÓDŁO: EWA SZAFAŃSKA, WIELKIE OSIEDLA MIESZKANIOWE W MIEŚCIE POSTSOCJALISTYCZNYM, 2016

LECH MAZURCZYK

Co jednak ciekawe, akurat te aspekty mają najmniej wspólnego z negatywnym odbiorem osiedli przez polskich użytkowników. Podobnie jak sama technologia. Tym bardziej że wielka płyta jawi się dziś jako materiał ekologiczny, który można przekształcać na wiele sposobów, skracając i wydłużając bryłę, powiększając mieszkania, dodając okna, balkony i tarasy (choć akurat w Polsce rzadko trafiają się przypadki tak radykalnych zmian). Mieszkańcy nie są surowi w osądach nawet wobec „pasteloz”, czyli malowania wielkich powierzchni bloków

na iście baśniowe kolory. Do uznania osiedla za estetyczne wystarczają im odmalowane elewacje, odnowione wnętrza i dobry stan techniczny. Wygląda na to, że moderniści, ojcowie bloków, mieli rację, zakładając, że w tego typu zabudowie najważniejsza jest funkcjonalność.

Pozostałe walory można podsumować następująco: po pierwsze lokalizacja, po drugie – dobre skomunikowanie. O ile największe osiedla, wznoszone w latach 70. i 80. XX w., sytuowano faktycznie z dala od centrum, przez kolejne dekady, wraz z rozrostem miast, zrosły się z nimi

– również wskutek rozwoju dróg i sieci transportu miejskiego – na tyle, że trudno dziś uznać je za peryferyjne.

Mateusz Morawiecki, deklarując zamiar „skończenia z dziadostwem” na wielkopłytowych osiedlach, które jego zdaniem nie zawsze odpowiadają obecnym standardom życia, wspominał z kolei o braku wind, garaży, zieleni, placów zabaw, skwerów, a także o niezadbanych blokach z „drzwiami przyklejnymi taśmą samoprzylepną”. Tyle że wbrew obrazowi, który odmalował premier, akurat zieleni ani miejsc do rekreacji na większości z nich nie brakuje. Nawet w polskich „blokowiskach” z lat 1970–1985 zaplecze socjalno-usługowe można było znaleźć w każdym osiedlu wielorodzinnym, co nie było standardem choćby za zachodnią granicą. Wśród mieszkańców kilku największych osiedli Wrocławia (Gaj i Sobieskiego), Krakowa (Prądnik Czerwony), Warszawy (Wrzeciono i Ursynów Północny), Katowic (m.in. Tysiąclecia, Witosa, Kukuczki) i Lublina (osiedle Mickiewicza) badanych w pierwszej dekadzie XXI w. przez geografów i socjologów, zdecydowanie przeważała opinia, że ich osiedla są zadbane.

Na przekór stereotypom, większość mieszkańców czuje się na wielkopłytowych osiedlach bezpiecznie. Wśród mankamentów wymieniają zbyt małe mieszkania, niedostatek miejsc do spędzania wolnego czasu i niedobór parkingów. Wydawać by się mogło, że to jedyny punkt, w którym premier trafił w sedno, obiecując ich budowę. Nie bez kozery haśło to padło jednak w kontekście parkingów podziemnych, najdroższych, zatem rzadko spotykanych. Bo akurat powiększanie w osiedlach terenów pod miejsca do parkowania to miecz obosieczny. Jak wynika z analizy osiedli warszawskich, przeprowadzonej przez A. Bierzyńskiego i A. Kozłowską w 2005 r., choć na pozór przyczynia się do poprawy warunków życia, długoterminowo obniża atrakcyjność osiedli, bo zabiera tereny do rekreacji, sprzyja tworzeniu barier przestrzennych, zwiększa ruch samochodowy w osiedlowych uliczkach, który przecież w zamyśle samych projektantów i w duchu Karty Ateńskiej miał pozostać na zewnątrz.

Jeśli dziś dochodzi do wyprowadzki, to skłaniają do niej mieszkańców czynniki niezwiązane z samym osiedlem, jak powiększenie rodziny, wzrost zamożności, →

→ i to samo, co dwie dekady temu – spełnienie marzenia o własnym domu jednorodzinnym.

Osiedlowa gentryfikacja

Trzydziestoparoletni, z córką w wieku wczesnoszkolnym, oboje graficy. Po studiach zakotwiczyli w Krakowie. Przez 8 lat wynajmowali dwupokojowe mieszkanie w wielorodzinnym budynku na Krowodrzy, zbudowanym przez spółdzielnię już w XXI w., w sąsiedztwie wielkopłytyowych bloków. Było im dobrze, ale konieczność przestawienia się na pandemiczny tryb pracy i nauki zdalnej ujawniła zniechęcające wady układu wnętrza w nowym budownictwie – jeden pokój zamknięty, drugi z kuchnią otwartą na salon. Próbowali jeszcze jakoś kombinować, on na krótko urządził sobie kąpiel do pracy w przedpokoju.

W końcu zaczęli szukać czegoś nowego, lub raczej starego – bo doszli do wniosku, że typowe M-4 w starszym bloku, z oddzielnymi trzema pokojami i kuchnią, idealnie zaspokoi ich potrzeby. Koniecznie na tym samym osiedlu, bo zieleńce, park, place zabaw, szkoła, sklepy – wszystko w zasięgu pięciominutowego spaceru. Znaleźli w bloku obok. Cztery piętra bez windy, rok 1979. Wnętrze mieszkania miało, co prawda, mocno PRL-owski sznyt, ale dogadali się z właścicielem, że w cenie wynajmu uwzględni remont, który zrobią. Ucieszyli się, bo lubią po swojemu. Odnowione mieszkanie inspiruje teraz czytelników jednego z portali, pokazującego, jak żyją młode, twórcze duchy w dużych miastach.

To przypadek przeczący tezie, jakoby mieszkanie na polskim osiedlu z wielkiej płyty było degradacją. Wyobrażeniom o *homo blocus* idą też w poprzek rozliczne badania geografów społecznych i socjologów miasta. Jak choćby dr Ewy Szafranśkiej z Instytutu Geografii Miast i Turyzmu Uniwersytetu Łódzkiego, która przyjrzała się współczesnym lokatorom takich miejskich siedlisk. Okazuje się, że nie tylko cieszą się one dobrą opinią, ale utrzymały relatywnie wysoki status społeczny. Masowy eksodus z nich, wieszczony przez media w latach 90. ubiegłego wieku, nie nastąpił.

Wśród napływających do osiedli nabywców mieszkań przeważa dziś nowa klasa średnia: ludzie wysoko wykształceni i stosunkowo zamożni, którzy kie-



TOMASZ LISTOPADZKI / PAP

Produkcja domów z wielkiej płyty w Fabryce Domów na warszawskim Śłużewcu, dziś już niestniejącej, lipiec 1980 r.

rują się takimi kryteriami jak metraż, obfitość zieleni, mniejsza gęstość zabudowy, dostępność infrastruktury transportowej, usług i sklepów, a także placów zabaw dla dzieci. Pod tym względem wiele osiedli, nawet wielkopłytyowych, wypada lepiej niż nowe realizacje deweloperskie. Co więcej – mówi się wręcz o ich gentryfikacji. Czego bowiem nie zauważył premier, to przemiany, jakie od dwóch dekad już na nich zachodzą – i nie dotyczy to tylko odnawiania budynków.

Część z nich określa się mianem „umiastowienia”, bo blokowe sypialnie, ukształtowane wokół wewnętrznego ośrodka usługowego, imitującego osiedlowe centrum i odcięte od miasta trasami szybkiego ruchu lub terenami przemysłowymi, wreszcie się do niego zbliżają. Same też coraz bardziej przypominają układ tradycyjne miasto. Sprzyja temu tworzenie lub rozbudowa

istniejących placówek publicznych, jak uniwersytet, szpital, szkoła średnia czy urząd administracyjny. Paradoksalnie do podwyższenia standardu może przyczyniać się także często krytykowana nowa zabudowa deweloperska pojawiająca się na osiedlu. Pojedyncze bloki albo niewielkie ich zespoły zaburzają oryginalny układ urbanistyczny, ale przyciągają też nowych mieszkańców o wyższym statusie społecznym.

Między prywatnym a wspólnym

Blok to dziecko utopii, kompleksowego projektu społecznego. Osiedle również – tylko w większej skali. Wyobrażenia na temat „nowego człowieka”, który miał je zaludniać, przyjmowano na etapie projektowania. Jak były mylne, pokazują liczne przykłady z Polski i ze świata. Iluzji ulegali nawet architekci zaangażowani w ruch osiedli społecznych, przejęci ideą stworzenia jak najlepszych

mieszkań w blokach, dostępnych dla robotniczych lokatorów. Jak Helena Syrkus, która sądziła, że wyrządza przysługę tym z warszawskiego Rakowca, instalując im centralne ogrzewanie i kuchnie gazowe. Dopiero wyniki ankiety rozesłanej wśród przyszłych mieszkańców otworzyły jej oczy: gospodynie wołały mniej kosztowne kuchnie na węgiel i kaflowe piece, a zamiast ergonomicznej tzw. kuchni frankfurckiej – większe metraże. Czy przedstawiciel paryskiej burżuazji, Émile Aillaud, przekonany, że biedniejszy użytkownik doceni jego artystyczną wizję osiedli projektowanych jako swiste place zabaw dla dorosłych i będzie cieszył się z mniejszych okien, bo te zapewnią mu w mieszkaniu poczucie bezpieczeństwa.

Gdy okazało się, że utopia niekoniecznie się sprawdza, bo człowiek to byt nieprzewidywalny, *homo blocus* stał się *homo rattus* – za sprawą amerykańskiego zoologa, który w 1962 r. opublikował w „Scientific American” tekst o wynikach swych pierwszych eksperymentów nad gryzoniami, słończonymi w dużej liczbie na małej przestrzeni. John Calhoun dowodził w nim, że zmuszanie licznej populacji do życia na niewielkim terytorium prowadzi do patologii społecznych, określanych mianem „bagna behawioralnego”. Postawił też tezę, że istnieje próg zagęszczenia osobników na danym obszarze, po którego przekroczeniu zwierzęta nie są zdolne stworzyć stabil-

Totalny pejzaż totalitarnego systemu albo dzieło architekta-demiurga: tak wciąż postrzega się wielkie osiedla blokowe. Niesłusznie.

nej i funkcjonującej bez problemów społeczności. Wyniki doświadczenia wzbudziły zainteresowanie dziennikarzy spoza prasy fachowej. Odkrycie trafiło na podatny grunt, bo zarówno w USA, jak i w Europie toczyły się wówczas dyskusje o zagrożeniach, jakie niesie szybka urbanizacja.

Analogia z coraz bardziej zatłoczonymi miastami, w których wznosi się kolejne osiedla identycznych bloków zdolnych pomieścić tysiące osób, nasuwała się sama, zwłaszcza że autor nie stronił od antropomorfizujących porównań. Wystarczy wspomnieć, że gryzonie są inteligentne, przejawiają złożone zachowania społeczne – i już widać ludzką cywilizację w miniaturze. Szczury i myszy Calhouna zyskały sławę równą psom Pawłowa, owocując pracami takimi jak „Ukryty wymiar” Edwarda T. Halla, sugerującymi, że źle zaprojektowane budynki o ciasnych klatkach schodowych i nie-

wielkich mieszkaniach, których użytkownicy nie mogą uniknąć przymusowych i częstych kontaktów z sąsiadami, są stałym źródłem stresu, a w skrajnych przypadkach prowadzą do zaburzeń psychicznych.

Dopiero po jakimś czasie pojawiły się głosy, że trudno w prosty sposób przekładać wnioski z doświadczeń na szczurach na zachowania ludzi. W grę wchodził przecież specyfika gatunku, a u ludzkiego – także różnice kulturowe. Po zamieszaniu z „mysim rajem” antropolog Jonathan Friedman przeprowadził eksperymenty z udziałem ochotników i doszedł do konkluzji, że poziom stresu, niewygody i poczucie niezadowolenia nie wynikają z tłoku, lecz nadmiaru kontaktów społecznych. Kluczem jest więc utrzymanie zdrowych proporcji między własnym kawałkiem terytorium, nad którym ma się kontrolę, a sferą wspólną.

Totalny pejzaż totalitarnego systemu albo dzieło architekta-demiurga – tak wciąż postrzega się wielkie osiedla blokowe w polskich miastach. Tymczasem paradoksalnie, większość z nich już od dwóch dekad ma prywatnych właścicieli – mieszkańców. Od dawna biorą też sprawy we własne ręce, współfinansując z comiesięcznych opłat dla wspólnoty modernizację i remonty. Zamiast więc szukać wśród wielkiej płyty problemów do rozwiązania, warto najpierw spytać, jak im się tam żyje i czy w ogóle potrzebują pomocy. © BEATA CHOMĄTOWSKA

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego:
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ,
Zuzanna Radzik, Piotr Sikora,
Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocuń, Michał Okoński,
Marek Rabbij, Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszewska, Marcin Żyła,
Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński,
Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski,
Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska

Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska,
Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoredakcja: Edward Augustyn,
Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda,
Michał Kuźmiński (kierownik), Maciej Müller,
Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś,
Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdań, Katarzyna Domin,
Sylvia Frotow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i sprzedaż: Anna Dziurdzikowska, Mateusz Gawron,
Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska
Rozwój cyfrowy: Mateusz Chmielowski, Mateusz Gawron,
Lech Krupa, Piotr Stanik (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda,
Eliza Kačka, Hanna Krall, Stanisław Manciewicz,
Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło,
Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyński

Menedżer produktu WWW: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann,
Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Kalina Błażejewska,
Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński,
Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz,
Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła,
Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek,
ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska,
Eliza Kačka, Piotr Kłotkowski, Małgorzata Kordowicz,
Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kosińska,
Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński,
Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski,
Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski,
Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki,
Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszejca,
Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet,
Jakub Puchalski, Adam Róbiński, Dariusz Rosiak,
Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Ślawek,
Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski,
Marcelina Szmer-Brysz, Piotr Wójcik

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4
30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.



S-NET
GRUPA TOYA

S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYM ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIAA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

MAŁGORZATA

Kordowicz: *Dokąd poszedł Mojżesz?*



TRZYDZIESIĄTY PIERWSZY ROZDZIAŁ KSIĘGI Powtórzonego Prawa otwierają w Tysiąc-latce te słowa: „I jeszcze Mojżesz odezwał się tymi słowami do Izraela...”. Biblia Warszawsko-Praska oddaje je w następujący sposób: „Znow zwrócił się Mojżesz do całego Izraela i powiedział tak...”. W księdze złożonej z kodeksu prawa i przemów pustynnego przywódcy takie wstępy nie brzmią wyjątkowo frapująco. Zajrzyjmy jeszcze do Brytyjki: „Potem poszedł Mojżesz i przemówił w te słowa do całego Izraela...”. Namioty przywódcy, jego brata oraz Aaronowych synów miały swoje stałe miejsce w obozowisku – nieopodal wejścia do przenośnej Świątyni (zob. Lb 3, 38). Izraelici byli zazwyczaj tam zwoływani, by słuchać, co mówi do nich Najwyższy przez usta największego z Jego proroków. Jeszcze rzut oka na przekład rabina Cyłkowa: „I poszedł Mojżesz i wypowiedział te słowa wszystkiemu Izraelowi...”. Mamy 2:2 – znow „poszedł”. Tylko dokąd?

Biblia nam tego nie mówi, komentatorzy uderzają więc w midraszowe tony. Mojżesz wyszedł z obozu lewitów – pierwszego kręgu wokół Przybytku – i udał się do obozu Izraelitów. Odwiedził wszystkie szczepy po kolei, by okazać ludziom szacunek i uprzedzić ich, że jeszcze tego samego dnia umrze. Nie powinni zaniepokoić się, by im to nie przysłoniło radości z zawarcia przymierza z Najwyższym. Mają jednak już nowego przywódcę – Jozuego, któremu Mojżesz publicznie mówi: „ty wnijdiesz z ludem tym do ziemi, o której zaprzysiągł Wiekuisty ojcom ich, iż ją odda im” (Pwt 31, 7; Cyłkow).

W jednym ze zwojów znad Morza Martwego znajduje się niekompletny interesujący nas wers: „I zakończył Mojżesz wypowiadać wszystkie s...”. W „Vetus latina” – łacińskich przekładach poprzedzających wersję św. Hieronima – Pwt 31, 1 to „*Et consummavit Moyses omnia verba ista...*”. Obie wersje powstały, zanim do gry wkroczyli Masoreci, którzy nadali ostateczną formę tekstowi Biblii hebrajskiej. To oni stworzyli hebrajski system zapisu samogłosek. W rękopisach z Qumran nad Morzem Martwym samogłosek jeszcze nie ma. W pierwszym słowie wersu wystarczy zamienić miejscami litery trzecią z czwartą, by Mojżesz – miast zakończyć (WajęCHaL) – poszedł (WajęLeCH). Obecną przemowę przywódca rozpoczął w Pwt 29, 1: „I zawołał Mojżesz do całego Izraela, i rzekł do nich...” (Cyłkow). Mógłby mówić przez dwa rozdziały i tu ją skończyć. Tylko że wtedy nasz wers byłby nieomal identyczny z kończącym Pieśń Mojżesza – po hebrajsku brakowałoby tylko jednego maleńkiego słowa *kol* – w tym przypadku: „wszystkie” (Cyłkow, ze względu na kontekst, tłumaczy Pwt 32, 45 jako: „A gdy wypowiedział Mojżesz wszystkie słowa te do całego Izraela”). Może więc ta metateza (inaczej: przestawka) to niekoniecznie błąd kopisty? ©

O. WACŁAW

Oszajca: *Przy swoim przekonaniu*



„SZUKAJCIE PANA, KIEDY DAJE SIĘ ZNALEZĆ, wzywajcie Go, kiedy jest blisko!”, mówi Izajasz, ale co znaczy to „blisko”? Izraelici w niewoli, świątynia zburzona, kult ustał, a to znaczy, że Bóg „opuścił swój lud”.

Czyżby prorok tego nie widział, skoro grzmi na rodaków: „Niech niegodziwy porzuci swą drogę, a człowiek występny swoje zamysły! Niech wróci do Pana, aby obdarzył go miłością, do naszego Boga, gdyż On jest hojny w przebaczeniu!”. Czyli to nie Bóg ma wrócić do swego narodu, ale naród do Boga. Ten powrót jednak nie może się ograniczać do wznowienia kultu. Izajasz mówi: „Co mi po mnóstwie waszych ofiar? – mówi Pan. (...) Nienawidzę całą duszą waszych świąt i obchodów; stały Mi się ciężarem; sprzyrzyło Mi się je znosić! (...) Przestańcie czynić zło! Zaprawiajcie się w dobrem!troszczcie się o sprawiedliwość, wspomagajcie uciśnionego, oddajcie słusność sierocie, w obronie wdowy stawajcie!”. To znaczy, że życie weryfikuje wiarę, a nie odwrotnie. Jeśli wiara zacznie sprawdzać prawdziwość życia, nie trzeba długo czekać, jak posypią się anatemy, załadnią więzienia, zapłoną stopy, pełną parą ruszą fabryki śmierci. Myliłby się ten, kto by te przestrogi Izajasza odnosił jedynie do kultu starotestamentowego. Ta choroba dotyka wszystkie religie i światopoglądy. Dowodu na to nie trzeba szukać zbyt daleko.

Nie wiem, który to już raz poświęcamy siebie, Kościół i świat Najświętszemu Sercu Pana Jezusa i Niepokalanemu Sercu Maryi Dziewicy. W każdy pierwszy piątek i sobotę miesiąca odmawiamy akt przebłagania i zadośćuczynienia, wynagrodzenia jednemu i drugiemu sercu. Pamiętając o przestrodze Izajasza, warto się jednak zastanowić, czy te modlitwy kierujemy pod właściwy adres?

Przed wszystkim staramy się przebłagać Boga, uśmierzyc Jego gniew. Staramy się też skryć za plecami Jezusa, w „cieniu Jego krzyża”, jakbyśmy zapomnieli, kto Go na tym krzyżu powiesił. Owszem, wspominamy coś o ludziach, których skrzywdziliśmy, ale tak półgębkiem, żeby do reszty Boga nie rozłościć. Ludzi stawiamy na dalszym planie, na pierwszym my jesteśmy, za nami – wbrew pobożnym zapewnieniom – Bóg, a gdzieś z boku, w cieniu ludzkie. Stąd pytanie, w powszechnym przekonaniu najważniejsze dla chrześcijańskiego życia: czy opuszczenie mszy świętej w niedzielę i jedzenie mięsa w piątek jest grzechem ciężkim? Paweł Apostoł odpowiada tak: „Ten, kto je wszystko, niech nie lekceważy tego, który czegoś nie je. Ten zaś, kto nie je wszystkiego, niech nie osądza tego, który je. Bóg przecież go przyjął (...). Ktoś znowu wyróżnia jeden dzień spośród innych, dla innego wszystkie są równie ważne. Niech każdy zostanie przy swoim przekonaniu”. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:

Trzy postawy Piotra

Troska o duszę przejawia się i w przyjęciu przykrości.

TALAZJUSZ Z LIBII



Dąż do celu bez drżenia.

SENTENCJE DELFICKIE



PRZY NIEDAWNEJ LEKTURZE fragmentu Ewangelii Łukasza opisującego sam początek Jezusowej „mowy na równinie” (Łk 6, 12-49; odpowiednik Mateuszowego „kazania na górze”) uderzyło mnie wprawdzie wyrażenie: Jezus „zszedł na dół” z Dwunastoma.

Nie pierwszy raz słowo „zszedł” pojawia się u Łukasza. Wcześniej mowa jest o tym w zakończeniu 2. rozdziału: odnaleziony przez Rodziców w świątyni Jezus (dosł.) „zszedł z nimi na dół, i poszedł do Nazaretu, i był im poddany”. Łatwo się domyślamy, że nie chodzi tu o geografie (Nazaret jest położony na wzgórzach), chodzi o uniżenie, jakie przyjmuje wcielony Syn Boga, „zstępując” do Nazaretu, z którego nie może nic dobrego pochodzić, i „zstępując” w posłuszeństwo Maryi i Józefowi.

Podobnie jest w drugim przypadku, dwa rozdziały dalej (zob. Łk 4, 31): Łukasz pisze o Jezusie odrzuconym w Nazarecie (dosł.): „zszedł na dół do Kafarnaum”. Znow: nie chodzi chyba jedynie o to, że Kafarnaum leży nad Jeziorem Galilejskim, a więc na poziomie głębokiej depresji. Chodzi o to, że Jezus „zstępuje w dół” wygnania, wzgardy ze strony „swoich” i bezdomności (w Kafarnaum nie będzie miał swojego domu; będzie zawsze mieszkał „kątem” u Szymona): „zstępuje w doświadczenie” życia, w którym – w przeciwieństwie do lisów i ptaków – nie ma gdzie głowy skłonić.

W trzecim, przywołanym na początku fragmencie Jezus zstępuje, aby przepowiadać. To istotna różnica redak-

cyjna w odniesieniu do wersji św. Mateusza. U Mateusza Jezus przemawia „z góry” (jak Bóg w pierwszym Przymierzu na Synaju). U Łukasza, zanim przemówi do ludzi, którzy przyszli nie tylko z „całej Judei i z Jerozolimy” (to znaczy ze świata wiary), ale również z pogańskiego świata z „Tyru i Sydonu”, zajmuje miejsce poniżej nich. Nie chce przepowiadać z góry (w sposób narzucający, arbitralny, z wysokości swojej wszechwiedzy i wszechmocy); chce głosić Ewangelię w uniżeniu, bez żadnego poczucia wyższości i pewności siebie, jaka cechuje „posiadaczy prawdy”. Przemawia w pokorze, z miłością i szacunkiem dla godności słuchaczy.

Dlatego też zaraz potem Łukasz nie zapomina dodać, iż aby rozpocząć kazanie, Jezus musi „podnieść oczy” na swoich uczniów (Łk 6, 20). Najwyraźniej znajdują się oni wyżej od Niego – tak jak Zacheusz, do którego przemawia, jak kobieta schwytana na cudzołóstwie i wielu, wielu innych, którym nigdy nie okazał swojej przewagi i wyższości.

I na kogo Jezus podnosi swoje oczy? Wobec kogo się uniza? Wymienia ich w pierwszych słowach swego kazania: ubodzy, głodni, płaczący i wykluczeni – a więc ci, na których wszyscy patrzą z góry, ewentualnie z góry obdarzają „łaskawie” taką czy inną pomocą. Wszyscy, ale nie Jezus!

To jedna z kluczowych lekcji naszego Pana dla Jego Kościoła. Bez jej przerobienia i przyswojenia ewangelizacja, zwłaszcza dzisiaj, się nie dokona. Przeciwnie, zostanie odrzucona, zanim się zacznie. ©

CYTANIA LITURGICZNE (24 IX – 1 X)

25. niedziela zwykła: Iz 55, 6-9; Ps 145; Flp 1, 20c-24, 27a; Mt 20, 1-16a;

Poniedziałek: Ezd 1, 1-6; Ps 126; Łk 8, 16-18;

Wtorek: Ezd 6, 7-8, 12b, 14-20; Ps 122; Łk 8, 19-21;

Środa: Ezd 9, 5-9; Ps: Tb 13, 2-5, 8; Łk 9, 5-9;

Czwartek: Ag 1, 1-8; Ps 149; Łk 9, 7-9;

Piątek: Dn 7, 9-10, 13-14 lub Ap 12, 7-12a;

Ps 138; J 1, 47-51;

Sobota: Za 2, 5-9, 14-15a; Ps: Jr 31, 10-12b, 13;

Łk 9, 43b-45;

26. niedziela zwykła: Ez 18, 25-28; Ps 25;

Flp 2, 1-11; Mt 21, 28-32.

Wybrał PIOTR SIKORA

POLSKA PIŁKA, CZYLI NIERADOŚĆ

Dziesięć lat temu Andrzej Duda napisał sławetne zdanie zestawiające stan naszych gier zespołowych z kondycją naszego państwa. Chyba żadne inne słowa przyszłego prezydenta nie okazały się równie skrzydlate.

MICHAŁ OKOŃSKI



DWANAŚCIE PROSTYCH SŁÓW, NAPI-
sanych równo przed dekadą na
Twitterze, zrobiło w ciągu ostatnich
lat karierę niemal równie oszałamiają-
cą co ich autor. „Stan polskiego sportu,
zwłaszcza gier zespołowych, jest smut-
nym odzwierciedleniem stanu polskie-
go państwa” – skomentował niespo-
dziewaną porażkę siatkarzy z Bułgarią,
24 września 2013 r., poseł Andrzej Duda.
Od tamtej pory w kraju zmieniła się
władza, poseł został europoseł, a po-
źniej prezydentem, jego formacja zaś od
ośmiu lat snuje narrację o Polsce wsta-
jącej z kolan – ale wystarczy jeden prze-
grany mecz piłkarzy, by ta fraza wracała
jak czkawka.

A opis implozji, jakiej podlega w trak-
cie burzliwego roku 2023 futbolowa re-
prezentacja Polski, wydaje się niepokoi-
jąco zbieżny z tym, co dzieje się w kraju.

Santos i geniusz

Fernando Santos, jak głosi ubiegło-
tygodniowy, oszczędny komunikat Pol-
skiego Związku Piłki Nożnej, przestał
pełnić obowiązki selekcjonera. „Cho-
ciaż kończymy naszą współpracę, jestem
wdzięczny za to, że prowadził polską
reprezentację i życząc wszystkiego najlep-
szego Polsce i jej mieszkańcom, którzy
tak dobrze mnie przyjęli, kiedy tu miesz-
kałem” – zadeklamował na pożegnanie
68-letni Portugalczyk. Wcześniej, na po-
witanie, namawiał nas do „wykorzysty-
wania takiego geniusza, jakim jest Le-
wandowski”, tak jak wykorzystywaliśmy
„geniusz Chopina”.

Jemu samemu nie udało się żadnego
geniusza wykorzystać. Podczas ośmio-
miesięcznego pobytu w Polsce prowa-
dzona przez Santosa reprezentacja roze-
grała sześć spotkań. Przegrała trzykrot-
nie, więc awans na mistrzostwa Europy
– turniej, do którego i ze względu na po-
większenie liczby uczestników do 24, i ze
względu na korzystne losowanie rywali
w eliminacjach, dostać się najłatwiej w hi-
storii – stoi pod znakiem zapytania.

Obietnice składane w momencie roz-
poczęcia pracy przez szkoleniowca, który
kilka lat temu z Portugalią wygrywał mi-
strzostwa Europy i Ligę Narodów UEFA,
nie zostały spełnione. Santos „nie popra-
wił wizerunku drużyny narodowej i nie
odbudował zaufania kibiców”, nie wyka-
zał się też „długofalowym pomysłem na
dalsze funkcjonowanie reprezentacji oraz
kierunek jej rozwoju”. Te trącające kor-
poracyjną nowomową cytaty wzięłem
z komunikatu PZPN o nieprzedłużeniu
umowy z jego poprzednikiem, Czesła-
wem Michniewiczem – ale do następcy
też dobrze pasują.

Odpowiedź na pytanie, dlaczego tak
się stało, jest złożona. Niewykluczone, że
profil trenerski Portugalczyka (nazwijmy
go „pragmatycznym” – w tym sensie nie
różnił się zbytnio od Michniewicza) po
prostu rozwój uniemożliwił. Niewykluc-
zone, że Santos przyjechał do Polski jako
człowiek już nasycony, bez energii wy-
maganej do czyszczenia stajni Augiasza
(albo zakładał – w polskich warunkach
dość naiwnie – że praca selekcjonera nie
polega na babraniu się w brudach). Być

może decydując się na podpisanie lukra-
tywnego kontraktu liczył po prostu, że
„jakoś to będzie” – że mając do dyspozy-
cji tak klasowych piłkarzy, jak Robert
Lewandowski, Piotr Zieliński czy Woj-
ciech Szczęsny, dociągnie do kolejnego
w swoim życiu turnieju, a tam sprawy za-
czą się toczyć wedle innej logiki.

W sumie nieważne: jak to ujął jeden
z najlepszych dziennikarzy sportowych
w tym kraju Michał Trela, „to Polska
przychodziła do Santosa i to jej zależało”.
Zależało, dopowiedzmy, z przyczyn głów-
nie wizerunkowych: Polska przychodziła
do Santosa nie dlatego, że chciała, by jej
reprezentację – dorosła i młodzieżowe –
grały tak jak Portugalia pod jego wodzą.
Atuty selekcjonera sprowadzały się do
czegoś, co jest przekleństwem nie tylko
futbolu – do dobrego PR-u. Zatrudnienie
trenera z zagranicy, z niezłą twarzą i ży-
ciorysem pełnym sukcesów, głaskało na-
sze ego i pozwalało wyciszyć burzę po
nieudanym mundialu. Wizja reform,
strategia, myśl szkoleniowa zostały na
drugim planie.

Powiedzmy od razu, że aż do czerw-
cowej porażki w Kiszyniowie, kiedy
w ciągu 45 minut Polacy stracili dwu-
bramkowe prowadzenie z Mołdawią, są-
dziliśmy, że Santosowi się uda. Problem
w tym, że ostatecznie się nie udało, bo –
jak pisze Trela – nikt nie docenił skali roz-
kładu drużyny. Czy tylko drużyny?

Kulesza i klasa

Napisać, że stan polskiej kadry narodowej
jest ponury, to nic nie napisać. Cezary Ku-
lesza jest prezesem PZPN od sierpnia 2021
r. Kilka miesięcy później pracę z drużyną
porzucił trener Paulo Sousa, pod którym
– niezależnie od trybu rozbicia – polscy
piłkarze po raz ostatni próbowali grać fu-
tbol nowoczesny, zgodny z aspiracjami nie
tylko samych zawodników, ale przede
wszystkim kibiców.

Z następcą Sousy, Czesławem Michnie-
wiczem, udało się wprawdzie pojechać
na mundial, a tam wyjść nawet z grupy,
ale odbywało się to w stylu, którego pod-
sumowaniem były kończące katarskie
występy wywiady Lewandowskiego czy
Zielińskiego o tym, jak bardzo w dzisiej-
szym futbolu potrzebne są radość z gry
i odwaga. Tą ostatnią ówczesny selek-
cjoner wykazywał się głównie atakując
dziennikarzy, którzy mieli czelność py-
tać, czy Michniewicz, mający w swoich

Robert Lewandowski po meczu
Albania–Polska. Tirana, 10 września 2023 r.

FLORIAN GOGA / REUTERS / FORUM

→ billingach 711 połączeń z hersztem ustawiającej mecze mafii, jest aby właściwą osobą do piastowania funkcji wymagającej (kto nie wierzy, niech spojrzy na trenera Anglików Garetha Southgate'a) kompetencji w zasadzie ambasadorskich.

Poczucie zamknięcia w oblężonej twierdzy i brak zaufania były z każdej wypowiedzi Michniewicza, nawet z tych wygłaszanych w strefie komfortu, jaką dawał mu zaprzyjaźniony Kanał Sportowy – brak zaufania nie tylko do otaczającego go świata, ale przede wszystkim do umiejętności podopiecznych.

To w trakcie mundialu wybuchła afera do dziś kładąca się cieniem na relacjach wewnątrz drużyny. Złożoną przez premiera Morawieckiego obietnicę wypłacenia zawodnikom premii za dobry występ w Katarze Robert Lewandowski nazwał w niedawnej rozmowie z Mateuszem Świąćckim „niemoralną propozycją”, ale liczba sprzecznych relacji (złożyli je m.in. selekcjoner, kapitan i rezerwowi bramkarz Łukasz Skorupski) na temat tego, w jaki sposób piłkarze zamierzali dzielić te pieniądze, każe dojść do wniosku, że wśród wypowiadających je ludzi są kłamcy.

Minęło dziewięć miesięcy i wciąż nie mamy jasności: spierali się o kasę długo czy załatwili rzecz w pięć minut; premię chcieli dzielić po równo, czy proporcjonalnie do wkładu w grę drużyny; ile miało przyspaść pozostałym członkom ekipy? Targi jak przy układaniu list wyborczych albo obsadzaniu stanowisk w spółkach, i to w czasie, gdy trzeba było skupić się na strategii rozegrania meczu z mistrzami świata... Czy tylko ja mam w tym miejscu poczucie „smutnego odzwierciedlenia stanu polskiego państwa”?

W wywiadzie ze Świąćckim piłkarz Barcelony mówił, że „na pewnych stanowiskach trzeba oczekiwać i wymagać klasy” i że „poziom pewnych osób jest żenujący”. Kontekst był oczywisty: kierowana przez Cezarego Kuleszę instytucja wślawiła się nie tylko zatrudnieniem w roli ochroniarza kadry członka gangu terroryzującego swego czasu Białystok (z którego skądinąd pochodzi sam prezes) albo zaproszeniem na wyjazd do Mołdawii działacza mającego w przeszłości kilkadziesiąt zarzutów korupcyjnych.

PZPN często przedstawia się jako relikw PRL-u, ale moim zdaniem zarządzany jest raczej tak, jak któraś z flagowych spółek



ANDRZEJ IWANCIUK / REPORTER

Fernando Santos podczas meczu Polska–Albania. Warszawa, 27 marca 2023 r.

skarbu państwa, w których ogłada jest wyłącznie elementem wizerunkowego treningu, a prawdziwe oblicze prezesów poznajemy dzięki wyciekającym do mediów nagraniom czy mailom.

Afera goni tu afere: po przegranym meczu w Kiszyniowie media obieły rewelacje o gorszących scenach z udziałem pijanych gości Związku w samolocie wiozącym piłkarzy. „Jak ktoś pana zaprosi, to co, siedzicie tak bez niczego? Nie wyobrażam sobie, żeby zaprosić kogoś i siedzieć bez niczego” – tłumaczył prezes PZPN w rozmowie z radiem RMF, w zasadzie udowadniając tezę Lewandowskiego. I znowuż: czym skądale w związku piłkarskim różni się od tych ujawnianych przez media w świecie polityki?

Lewandowski i osobowość

O tym, że naprawdę mówimy o tajni Augiasza, świadczy również wypuszczona na dzień przed ubiegłotygodniowym meczem z Albanią plotka, że krytyczny wobec działaczy kapitan nie zapłacił za zorganizowaną przezeń (w celu zintegrowania kadry) kolację w luksusowej katarskiej restauracji. Plotkę oczywiście szybko zdementowano, ale trudno nie być zszokowanym logiką dintojry, jaka kierowała ludźmi, którzy

kolportowali ją w takim akurat momencie – jakby odwet za krytyczny głos piłkarza był ważniejszy od zwycięstwa reprezentacji. Jakieś myślenie o wyższej racji, interesie państwa, to jest, przepraszam, drużyny? Przypomina się zdanie innego obcokrajowca, Leo Beenhakera, żegnającego się w 2009 r. z naszą kadrą (w okolicznościach zresztą dość podobnych, bo opis obyczajów obecnego prezesa PZPN przypomina rządzącego wówczas Związkiem Grzegorza Latę) frazę: „przez cały ten czas nie spotkałem w Polsce nikogo, komu by na polskiej piłce naprawdę zależało”.

O „smutnym odzwierciedleniu spraw polskiego państwa” świadczą również inne wątki wypowiedzi Lewandowskiego. „Brakuje nam osobowości na boisku” – brzmiała diagnoza sytuacji w samej drużynie; jej kapitan skarżył się, że kiedyś młodzi koledzy „podchodzili, prosili o rozmowę i radę, ale teraz już tego nie robią”.

Z tego wywiadu wyłaniał się smutny obraz ludzi, którzy nie rozmawiają ze sobą otwarcie i nie ufają sobie nawzajem. Którzy nie szukają wspólnie wyjścia z kryzysu, tylko knują za plecami, a czasem wręcz grożą sobie prokuratorem, jak Grzegorz Krychowiak i lekarz reprezentacji Jacek Jaroszewski, niepo-

trafiący dościsnąć do ładu w sprawie łączącego ich niegdyś biznesu.

Wygląda na to, że oni reprezentują Polskę także jeśli idzie o poziom zaufania społecznego, zgodnie z tym, o czym mówił w jednym z wywiadów były reprezentant kraju Cezary Kucharski: „Piłkarze naszej kadry mają odpowiednią mentalność, bo bez niej nie byłiby tam, gdzie są, czyli bardzo dobrze opłacani w zachodnich klubach. Raczej problem tkwi w braku prawdziwej wspólnoty celów, solidarności między nimi, lojalności wobec siebie, chęci poświęceń jeden dla drugiego, w egocentryzmie”.

Pytanie tylko, czy Lewandowski podświadomie nie nazwał również własnego problemu. O tym, że nie umie odcisnąć piętna na grze drużyny, powie większość ekspertów i statystyki z ostatnich spotkań.

Nawet jeśli opinie, że kapitanowi reprezentacji chodzi jedynie o własny wizerunek (i że w trosce o niego niebawem zrezygnuje z dalszych występów w koszulce z orłem), są przesadzone – wypada powiedzieć, że narracji o trosce, jaką kierował się napastnik Barcelony recenzując w rozmowie ze Święcikiem swoich młodszych kolegów, boisko w Tiranie nie zweryfikowało pozytywnie. Lewandowski był równie niewidoczny jak reprezentacyjna młodzież. Na pobudzonych wyglądali, owszem, powołani niespodziewanie przez Santosa będący już sportowo u progu emerytury Krychowiak czy Kamil Grosicki – jednak akurat takiego pobudzenia, powiązanego ze stratami piłki i faulami na rywalu, reprezentacja nie potrzebowała.

Można byłoby oczywiście zrobić w tym miejscu uwagę na temat toksycznego stanu polskiego kibicowania, które w błyskawicznym tempie odwróciło się od Lewandowskiego w momencie tak naprawdę pierwszego sportowego kryzysu w jego karierze (problem nie dotyczy tylko jego gry w reprezentacji, lecz także w Barcelonie) – choć przecież takiemu Jakubowi Błaszczykowskiemu trybuny pozostawały wierne niezależnie od formy i stanu zdrowia.

Może więc lepiej skonstatować, że trybuny wyczuwają, iż również nasz najlepszy piłkarz nie jest z nami szczery. Słuchając, jak odpowiada na pytania Święcickiego, miałem poczucie, że nie wywiadu ze sportowcem słucham, a z politykiem.

PZPN często przedstawia się jako relikw PRL-u,

ale przypomina on raczej spółkę skarbu państwa, w której prawdziwe oblicze prezesów poznajemy dzięki wyciekającym do mediów mailom.

Lasso i wiara

W ostatnich dniach algorytmy mediów społecznościowych podsuwały mi nie tylko wyniki sondaży wskazujących, jak wielu rodaków czuje, że nie ma na kogo głosować. Równie często natrafiałem na obrazek, imitujący niemal idealnie oficjalny komunikat PZPN. „Ted Lasso trenerem reprezentacji Polski” – brzmiał podpis pod zdjęciem aktora wcielającego się w serialową postać sympatycznego Amerykanina, który choć nie ma o piłkę pojęcia i w brutalnym świecie angielskiego futbolu klubowego znalazł się przypadkiem, przy pomocy samych tylko miękkich kompetencji prowadzi skazywaną na pożarcie drużynę do sukcesów (jeśli ktoś jeszcze nie widział „Teda Lasso”, zalecam – to nie jest serial o sporcie...).

Tęsknota, którą wyrażają autor obrazka i udostępniający go rodacy, jest oczywista – podobnie jak tęsknota autora plakatu rozdawanego trenerom pracującym z dziećmi i młodzieżą podczas niedawnej konferencji Akademii Grassroots. „Słownik nowoczesnego trenera: gramy proaktywnie, gramy z inicjatywą, gramy odważnie, gramy wyżej, ryzykujemy, atakujemy, działamy, kiwamy” – czytamy w credo, któremu dorosła reprezentacja od lat nie jest wierna. To tęsknota za najprostszymi kwestiami, z którymi kojarzy się sport i szerzej: robienie czegoś z innymi i dla innych. Za reformatorską wizją, znów pozwalającą gonić świat, a nie kisać w świecie wzajemnych pretensji i wojen podjazdowych. Także za radością.

Oglądając spotkanie Polski z Albanią czułem się, jakbym już je widział – i to niejeden raz. Mogło to być np. jakieś trzy dekady temu, w czarnej dziurze lat 90.,

kiedy zboląły Dariusz Szpakowski podsumowywał mecze na długo przed ich zakończeniem, a kibice futbolu też siedzieli tak bez niczego, że sparafrazują prezesa Kuleszę.

Bez niczego, czyli bez wiary i nadziei, o miłości nie wspominając. Bez złudzeń, że niekorzystny wynik da się odwrócić. Bez chęci do wspierania „naszych”; ba, bez poczucia, że to „nasi” – wrażenie wyalienowania entuzjastycznych zwykle fanów na Stadionie Narodowym podczas meczu z Wyspami Owczymi może być dla polityków wróżką dotyczącą wyborczej frekwencji. Bez poczucia, że ostatni selekcjoner był właściwym człowiekiem na właściwym miejscu, ale i bez zaufania do władz PZPN, że szukając jego następcy będą się kierowały innymi kryteriami niż kolesiostwo. Bez wiary w deklaracje zarówno kapitana, jak i pozostałych członków drużyny – tych będących jej trzonem, i tych pozostających na zapleczu. „Smutne odzwierciedlenie stanu polskiego państwa”?

Słowo „nieradość” jest tytułem zbioru opowiadań Pawła Sołtysa. Pożyczam je nie bez poczucia winy – bo jak tu zestawiać gęstą frazę ich autora z mulistym pejzażem polskiego futbolu. Pożyczam je zarazem licząc na zrozumienie, bo przecież Sołtys też jest kibicem i w trakcie meczu z Albanią rzucił na jego temat zdanie, które ów stan nieradości, w jakim tkwią dzisiaj kibice polskiego futbolu (czy szerzej, zgodnie z frazą Andrzeja Dudy, kibice polskiego państwa), opisało w mistrzowskim skrócie. „To się już wygrało i igła szoruje po talerzu”, napisał na Twitterze.

Konsekwencją tego, że „to się już wygrało”, jest zaciśnięcie przez Kuleszę zębów i wynegocjowanie z Santosem rozwiązania umowy za porozumieniem stron. Tylko co dalej? Najgorsza w stanie, w jakim znaleźliśmy się po ośmiu miesiącach pracy Portugalczyka, jest niewiara, że nowy szkoleniowiec cokolwiek zmieni. Że jesienne przedstawienie zwrotnicy będzie się wiązało z początkiem rewolucji, której dokończenie przekracza horyzont jednej kadencji Sejmu, to jest, chciałem powiedzieć, zarządu PZPN. Że ludzie tęskniący za światem Teda Lasso, światem proaktywności, inicjatywy, odwagi itd., mają na kogo głosować. To jest, chciałem powiedzieć, mają komu kibicować.

© © MICHAŁ OKOŃSKI

Równanie w dół

JERZY DZIEKOŃSKI

Nowy rok akademicki rozpocznie rekordowa liczba studentów kierunku lekarskiego w rekordowej liczbie uczelni. Środowisko alarmuje, że utrzymanie wysokiego poziomu kształcenia stanie się niemożliwe.

WŁAŚCIWIE TO NIE WIEM, Z CZEGO wynika ta krytyka – mówi prof. Andrzej Wojtyła, rektor Akademii Kaliskiej, która od 1 października stanie się Uniwersytetem Kaliskim i zacznie kształcić lekarzy. – Utworzenie uniwersytetu nie podoba się nawet niektórym mieszkańcom Kalisza. Przed I wojną światową to było miasto gubernialne, potem zostało spalone. Szkolnictwa wyższego nie odbudowano, więc po 1945 r. młodzież musiała wyjeżdżać na studia do Łodzi, Wrocławia czy Poznania. Wykształciła się też pewna mentalność z kompleksem dużych miast i trudno to zmienić, choć naukowcy już nie muszą szukać protektora poza Kaliszem, żeby zrobić doktorat lub habilitację. Teraz mogą to robić na miejscu.

Edukacyjna partyzantka

Polska Komisja Akredytacyjna negatywnie oceniła możliwość utworzenia kierunku lekarskiego w Kaliszu. Podstawowy zarzut dotyczył braku działalności naukowej w zakresie medycyny: w swoim wniosku akademii przedstawiła tylko jeden projekt dotyczący ginekologii. Mimo to Ministerstwo Edukacji i Nauki wydało zgodę, a pierwsza rekrutacja zakończyła się ogromnym sukcesem. O 60 miejsc stara się ponad tysiąc kandydatów.

– Wielkopolska ma najniższą liczbę lekarzy na tysiąc mieszkańców, czyli 1,6. W całej Polsce wskaźnik ten wynosi 2,4, a w Europie 3,8. Dostęp do opieki medycznej jest utrudniony głównie na wsiach, ale i w samym Kaliszu na tysiąc mieszkańców przypada 0,87 lekarza – tłumaczy sens powołania kierunku prof. Wojtyła.

Z kierunkiem lekarskim, przy sprzeciwie środowiska medycznego, rusza też Akademia Nauk Stosowanych w Nowym Sączu. Ją także zasypały podania.

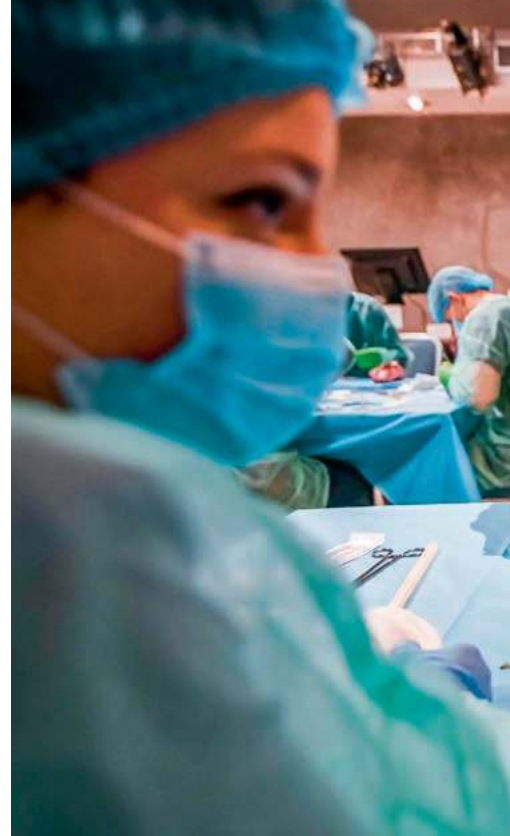
– W ciągu półtora tygodnia na 50 dostępnych miejsc na nieodpłatne studia stacjonarne wpłynęło ponad 500 podań. To sukces, ale trudno było się spodziewać czegoś innego, skoro kierunki lekarskie są w Polsce od lat oblegane – cieszy się prof. Mariusz Cygnar, rektor ANS w Nowym Sączu.

W przypadku ANS podstawowy zarzut środowiska dotyczy braku odpowiedniej infrastruktury, a konkretnie prosektorium, którego budowa jest dopiero planowana.

– Kierunki medyczne powstają jak grzyby po deszczu w uczelniach, których studenci będą dojeżdżać nawet setki kilometrów na zajęcia, choćby do szpitali klinicznych. Ma to chyba więcej wspólnego z edukacyjną partyzantką niż realną edukacją młodych adeptów sztuki medycznej – uważa Łukasz Jankowski, lekarz nefrolog, prezes Naczelnej Rady Lekarskiej.

Prof. Cygnar jest jednak przekonany, że zarówno zaplecze kadrowe, jak i infrastruktura uczelni nie będą stanowić przeszkód: – Od dwudziestu lat zdobywamy doświadczenie w prowadzeniu kierunków medycznych. Mamy pielęgniarstwo I i II stopnia, ratownictwo medyczne, dietetykę. Przygotowujemy wniosek o otwarcie położnictwa i II stopnia dietetyki. Poza tym posiadamy świetne własne zaplecze z miniszpitałem oraz otoczenie. Podpisaliśmy porozumienie ze wszystkimi okolicznymi szpitalami: w Nowym Sączu, Limanowej, Gorlicach, Krynicy, Nowym Targu, Zakopanem. Tamtejsi lekarze ze stopniami naukowymi będą prowadzić u nas zajęcia jako w podstawowym miejscu zatrudnienia. A być może już wiosną rozpoczną się prace przy budowie naszego prosektorium.

Zanim to nastąpi, studenci będą przez dwa lata korzystać z zaplecza Uniwer-



sytetu w Radomiu. Chodzi głównie o anatomię, na którą składa się 30 godzin w pierwszym semestrze i tyle samo w drugim. Studenci zostaną więc w środę po południu przewiezieni 260 km do Radomia, by w czwartek rano pójść na 4,5 godziny zajęć – po czym wrócą do Nowego Sącza. Na koszt uczelni mają zapewniony transport, nocleg i wyżywienie. Takie wyjazdy planowane są cztery razy w semestrze.

– To nie będzie zbyt duże obciążenie dla studentów. Nazwałbym to raczej integracją w środowisku akademickim. Hejt, jaki się na nas wylał, wynikał z przekonania, że nagle studenci sami będą jeździć setki kilometrów. To nieprawda, poza tym od wielu lat współpracujemy z Uniwersytetem w Radomiu i wiem, że tamtejsze prosektorium jest jednym z najnowocześniejszych w Polsce. Zresztą, wszystko zweryfikuje Polska Komisja Akredytacyjna już po pierwszym roku.

Medycyna pod strzechy

Żeby stworzyć nowe miejsca dla studentów, MEiN wspólnie z Ministerstwem Zdrowia zliberalizowało wymagania stawiane szkołom wyższym. W efekcie od października liczba uczelni z medycyną w ofercie wzrośnie z 24 do 35. Kształceniem lekarzy zajmą się (oprócz Kalisza i Nowego Sącza) Akademia Medycznych i Społecznych Nauk Stosowanych w El-



WEŁDYŚŁAW CZULAK / AGENCJA WYBORCZA.PL

blagu, Politechnika Wrocławska, Akademia Nauk Stosowanych w Poznaniu, Katolicki Uniwersytet Lubelski, Akademia Mazowiecka w Płocku, Uniwersytet Przyrodniczo-Humanistyczny w Siedlcach, Społeczna Akademia Nauk w Łodzi, Podhalańska Państwowa Uczelnia Zawodowa w Nowym Targu oraz Uniwersytet Warszawski. Przyczyni się to do wzrostu limitu przyjęć na kierunek lekarski, który zresztą już trwa od pewnego czasu. Jeszcze dekadę temu wynosił on 5,3 tys. miejsc, wliczając studia stacjonarne, nie-stacjonarne i prowadzone w języku angielskim. W lipcu minister zdrowia ustanowił nowy limit – ponad 11 tys. miejsc.

Według najnowszych danych GUS, wskaźnik liczby lekarzy na tysiąc mieszkańców wynosił w 2022 r. 3,5. Oznacza to, że zbliżamy się do średniej unijnej, czyli 3,8. Kłopot w tym, że jeszcze niedawno posługiwano się w kraju błędnymi wyliczeniami, które wskazywały, że na tysiąc mieszkańców przypada 2,4 lekarza. I właśnie na tych danych przez lata budowano narrację dramatycznego niedoboru kadr medycznych.

– Braki nie są tak duże, jak uważaliśmy dotychczas, choć mówimy tylko o statystykach, które nie odzwierciedlają wszystkich problemów z dostępem pacjenta do lekarza. Poważniejszą kwestią jest wykorzystanie kadry. System jest źle zarządzany – uważa Sebastian Goncerz,

przewodniczący Porozumienia Rezydentów Ogólnopolskiego Związku Zawodowego Lekarzy.

Prezes NRL Łukasz Jankowski dodaje, że Polska ma rzeczywiście za mało lekarzy, ale małym druczkiem trzeba by odpowiedzieć: w publicznej ochronie zdrowia. Zarazem faktem jest, iż w całej UE istnieją niedobory kadrowe; nabór na studia medyczne zwiększają np. Niemcy, którym brakuje 5 tys. miejsc na uczelniach. – Wciąż jednak obowiązuje unijna dyrektywa, która wymaga, by kształcenie lekarzy odbywało się na uniwersytecie lub pod jego nadzorem. Nie można robić tego kosztem jakości – przypomina Łukasz Jankowski.

Właśnie o jakości nauczania obawia się prof. Marcin Gruchała, rektor Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego i przewodniczący Konferencji Rektorów Akademickich Uczelni Medycznych (KRAUM): – Do tej pory lekarze byli kształceni niemal wyłącznie w uczelniach zrzeszonych w KRAUM, a my czuliśmy się wobec siebie zobowiązani do pilnowania jakości, którą przez dziesięciolecia wypracowaliśmy. Stworzyliśmy m.in. wewnętrzną komisję, która co roku wizytuje zrzeszone uczelnie. Wzajemnie się audytujemy, patrzymy na ręce, analizujemy, co wymaga poprawy. Dzięki temu polski dyplom upoważnia do nostryfikacji zawodu lekarza np. w Stanach Zjednoczo-

IV Mistrzostwa Polski w Szyciu
Chirurgicznym Studentów Medycyny,
Zielona Góra, 20 maja 2023 r.

nych; posiadamy też wiele innych akredytacji międzynarodowych. Mam wrażenie, że uczelnie otwierające dziś kierunki lekarskie nie zdają sobie sprawy z odpowiedzialności, jaka ciąży na placówkach kształcących profesjonalistów. Jeśli amerykańska administracja zorientuje się, że z naszym systemem kształcenia zaczyna być coś nie w porządku, konsekwencje mogą być bardzo bolesne. Jeśli stracimy tę akredytację, odpowiedzialność rozłoży się na wszystkich absolwentów w Polsce, bo jest ona przyznawana systemowi, a nie pojedynczym uczelniom.

Dwie kategorie lekarzy

Patrząc na rankingi międzynarodowe, obecne kształcenie lekarzy w Polsce nie przynosi nam wstydu. W opublikowanym niedawno rankingu *Web of Universities*, w pierwszym tysiącu szkół wyższych kształcących w zawodach medycznych znalazło się dwanaście naszych uczelni (na 16 zrzeszonych w KRAUM). Zestawienie *SCImago Institutions Rankings* dla państw Europy Środkowo-Wschodniej wygląda jeszcze lepiej – w pierwszej dwudziestce polskie uniwersytety medyczne zajęły aż osiem miejsc.

Nie oznacza to jednak braku wad. Jak przekonują studenci, jedną z głównych jest system weryfikacji wiedzy po zakończeniu studiów, czyli Lekarski Egzamin Końcowy.

– Kiedy pytania z LEK nie były upubliczniane, egzamin był bardzo trudny do zdania. Dzisiaj, kiedy studenci mają dostęp do bazy, z której pochodzi 70 proc. pytań egzaminacyjnych, a 56 proc. wystarczy, żeby zdać, nastąpiło przegięcie w drugą stronę. Powinniśmy w tej kwestii korzystać ze światowych doświadczeń, które stawiają na sprawdzanie wiedzy w praktyce – mówi Wiktoria Andrzejewska, prezydent Międzynarodowego Stowarzyszenia Studentów Medycyny IFMSA-Poland. – W Polsce wciąż najważniejsza jest wiedza książkowa. Uczelnie kładą zbyt duży nacisk na teorię, żeby absolwentów przygotować do egzaminu, a nie do pracy z pacjentem.

Reprezentanci uczelni, które właśnie ruszają z kierunkiem lekarskim, przekonują, że będą kształcić medyków przede

→ wszystkim na lokalny rynek, rekrutując osoby, które raczej nie chcą wyjeżdżać na studia i do pracy do dużych miast. Nie przekonuje to prof. Gruchała.

– Nie możemy dążyć do kształcenia dwóch kategorii lekarzy: z dużych ośrodków akademickich, poszerzających wiedzę i horyzonty oraz małomiasteczkowych. Uruchamiając kierunek lekarski, niezależnie w jak dużej miejscowości, musimy dbać o kształcenie na najwyższym poziomie. Nie może być różnic między absolwentem z Warszawy czy Krakowa a tym z każdego innego miasta – uważa przewodniczący KRAUM.

Powyższe obawy zrodziły rekomendacje wypracowane przez KRAUM, opisujące warunki, jakie muszą zostać spełnione, aby kształcenie lekarzy odbywało się zgodnie ze współczesnymi standardami. Rektorzy wskazali trzy obszary, które z ich punktu widzenia są niezwykle istotne: kompetencja kadry, metodologia i środowisko nauczania.

– Uczelnie, które nie mają doświadczenia w kształceniu choćby pielęgniarek czy położnych, zaczynają dziś kształcić lekarzy. Uważam, że jest to nieuczciwe wobec młodych ludzi, którzy tam będą studiować – mówi prof. Gruchała.

Problem w tym, że „moce przerobowe” uczelni zrzeszonych w KRAUM są niewystarczające, aby przy raptownie starzejącym się społeczeństwie zapewnić bezpieczeństwo kadrowe. – Uruchamianie kierunków lekarskich na kolejnych uczelniach jest potrzebne, ale nie w taki sposób, jak to się dzieje obecnie. Ustawowe kryteria określające wymagania wobec uczelni są systematycznie obniżane – uważa przewodniczący KRAUM.

Prof. Gruchała jest zdania, że lekarza powinno się kształcić w środowisku akademickim, a nie *de facto* w szkole zawodowej. Powinien wiedzieć, jak prowadzi się badania naukowe, by w przyszłości odróżnić wiedzę wartościową, opartą na wiarygodnych i aktualnych danych, od pseudonauki. Doświadczenie pandemii pokazało, jak wiele osób jest na nią podatnych, także w środowisku medycznym.

– Tymczasem przegłosowana ustawa o Karcie Nauczyciela zawiera zapisy jeszcze dalej liberalizujące wymagania kształcenia lekarzy, w efekcie dziś wystarczy zebrać grupę dwunastu nauczycieli akademickich, którzy zadeklarują doświadczenie w prowadzeniu badań w zakresie

Jeżeli zwiększy się liczba lekarzy,

stawki za wizyty spadną.

Podobne zjawisko
obserwowaliśmy, gdy doszło
do otwarcia zawodów
prawniczych.

nauki o zdrowiu bądź medycyny. Trzeba pamiętać, że nauki o zdrowiu to również kultura fizyczna, możemy więc uznać, że każdy AWF w kraju spełnia wymogi uruchomienia kierunku lekarskiego – wskazuje prof. Gruchała.

Potrzeba równowagi

Wedle statystyk GUS Polsce nie grozi zapaść w dostępie do lekarzy, jednak dużym problemem są proporcje: jest ich wielu w sektorze prywatnym, a za mało w publicznym systemie ochrony zdrowia, przede wszystkim w prowincjonalnych przychodniach POZ oraz w szpitalach powiatowych i przyległych doń poradniach specjalistycznych.

– Moim zdaniem nie jest ważne, czy dana osoba została wykształcona w Warszawie, czy w Pcmiu. Od kontrolowania jakości kształcenia są dedykowane organy państwa, jak Polska Komisja Akredytacyjna. Ważny jest również monitoring efektów. Dobrym narzędziem jest tutaj Lekarski Egzamin Końcowy. Sformułowanie, że na prowincji chorzy mogą być leczeni przez gorszych lekarzy, jest absurdalne – kontruje argumenty płynące z dużych ośrodków Krzysztof Zochowski, wiceprezes Ogólnopolskiego Związku Pracodawców Szpitali Powiatowych, dyr. Samodzielnego Publicznego Zakładu Opieki Zdrowotnej w Garwolinie.

Pytany wprost, czy zatrudniłby lekarza po studiach na uczelni w Nowym Sączu, mówi, że kluczowe byłoby jego kompetencje, co jest do sprawdzenia. – Głód lekarzy jest wielki. Jeżeli stanę przed alternatywą, czy zamknąć oddział, czy zatrudnić lekarza po mniej prestiżowej uczelni, wybór będzie oczywisty – odpowiada wiceprezes OZPSP i zwraca uwagę na inną ważną kwestię: – Jeżeli zwiększy się podaż osób o określonych umiejętnościach, stawki lekarzy spadną. Obserwowali-

śmy to już w przypadku zawodów prawniczych, gdzie po otwarciu rynku doszło do pewnej normalizacji. Tak samo będzie w przypadku lekarzy, więc środowisko, które korzysta na swojej mocnej pozycji negocjacyjnej, nie chce dopuścić do zmian – podkreśla Zochowski.

Niezwykle ważnym elementem tego sporu są studenci. Decydując o wyborze uczelni, zwracają uwagę na kadre oraz infrastrukturę, na prowadzone projekty naukowe, renomę szkoły i jej tzw. prostudenckość. – To nieformalne opinie koleżanek i kolegów ze starszych lat, które dają odpowiedź na szereg pytań: czy dziekanat jest pomocny, czy stwarza problemy, czy pracują tam wykładowcy wyjątkowo utrudniający zaliczenie, czy na uczelni zdarzały się studentom nieprzyjemne sytuacje i jak na nie reagowano? – wylicza Wiktoria Andrzejewska ze stowarzyszenia studentów.

Nasza rozmówczyni sama właśnie skończyła studia. Przyznaje, że nie zdecydowałaby się na uczelnię, która nie zapewnia dostępu do prosektorium na miejscu. – Przed otwarciem prosektorium w Radomiu tamtejsi studenci poświęcali dwa tygodnie wakacji na to, żeby nadrobić zajęcia w prosektorium w innym mieście. Ci studenci byli obciążeni studiami dzień w dzień przez dziewięć miesięcy, a musieli też zrezygnować z części wakacji tylko dlatego, że ich uczelnia nie była w stanie zapewnić podstawowej infrastruktury.

Andrzejewska zwraca też uwagę na niepodjęty przez naszych rozmówców problem: darmowego dostępu studentów do psychologów, a nawet psychiatrów. Lekarze są grupą zagrożoną wypaleniem zawodowym już na etapie bardzo wymagającej, w porównaniu z innymi kierunkami, edukacji. Podkreśla to również Sebastian Goncerz z Porozumienia Rezydentów OZZL: – Pracujemy w zawodzie o wysokiej odpowiedzialności, w kontakcie z pacjentem, który może ucieść. Nie będzie za to odpowiadał ani minister, ani uczelnia, tylko konkretny człowiek. Musimy być przygotowani na trudne sytuacje. Zarazem uważam, że otwieranie kierunku lekarskiego na uczelniach, które nie powinny się tym zajmować, to zerowanie na marzeniach młodych ludzi. Na pewno nie zgodzimy się na zastępowanie zajęć w prosektorium rycinami z atlasów anatomicznych.

© JERZY DZIEKOŃSKI

Dwa machy na godzinę

MAREK RABIJ

Polska nigdy nie kupowała tyle uzbrojenia, co w ostatnich latach. I nigdy dotąd nie wzmacnialiśmy armii równie chaotycznie.

NIE MAŁ 137,2 MLD ZŁOTYCH WYDA Polska w przyszłym roku na obronność. 92 mld zł będą pochodzić z budżetu. Resztę wyłoży Fundusz Wsparcia Sił Zbrojnych, czyli kontrolowana przez rząd instytucja, która służy do tego, by niektórych wydatków publicznych finansowanych z pożyczek nie wliczać do oficjalnego bilansu zadłużenia państwa.

Jak by jednak nie liczyć, w 2024 r. Polska zamierza wydać na obronność równowartość 4,2 proc. PKB. Większość krajów NATO z trudem dochodzi do poziomu 2 proc. Nic dziwnego, że w kuluarach zakończonego właśnie Międzynarodowego Salonu Przemysłu Obronnego w Kielcach mówiono, że dla przemysłu zbrojeniowego jesteśmy dziś jednym z najważniejszych rynków.

F-15EX ex machina

Jakby dla potwierdzenia tych słów przedstawiciele amerykańskiego Boeinga ogłosili w Kielcach, że złożyła Polsce ofertę zakupu myśliwców przewagi powietrznej F-15EX. Gotowość przystąpienia do przetargu na taki sam typ maszyn ogłosili także wysłannicy europejskiego konsorcjum produkującego konkurencyjny samolot Eurofighter 2000.

To o tyle zaskakujące, że polska strona nie zgłaszała dotąd chęci zakupu podobnych myśliwców. Przeciwnie: z wielu wypowiedzi lotników pobrzmiwia, że na taki typ samolotu nie możemy sobie na razie pozwolić. „Mam wiele obaw, czy jesteśmy w stanie w krótkiej perspektywie wykorzystać takie maszyny. (...) Czeką nas duże wysiłki związane ze szkoleniem pilotów. Jesteśmy dziś już



Myśliwiec F-15 z bazy w Tyndall (Floryda) w locie pionowym, sierpień 2003 r.

US AIR FORCE / DOMENA PUBLICZNA

na granicy możliwości szkoleniowych w związku z wejściem do służby FA50 i F-35” – mówił inspektor Sił Powietrznych generał Ireneusz Nowak w podkaszce Polityka Insight.

Kilka dni po zakończeniu kieleckich targów szef MON Mariusz Błaszczak jeszcze bardziej podgrzał atmosferę. „Potrzebne są nam jeszcze przynajmniej dwie eskadry samolotów wielozadaniowych. Jakże to będą samoloty? Pracujemy nad szczegółami” – zapowiedział na antenie radia RDC.

Pilna potrzeba

Myśliwce przewagi powietrznej służą do przeganiania z nieba wrogich maszyn. To z reguły duże samoloty, zdolne do działania na wysokości niemal 20 km z prędkościami dochodzącymi do 3 tys. kilometrów na godzinę, czyli znacznie szybciej i wyżej od maszyn wielozadaniowych, ta-

kich jak F-16. Mogą zabrać także więcej uzbrojenia i po wywalczeniu przewagi na niebie wykonywać zadania klasycznego myśliwca wielozadaniowego, wspierając siły lądowe.

Deklaracja ministra Błaszczaka być może nieprzypadkowo zbiegła się więc w czasie z nagłą zmianą narracji przedstawicieli Boeinga, którzy w mediach zaczęli podkreślać uniwersalność swojej konstrukcji, choć wcześniej koncentrowali się na wąskim aspekcie walki powietrznej. Być może tak naprawdę decyzje w sprawie zakupu F-15EX już zapadły, a my oglądamy jedynie inscenizację, która ma nadać tej transakcji pozory zwykłej procedury. Zresztą, w przypadku MON już od kilku lat trudno mówić o procedurach. Ich miejsce zajęło pojęcie-wytrych: „pilna potrzeba operacyjna”.

Poproszę na wczoraj

Tą formułą MON zaczął się posługiwać podczas misji w Afganistanie, kiedy sytuacja rzeczywiście wymagała obejścia procedur. W 2019 r. resort – już pod rządami Mariusza Błaszczaka – nieoczekiwanie kupił jednak w „trybie pilnej potrzeby operacyjnej” 32 myśliwce F-35. Polskie lotnictwo nie brało wówczas udziału w żadnej poważnej misji poza granicami kraju, sytuacja geopolityczna także nie wymuszała pośpiechu. Jedynym argumentem za skróceniem ścieżki zakupowej był pogarszający się stan techniczny floty poradzieckich myśliwców. Seria wypadków samolotów MIG-29 w latach 2016-18 wyeliminowała ze służby trzy maszyny i kosztowała życie jednego pilota. Wojskowi podzielili się więc w ocenach: jedni gratulowali MON odważnej decyzji, inni krytykowali chaotyczne zakupy, łącząc je z nadchodzącymi wyborami do parlamentu.

To, co w 2019 r. mogło jeszcze wydawać się wyjątkiem od reguły, dziś jest standardową praktyką. Pilne potrzeby operacyjne stały się normą, zwłaszcza po napaści Rosji na Ukrainę. Po zakupie F-35 w tym samym trybie kupiliśmy m.in. 250 czołgów Abrams, śmigłowce Black Hawk, tureckie drony Bayraktar i amerykańskie MQ-9 Reaper.

Procedura okazała się tak elastyczna, że resort zamówił w ten sposób nawet 300 mobilnych ołtarzy polowych. Wycofał się z tego pomysłu dopiero po krytyce mediów. ©

Ugotowani jak żaby

PROF. JERZY SZWAGRZYK, BIOLOG:

W ostatnich pięciu latach w polskich lasach ubyło drewna. Po raz pierwszy od II wojny światowej tniemy drzewa szybciej, niż rosną.

KRZYSZTOF STORY: Nigdy widok wycinek nie budził takich emocji i takiego konfliktu obywateli z leśnikami. Czy rządy PiS zdemolowały nasze lasy?

PROF. JERZY SZWAGRZYK: Nie zdemolowały lasów, ale Lasy już tak. Firma zarządzająca jedną czwartą powierzchni Polski nigdy nie była w takim kryzysie. I na to Lasy Państwowe solidnie zapracowały. Od kilku lat są całkowicie zawłaszczane przez Suwerenną Polskę i nawet ludzie z PiS nie mają tam wstępu. Miliardowy Fundusz Leśny, czyli prywatny skarbiec LP, na różne sposoby obsługuje jedną partię zamiast trafiać do budżetu. Dotacje dla kół gospodyń wiejskich, parafii, samorządów, billboardy przy drogach leśnych. Pieniądze z LP są wszędzie tam, gdzie zio-bryści mogą zdobyć głosy.

Mówimy o p.o. dyrektora Józefie Kubicy, o zarządzie, o rzeczniku Michale Gzowskim, aktywnym polityku SP. Pod nimi pracuje kilka tysięcy leśników. Nie widać wielu ludzi, którzy by uderzyli pięścią w stół i powiedzieli, że nie pasuje im romans z władzą.

To dramat tego środowiska. Leśnicy zostali ugotowani jak żaby. Część odeszła i dopiero wtedy zaczęła otwarcie mówić. Większość milczy, bo boi się stracić dobre płatną pracę albo popiera nowe porządki. Ale leśnictwo nie jest monolitem. Znam wielu, którzy w lasach robią naprawdę dobre rzeczy.

I godzą się na to wszystko?

Stają przed wyborem: po cichu robić swoje albo głośno zaprotestować i prawdopodobnie nic nie osiągnąć poza zwolnieniem i świadomością, że na ich miejsce może przyjść jakiś niekompetentny głąb z partyjną nominacją. Niestety, to oni zapłacą największą cenę za ostatnie lata. Polityczne kierownictwo odleci na

złoty spadochronach, a oni zostaną w skompromitowanej organizacji. Odbudowanie zaufania do Lasów zajmie lata.

Da się w lasach „po cichu” robić swoje?

Leśnik funkcjonuje trochę jak partyzant. Oczywiście pisze stosy raportów i wypełnia tabelki z wykonaniem planu, ale kierownictwo nie wie, co tak naprawdę robi w terenie.

Zajrzyjmy do tabel. Tniemy więcej – jeszcze 10 lat temu LP wywoziły z lasów około 35 mln m sześć. drewna rocznie, w zeszłym roku przekroczyliśmy 42 mln.

Z jednej strony można powiedzieć: nie ma zmartwienia, tak miało być. Polskie drzewostany mają specyficzną strukturę wiekową i dzisiaj do eksploatacji wchodzi wiele z tych posadzonych tuż po wojnie. Ta eksploatacja to niekoniecznie wycinki, ale i trzebieże, czyli przerzedzanie. Jeśli wytnie się w lesie co trzecie drzewo, nie widać tego z satelity, ale to właśnie takie zabiegi są największym źródłem drewna w Polsce. Na to nakładają się huragany, gradacje kornika, susze. Tempo cięcia rośnie dużo szybciej, niż się spodziewaliśmy.

Dlaczego?

Wspominałem o huraganach i innych klęskach. Dawniej powalone w nich drzewa były wliczane do wykonania planu. Po wicherze z 2017 r. w Borach Tucholskich zmieniono tę regułę – teraz tniemy według rozkładu, a oprócz tego wywozimy to, co powalił wiatr czy zabił kornik. Sam system planowania też daje miejsce do nadużyć – dla każdego nadleśnictwa ustala się go raz na 10 lat. Nic nie stoi na przeszkodzie, by większość planu wyciąć w pierwszych dwóch, trzech latach.

Efekt jest taki, że po raz pierwszy od wojny w polskich lasach zaczęło ubywać

drewna. W ciągu ostatnich 5 lat wycięliśmy więcej, niż urosło. Ubytek jest niewielki, ale widać odwrócenie trendu.

Jest się czym martwić?

Na pewno jest to problem dla Lasów Państwowych, które od lat w każdym sporze używają argumentu o rosnącej zasobności polskich lasów. On się właśnie zdezaktualizował. LP jeszcze się do tego nie odniosło, nie słyszałem żadnej nowej narracji. Dodatkowo w publikowanych raportach pojawił się nowy podstęp, który umknął nawet uwadze ekspertów. Przyrost drewna w lasach podaje się wraz z korą, a ilość wyciętego – już bez kory. Ciężko nie podejrzewać o celowe zaciemnianie obrazu. Różnica jest niebagatelna: jeśli bez kory pozyskaliśmy 42,2 mln m sześć, to z korą będzie ponad 50 mln.

Mimo to dla mnie same dane nie są powodem do paniki. Nikt nie powiedział, że zasobność ma rosnąć bez końca. Nie sam wynik jest powodem do niepokoju, tylko jak on jest osiągnięty.

Zatem nie chodzi o to, żeby ciąć mniej, tylko mądrzej?

Tak. I to niestety jest dużo trudniejsze, bo wymaga gruntownej reformy LP. Rządy Zjednoczonej Prawicy nie zdemolowały lasów w Polsce, ale pozostawiła po sobie punktowe i bolesne straty w najcenniejszych miejscach. Mamy i sosnowe, sztucznie nasadzone plantacje o niskiej wartości przyrodniczej, i tereny, które mogłyby i powinny być parkami narodowymi czy rezerwatami. A Lasy próbują zarządzać nimi dokładnie tak samo.

Ostatnio naczelnym wrogiem LP stał się certyfikat FSC. Od lat nie ma go regionalna dyrekcja w Krośnie, teraz dołączają do niej kolejne: Gdańsk, Toruń, Poznań, Warszawa, Białystok, Radom, Piła. Jaki jest problem z FSC?

To najważniejszy certyfikat dla drewna i gospodarki leśnej. Bez niego zamyka się droga do większości europejskich firm. Polski tartak kupując drewno bez FSC nie ma szans sprzedać go np. do Ikei, jednego z największych graczy na rynku.

Dlaczego Lasy z niego rezygnują?

Bo musiałyby iść na ustępstwa, wpuszczać niezależne kontrole i zapewne w konsekwencji – trochę mniej zarobić.



CEZARY ASKIELOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

Wycinka drzew w Puszczy Bukowej. Szczeciński Park Krajobrazowy, 20 maja 2023 r.

Ale chyba nie o pieniądze tu idzie ani nawet o próbę wprowadzenia jakiejś rabunkowej gospodarki leśnej, bo przecież FSC przez lata w prawie całej Polsce funkcjonował i drewna nie brakowało. Rezygnacja z niego też nie spowoduje od razu przyrodniczej katastrofy. Myślę, że stawką jest opacznie rozumiana suwerenność: żeby żaden zagraniczny certyfikat nie ustalał, jak mamy ciąć nasze świerki i sosny. Dzisiaj LP same robią plany, same je realizują, same siebie kontrolują – i tak ma pozostać.

Motywacje mogą nie być finansowe, ale konsekwencje będą.

I to duże, bo LP sabotują spory sektor polskiej gospodarki. Nasza branża drzewna wielokrotnie swoją wartością przewyższa samo leśnictwo. Teraz okazuje się, że drewno z Polski coraz częściej ląduje np. w Chinach, gdzie nikt o certyfikaty nie pyta. Oczywiście nie eksportują go same Lasy, tylko pośrednicy, ale fakty są takie, że wypuszczamy z kraju nieprzetworzony surowiec, zamiast na nim naprawdę zarobić.

Trwa kampania. Po stronie opozycji pojawia się dużo leśnych postula-

tów: np. więcej parków narodowych, zwiększenie społecznej kontroli nad LP.

Cieszę się, że takie pomysły się pojawiają. Mamy gotowe naukowe opracowania, które pokazują, gdzie powiększać i tworzyć nowe parki narodowe, które dzisiaj zajmują mniej niż 1 procent kraju. Jesteśmy przygotowani, żeby potroić ich powierzchnię. Kolejny postulat to wyłączenie części lasów z produkcji drewna.

To wszystko przecież i tak się wydarzy. W lipcu Parlament Europejski przegłosował Nature Restoration Law – prawo, na mocy którego do 2030 r. 20 proc. kontynentu ma zostać objęte ochroną.

Na razie to uchwała, do której brakuje przepisów wykonawczych. Nie wierzę w 20 ani nawet w 10 procent. Patrząc na opór przeciwko NRL w całej Europie, czeka nas jeszcze wiele kompromisów. Finalny efekt będzie mniej radykalny, ale będzie. Szkoda, że Lasy Państwowe i politycy nie przyjmują tego do wiadomości. Dla nich to jest zerojedynkowy spór: albo odrzucimy NRL w całości, albo czeka nas katastrofa gospodarki leśnej. Jedyną widoczną reakcją jest: ciąć, zanim zabronią.

Obudzimy się, gdy będzie już za późno?

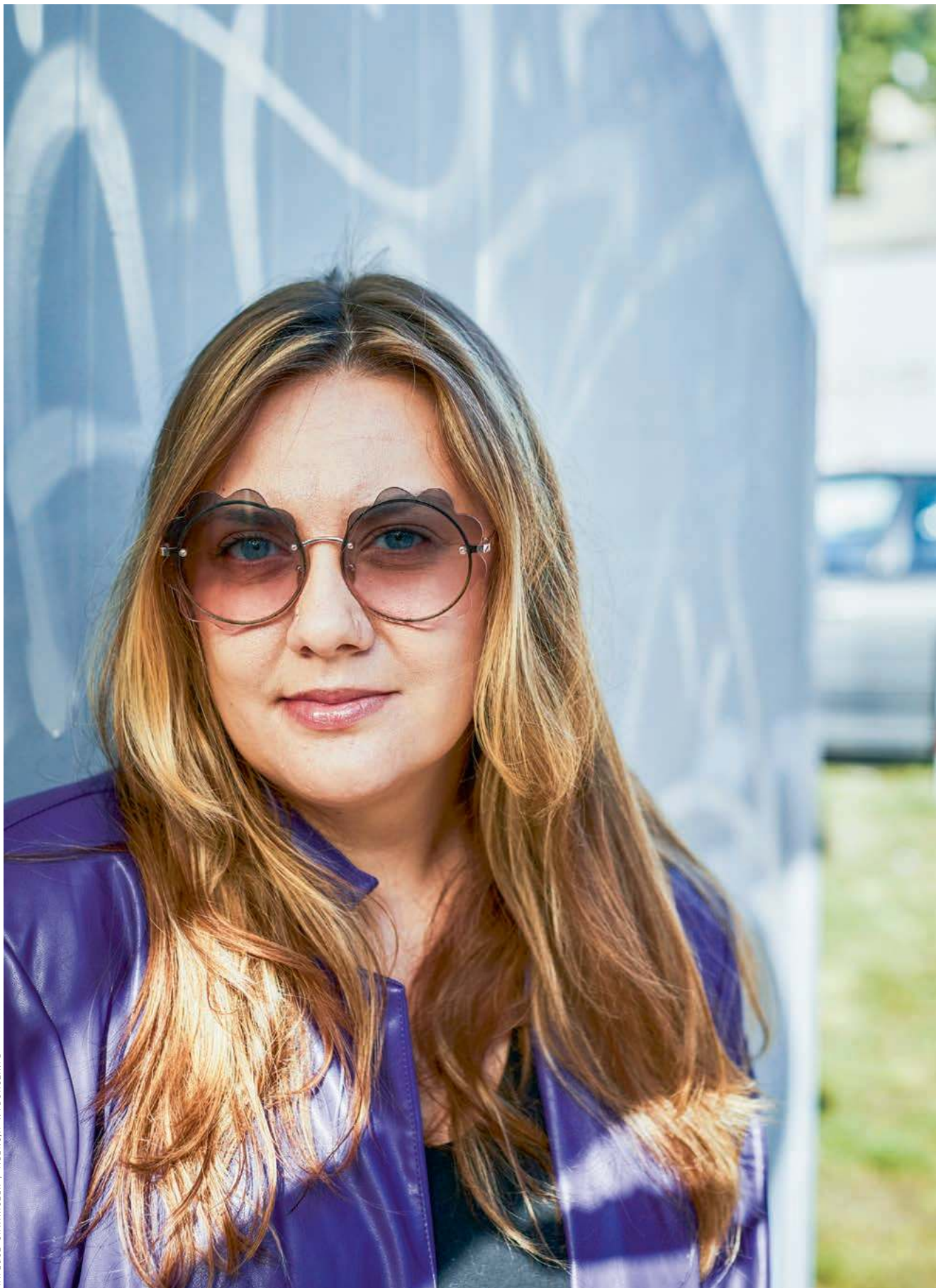
Może być tak jak z obszarami Natura 2000. Najpierw przez lata ignorowaliśmy ten program, a gdy goniły nas terminy, w ciągu pół roku wrzuciliśmy do tego worka na chybił-trafił nawet parki krajobrazowe, bo akurat były pod ręką. Boję się, że teraz będzie tak samo, a z drugiej strony – paradoksalnie może to polskim lasom pomóc. Powszechne zainteresowanie tym tematem spowodowało, że ogromną pracę wykonują dzisiaj organizacje pozarządowe, dokumentując obszary warte ochrony. I gdy okaże się, że pusty worek trzeba nagle zapłacić – ich pomysły mogą być jedynymi na stole.

©© Rozmawiał KRZYSZTOF STÓRY



PROF. JERZY SZWAGRZYK – biolog, kierownik Katedry Bioróżnorodności Leśnej Wydziału Leśnego Uniwersytetu Rolniczego w Krakowie.

ARCHIWUM PRYWATNE



JESTEM DZIECKIEM, NIE GRZECEM

Przez lata milczałam, ukrywałam tajemnicę, która nie była moja. Dziś mówię to głośno, nie tylko dla siebie. Jestem Marta Glanc, córka księdza.

EWELINA BURDA

TATO – MOŻE POWIEDZIEĆ TYLKO WTEDY, gdy są sami. Kiedy Marta przyjeżdża w odwiedzin na plebanie, przy innych ma się zwracać „wujku”; od niepisanej zasady nie będzie wyjątków.

„Dla dobra innych lepiej nie mówić” – to zdanie usłyszy w dzieciństwie setki razy. Żeby nie burzyć ustalonego porządku, nie obnosić się, nie zgorszyć.

– Wszystko po to, żeby inni czuli się dobrze, komfortowo. Czy ktoś pomyślał wtedy, jak ja się z tym czułam? – pyta retorycznie Marta. – Myśleli raczej, że dziecko nic nie rozumie i naturalnie przyzwyczai się do życia w tajemnicy. Tylko że dzieci w końcu dorastają, a potem... – milknie.

Stań w prawdzie

Przez większość swojego życia nie mówi tego na głos. – To zawsze jest gdzieś w tle, tajemnica podświadomie towarzyszy mi cały czas: wtedy kiedy jestem małą dziewczynką, buntującą się nastolatką, młodą kobietą z problemami psychicznymi. Moje bóle, lęki, sny... teraz wiem, z czego wynikały – opowiada Marta. – Trafiałam do lekarzy, walczyłam z bólami psychosomatycznymi, dostawałam diagnozy zaburzeń psychicznych. Parę lat temu poszłam wreszcie na terapię. Tam również nie byłam w stanie powiedzieć tego na głos, ścisłało mi gardło. Kiedy się przełamalam, to był dla mnie wielki krok do przodu.

Marta ma trzydzieści cztery lata, dziś mieszka w Warszawie. Z zawodu jest

dziennikarką. Kolejnym krokiem powolnego wychodzenia z tajemnicy będzie dla niej napisanie anonimowego reportażu o córce księdza. Czyli o sobie. Historię opublikowaną cztery lata temu w portalu Onet zakończy dopisek: „Bohaterka historii prosiła, by nie ujawniać jej imienia ani nazwiska”.

W świeżo wydanej książce „Córka księdza” Marta jest już sobą, z prawdziwym imieniem i nazwiskiem.

– Nie chciałam kolejnej anonimowej historii. Nie neguję ich, bo są bardzo potrzebne, a każde z nas, dzieci księży, które decyduje się opowiedzieć, robi to na tyle, na ile może w danym momencie – opowiada. – Ja poczułam, że mam w sobie na tyle siły, by spróbować obnażyć tę wielką mistyfikację, w którą zostałam zaangażowana jako mała dziewczynka. Dziś już mogę wstać i powiedzieć na głos, przy ludziach: jestem Marta Glanc i jestem córką księdza.

W książce nazwisko ojca Marty nie padnie ani razu, ale poznając nazwy miejscowości i zmieniających się przez lata parafii, łatwo można je zidentyfikować.

– Czasami mam wyrzuty sumienia, bo wiem, że wyciągnęłam i opisałam też dużo spraw intymnych, prywatnych dotyczących mojego taty. Czy miałam do tego prawo? – pyta Marta. – Uważam, że tylko w takiej formie miało to sens. Wreszcie staję w prawdzie, jak to się mówi w Kościele. W prawdzie przed sobą i innymi. Bo co może być złego w powiedzeniu publicznie, kto jest twoim tatą?

Uśmiechy

Marta przychodzi na świat w bydgoskim szpitalu w niedzielę 12 lutego 1989 roku. Jest godzina dziesiąta, w pobliskim kościele trwa przedpołudniowa msza dla dzieci.

Ojciec Marty księdzem jest od trzech lat. Z mamą Marty poznają się u jej przyjaciółki, kiedy przychodzi tam na wizytę duszpasterską. Zaczynają się spotykać. Po wiadomości o ciąży młoda kobieta liczy, że on odejdzie z kapłaństwa, zajmie się nią, dzieckiem, rodziną. Oczekiwania szybko zostają rozwiane, zostaje w kapłaństwie.

O narodzinach córki dowie się w kościele. Do konfesjonalu, w którym spowiada, przyjdzie ciotka Marty i wyszeptą: masz córkę. W akcie urodzenia będzie widniało jedynie jego prawdziwe imię: Jarosław. W rubryce „nazwisko” mama Marty wpisze własne. Do ojcostwa Jarosław nigdy oficjalnie się nie przyzna.

Gdy Marta jest mała, razem z mamą przeprowadzają się do Bydgoszczy, położonej kilkadziesiąt kilometrów od ich rodzinnego Strzelna, małego miasteczka. Na początek to wystarczająco daleko od łatki „tej, która ma dziecko z księdzem”.

Po latach Marta spojrzy na zdjęcia mamy z młodości: ciemne kręcone włosy, wyraziste rysy, obok niej dziewczynka z dużymi niebieskimi oczami. Ma też zdjęcia ojca: krępy, włosy ciemne, na okrągłej twarzy łagodny uśmiech. Podobny dorosła Marta będzie widzieć w odbiciu w lustrze.

Marta Glanc, Warszawa, 5 września 2023 r.

U taty na parafii

→ Gdy przyjeżdża w odwiedziny, świeżo wyremontowany dom parafialny w Orchowcie robi na dziewczynce wrażenie.

– Stamtąd mam najwięcej wspomnień. Gdy przyjeżdżałam na wakacje, jeździliśmy nad pobliskie jezioro, z kuzynką wychodziłyśmy na rolki. Wspominam to ciepło. Może nie chodziliśmy z tatą za bardzo po ulicach, ale nie było tak, że mnie gdzieś ukrywano – wspomina Marta.

Czy ludzie wiedzieli, kim jest dziewczynka, która regularnie przyjeżdża do miasteczka?

– Wtedy myślałam, że nie – odpowiada Marta. – A gdy ja mówiłam koleżankom ze szkoły, że jadę do Orchowy, to nigdy nie wspominałam, kogo naprawdę tam odwiedzam.

Z dzieciństwa Marta wspomina ojca jako zaangażowanego księdza: takiego, który integruje się z dziećmi, organizuje majowe wycieczki na rowerach, wyjazdy na rekolekcje.

– Wydawało mi się, że parafianie go lubią. Im byłam starsza, tym ten obraz bardziej się komplikował. O Bogu i wierze rozmawiał ze mną rzadko.

Marta jest dzieckiem religijnym, gorliwie i z ochotą chodzi do kościoła.

– Przez większość życia myślałam, że jestem grzechem, że nie powinno mnie

być na świecie. Jako mała dziewczynka wielokrotnie zastanawiałam się: czy przez to, kim jest mój tata, jestem złą osobą? Wsparcia i opieki szukałam także w Kościele, ale wraz z dorastaniem coraz mocniej czułam odrzucenie, to, że nie powinno mnie tam być; wychodząc z mszy czułam się jak najgorszy człowiek na świecie. I choć nie praktykuję już od studiów i staram się pracować nad tymi przekonaniami, to słowa, które usłyszałam w Kościele, silnie we mnie tkwią.

Rodzina, którą mogłam mieć

Z tatą chodzą razem do kina i jeżdżą do McDonalda. Jako pierwsze dziecko w klasie ma telefon komórkowy. Przebłyski radosnego dzieciństwa przerywają inne wspomnienia: gdy gość na plebanii pyta, kim jest Marta, dziewczynka słyszy, że to tylko koleżanka siostrzenicy księdza.

– Żadna nasza sytuacja z relacji tata-córka nie była tak naprawdę normalna, zawsze w tle była tajemnica. Gdy spotykaliśmy się na przykład na kolację w restauracji, w pewnym momencie i tak pojawiała się coś, co burzyło tę iluzję normalnego rodzinnego posiłku – opowiada. – Ojciec opowiadał mi często o swojej mamie, mówił, co u niej słychać. Ale nigdy nie mówiliśmy o niej jako o mojej babci.

Marta powie to kilka razy: tajemnica odebrała jej nie tylko prawdziwego ojca, ale i całą rodzinę, którą mogła mieć.

– Moja biologiczna babcia i dziadek nie wiedzieli, a raczej cały czas udawali, że nie wiedzą, kim jestem. Gdy spotykałam ich na plebanii, zwracałam się per „pan”, „pani”. Ojciec raz powiedział mi, że gdyby jego mama dowiedziała się prawdy o mnie, to dostałaby zawału – mówi gorzko Marta. – Dziś jestem prawie pewna, że babcia z dziadkiem wiedzieli, ale stwierdzili, że jak będą udawać, to będzie lepiej. Chyba najtrudniej było im przyjąć, że Kościół wygląda inaczej, niż myśleli.

Ojciec Marty ma dwie siostry. Mała Marta miała dwie kuzynki i dwóch kuzynów do zabawy. – Siostry ojca znały prawdę, ale i tak w ich obecności „tato” paść nie mogło. Kuzynostwo nie wiedziało, a przynajmniej taka była oficjalna wersja – opowiada kobieta.

Mimo wszystkich tajemnic i niepisanych zasad Marta lubi jeździć w odwiedziny, spędzać z nimi czas. – Pragnęłam rodzinnej bliskości, czułości. Byłam już prawie dorosła, kiedy moja kuzynka szykowała się do ślubu, błogosławić miał mój ojciec. Nie zostałam zaproszona, nie pasowała do szablonu „normalnej” rodziny. Wtedy poczułam ostateczne odrzucenie i zerwałam z nimi kontakt – wspomina.

Bóg się rodzi

Na studiach Marta dostaje stałe wsparcie finansowe od ojca; wcześniej jest okazjonalne, nigdy nie ustalono konkretnych alimentów.

– Dziś wiele rzeczy oceniam inaczej: gdy tata coś mi kupował, to był to prezent, obdarowanie mnie, za które powinienam być wdzięczna. Nawet jak była to kurtka, z której wyrosłam, a to, że rodzic ją w takiej sytuacji kupuje, powinno być najnormalniejsze na świecie – mówi.

Im Marta jest starsza, tym gorsze stają się jej relacje z ojcem. Często się kłócą, po kłótniach następują okresy milczenia, które stają się coraz dłuższe. Na jeden z takich okresów wypada Boże Narodzenie. – Święta spędzał zwykle ze swoimi rodzicami, siostrami. Ze swoją rodziną. Mnie nie zaprosił nigdy – mówi gorzko.

Gdy niedługo po świętach na telefonie Marty wyświetli się nieznanym numerem, pomyśli, że to pewnie coś zawodowego i bez zastanowienia odbierze. – W słuchawce

Kościół wobec dzieci księży

JAKO TABU traktowany był jeszcze do niedawna w Kościele katolickim problem dzieci księży. Kapłan, przez święcenia „naznaczony wieczystym i nieusuwalnym znamieniem”, w sposób nieodwracalny zostaje wyłączony ze stanu świeckiego i przeznaczony do specjalnych zadań – głosi adhortacja Jana Pawła II „Pastores dabo vobis” z 1992 r. Celibat to przeznaczenie potwierdza.

NA DZIECKO w takiej wizji kapłaństwa nie ma miejsca. Gdy ono jednak się pojawiało, ojciec był na-

mawiany, by nie porzucał kapłaństwa. Biskup przenosił księdza daleko od matki i ewentualnie wspierał ją z tajnej diecezjalnej kasy alimentacyjnej. O dobru dziecka nie myślano. Gdy ksiądz mimo to porzucał kapłaństwo, mógł starać się o dyspensę od celibatu po osiągnięciu 40. roku życia.

ZMIANA nastąpiła za pontyfikatu Benedykta XVI. W 2019 r. kard. Beniamino Stella ujawnił, że Kongregacja ds. Duchowieństwa, kierując się wewnętrzną notą, udziela „automatycz-

nie” dyspensy księdzu, który chce podjąć opiekę nad dzieckiem. Pozostali z reguły są wydani do stanu świeckiego. Pozostała się pozostać tylko tym, których dziecko jest już dorosłe lub znalazło zastępczego ojca. Trzeci wyjątek, dość niejasny, dotyczy kapłanów, „którzy mieli w młodości bolesne doświadczenia uczuciowe i zapewnili swym dzieciom pomoc ekonomiczną, moralną i duchową, a dziś gorliwie i z zaangażowaniem pełnią swą posługę, przewyższywszy minioną niestabilność uczuciową”. ©© ASK

usłyszałam głos ojca, który wyrzucił mi, że nie zadzwoniłam do niego w Boże Narodzenie. Usłyszałam wtedy jedno z najbardziej absurdalnych zdań. „Nie tak cię wychowałem”. Cała rozmowa była pełna wyrzutów, po raz kolejny usłyszałam, że jestem „grzechem”, za który on ciągle płaci. Po tej rozmowie nasz kontakt został zerwany – mówi.

Ostatnia wizyta, ostatni puzzle

Ostatnie spotkanie z ojcem, podczas którego powie mu, że pisze książkę, którą chce wydać pod nazwiskiem, Marta nazwie pojedyńkiem.

– Pytałam go, czy nie ma dla mnie współczucia za to, jak wyglądało moje życie i jak zniszczyły je tajemnice. Pytałam, dlaczego całe życie przy innych musiałam mówić do niego „wujku”. Pytałam wreszcie: dlaczego wstydził się, że ma dziecko? Nie dostałam odpowiedzi. Zarzucił, że przedstawiam tylko swoją wersję i nie chcę go zrozumieć – relacjonuje Marta. – Czulałam, że nie chciał się ze mną dogadać. Na koniec powiedział, żebym wyszła i więcej się z nim nie kontaktowała. Poczułam się wtedy niejako „rozgrzeszona”, że otwarcie opowiadałam swoją... naszą historię. Nie wiem, czy przeczyta książkę. Nie wiem też, czy jeszcze kiedyś ze sobą porozmawiamy.

Zanim zacznę pisać, Marta długo rozmawia z mamą. – Była niepewna i przestraszona, ale rozumiała, dlaczego chcę to zrobić. Nasze relacje przez lata miały swoje wzloty i upadki, do niej również miewałam żal, ale mama, ojczym i siostra zawsze starali się dawać mi wsparcie – podkreśla. – Martwię się o nią, bo nadal mieszka w Strzelnie, a jak się żyje w małym miasteczku, nie trzeba tłumaczyć.

Mama Marty zgadza się, by córka opisała ich historie pod nazwiskiem. Postanawia dopisać też fragment historii ze swojej perspektywy.

Rozdział nosi tytuł „Ostatni puzzle”. Piśsze w nim: „Nie wiedział, jak bardzo bolało ją, gdy pani w przedszkolu kazała narysować ojca i to, czym się zajmuje w życiu, a Marta jeszcze wtedy nie wiedziała, kim tak naprawdę jest jej tata. Tego nie naprawię i mam codziennie do siebie o to żal”.

Bez żalu

– Czasem chciałabym, żeby to moje życie było... nie wiem, normalne, stereotypowe? Przez lata czulałam, że nigdzie nie

pasuję, że nie powinno mnie tu być. Mam trzydzieści cztery lata i ostatnio pomyślałam: szkoda, że nie mogło to wszystko przebiegać u mnie według klasycznych punktów programu. Że znalazłam sobie męża, wzięłam ślub, teraz mam dzieci i zajmuję się właśnie tymi codziennymi sprawami. A nie przerabianiem przeszłości, tego, co nie było moją winą – mówi. – Nie jest to proste, ale staram się nie mieć żalu do rodziców, Kościoła, całego świata, bo wiem, że to prowadzi donikąd.

Marta podkreśla, że nie chce przedstawiać się tylko jako osoba skrzywdzona: – Staram się też uważać na słowa, nie usprawiedliwiać, ale też nie przyjmować butnej postawy wobec Kościoła instytucjonalnego, bo nie chcę, żeby moja historia trafiła do worka z etykietką „atak na Kościół”.

Powiedzcie, że istniejemy

Marta próbuje nawiązać kontakt z Kościołem hierarchicznym. W sprawie swojej i swojego ojca pisze list do prymasa Wojciecha Polaka. Odpowiedź (którą cytuję w książce) jest dość krótka, opisuje wytyczne, jakimi w teorii kieruje się Kościół, gdy okazuje się, że ksiądz złamał celibat i ma dziecko.

– Cieszę się, że prymas w ogóle mi cokolwiek odpisał. Liczyłam na więcej empatii, osobistego podejścia do mnie; dostałam tylko oficjalne informacje, które znałam, bo kontaktowałam się z księdzem, który specjalizuje się w prawie kanonicznym. Taka odpowiedź była dla mnie jasnym sygnałem, na ile my, dzieci księży, jesteśmy ważni w Kościele – mówi Marta.

– Od tak zwanych „zwykłych” księży mam pozytywny odbiór, jeden z nich powiedział mi, że moja opowieść jest potrzebna Kościołowi. Inny napisał, że cieszy się, że coś takiego powstało, bo ma nadzieję na rozpoczęcie prawdziwej dyskusji o celibacie – mówi.

W Kościele i poza nim nie działa żadne stowarzyszenie ani fundacja, które skupiałyby działalność na dzieciach księży. Opinii publicznej temat przybliżyły w ostatnich latach książki: Marty Abramowicz „Dzieci księży. Nasza wspólna tajemnica” oraz Artura Nowaka, „Dzieci, które gorszą”.

Nie ma także danych: ile jest w Polsce dzieci, których ojcem jest ksiądz, pozostaje wielką tajemnicą.

Marta: – Moja historia nie jest odosobniona, rzadka, egzotyczna, jak wielu

chciałoby sądzić: dzieci księży jest więcej, niż się wydaje. Zastanawiałam się: jak nas policzyć? Bez współpracy z Kościołem będzie bardzo trudno. Może dałoby się zrobić Mapę Dzieci Księży, coś na kształt istniejącej Mapy Kościelnej Pedofilii, choć to sprawy zupełnie innego typu?

– Dostaję wiadomości i listy od osób, które piszą, że są dzieckiem księdza. Ale choćbym nie wiem jak wiele ich dostała, nigdy nie będzie to do końca rzetelne źródło, które pozwoli oszacować liczby. Może ktoś robi to dla żartu, prowokacji? Takie rzeczy trzeba sprawdzać, a z drugiej strony pojawia się myśl: jak mam to robić i czy mam w ogóle prawo do tego, by podważać czyjąś historię.

Co powinien dziś w tej sprawie zrobić Kościół? – Gdyby ktoś chciał posłuchać mojego głosu, to takie byłyby moje rady: na początek przyznajcie, że istniejemy. Wyjdźcie naprzeciw i nas policzcie. Zaopiekujcie się najmłodszymi dziećmi; upewnijcie się, że mają wsparcie finansowe, że matki nie zostały pozostawione same sobie. Do sądu po alimenty nie pójdą, bo się wstydzą – wylicza Marta. – Kościół tak dużo mówi o dzieciach, a tu ma dzieci, które czekają na zaopiekowanie się nimi – dodaje na koniec.

Ojciec święty

Marta napisała także list do papieża. – Odpowiedź dużo by dla mnie znaczyła. Wiem, że watykańskie procedury mogą trwać długo, ale nie tracę nadziei. Czekam.

„Wasza Świątobliwość, zwracam się do Ojca Świętego jako córka polskiego księdza katolickiego, która przez całe życie była zmuszona do życia w ukryciu i w przeświadczeniu, że jest grzechem.

Chciałabym podzielić się swoją historią i prosić o szansę spotkania z Waszą Świątobliwością, aby porozmawiać o dzieciach księży i pragnieniu uznania naszego prawa do istnienia. (...) Jestem gotowa dzielić się moją historią, aby pomóc przezwyciężyć traumy i wspierać dzieci księży w społecznościach na całym świecie.

Z wyrazami szacunku, Marta Glanc”.

© EWELENA BURDA



Marta Glanc
CÓRKA KSIĘDZA
Wydawnictwo Krytyki
Politycznej,
Warszawa 2023

Świętość zbanalizowana

MAGDALENA ŁANUSZKA

Obraz beatyfikacyjny sprzyja kultowi tym lepiej, im bardziej jest udany. Nie można tego powiedzieć o wizerunku Ulmów.

JUŻ W ŚREDNIOWIECZU UROCZYSTOŚCI wyniesienia kogoś na ołtarze wiązały się ze stworzeniem oficjalnego wizerunku tej osoby. Punktami wyjścia dla kształtowania się ikonografii świętego były chorągwie kanonizacyjne – najstarszą (prawdopodobnie) zachowaną na świecie jest chorągiew św. Jacka, kanonizowanego w 1594 r., przechowywana w krakowskim klasztorze dominikanów. Zawiera przedstawienie wizji św. Jacka, którego wzorcem był obraz późnogotycki datowany na ok. 1500 r., dziś znajdujący się w kościele parafialnym w Odrowążu.

„Prawdziwy wizerunek” (łac. *Vera effigies*) promowany od momentu wyniesienia kogoś na ołtarze, ma w założeniu wspierać rozwój kultu, być wzorcem do kopiowania. Starano się zakorzenić go w jak najstarszych przekazach o danej osobie, często też wzorcami kompozycji stawały się najdawniejsze dostępne wizerunki (nawet jeśli powstały kilkaset lat po śmierci świętego).

Autorem obrazu beatyfikacyjnego rodziny Ulmów jest Oleg Czyżowski; dzieło zostało opatrzone inskrypcją „Deo juvante” („z Bożą pomocą”). Trochę to pozwala wątpić w możliwości Boga, bo niestety zarówno ten, jak i kilka innych wizerunków rodziny Ulmów pozostawiają sporo do życzenia, tak w kwestii jakości artystycznej, jak ikonografii.

Prawdziwy wizerunek?

Wiejska rodzina żyjąca na Podkarpaciu w pierwszej połowie XX wieku niekoniecznie musiała posiadać zdjęcia wszystkich domowników. W tym jednak wypadku mamy sytuację zupełnie wyjątkową – oto bowiem Józef Ulma osobiście fotografował swą rodzinę własnoręcznie skonstruowanym aparatem i czynił to naprawdę dobrze. Nie tylko zatem mamy liczne zdjęcia rodziców i dzieci, ale w dodatku są one rzeczywiście „prawdziwe” – nie mają formy „pozowanych” portretów, ale ilustrują uchwycone momenty codziennego życia. Tym, co rzuca się w oczy w zdjęciach Józefa Ulmy, są pełne miłości relacje członków jego rodziny, co zupełnie przepadło w kompozycji obrazu.

Przeglądając zdjęcia rodziny z Markowej znajdziemy ujęcia, które wykorzystał malarz – tylko że wprowadził przy tym znaczące zmiany, przede wszystkim rezygnując z ukazania więzi między osobami. Oryginalna fotografia ciężarnej Wiktorii uwieczniła ją jako patrzącą z czułością na najmłodsze dziecko, które trzyma na rękach – w obrazie natomiast kobieta patrzy przed siebie. Wydaje mi się, że starsze córki zostały sportretowane na podstawie dwóch różnych zdjęć, w których jedna trzyma ręce na ramionach brzości, a druga trzyma jabłko i kubeczek. W obrazie jednak ta pierwsza została ukazana z dłońmi złożonymi do modlitwy, druga zaś jako trzymająca lilie, czyli symbol czystości (niezrozumiały w przypadku przedstawień dzieci).

Jedyną interakcją między dziećmi w obrazie to przedstawienie chłopca, który podaje siostrze krucyfiks wykonany ze związanych patyczków. Nacalnie sugerowana pobożność dzieci nie ma nic wspólnego z ich zachowanymi fotografiami; kompozycja zawiera za to wiele religijnych symboli. Ojciec trzyma w dłoni palmę męczeństwa, zapewne w imieniu całej rodziny. Małżonkom zostały również domalowane rzucające się w oczy obrączki.

Jakie tradycje artystyczne złożyły się na stworzenie takiego właśnie wizerunku rodziny Ulmów, który w ostatecznym kształcie nie zachwyca ani głębią przekazu, ani jakością artystyczną?

Tradycje oleodruków

Zdobienie wnętrz mieszkalnych dziełami sztuki jest symbolem statusu społecznego i ekonomicznego. Rozwój technik graficznych w Europie od XV wieku pozwolił na produkowanie tanich dekoracji na ściany w domach tych, których nie było stać na obrazy. Grafiki byłyby kolorowane, ale druk barwny rozpowszechniła przede wszystkim technika chromolitografii, opracowana w pierwszej połowie XIX wieku. Aby upodobnić odbitki do obrazów olejnych, do druku używano farb z dodatkiem oleju (stąd nazwa „oleodruk”), czasem też drukowano na papierze, którego faktura mogła przypominać płótno, oraz pokrywano lakierem imitującym połysk werniksu.

Estetyka tych tanich „obrazów” była dostosowana do oczekiwań masowego (i zazwyczaj konserwatywnego) odbiorcy. Stąd neoklasykująca stylistyka połączona z sentymentalizmem o korzeniach romantycznych (teatralność gestów, rysy twarzy postaci nadające im wrażenie delikatności, a zarazem uduchowienia).

To, co w XIX wieku było popularne w masowej sztuce – nie tylko religijnej – w wieku XX przetrwało przede wszystkim w obszarze dewocjonałów. Może tu wchodzić w grę pewien uniwersalny trend preferowania form archaizujących w przypadku sztuki sakralnej. Takie zjawisko nie dotyczy jedynie chrześcijaństwa – otoczenie jakiegokolwiek wizerunku kultem sprawia, że jest on przechowywany przez wieki nawet w przypadku bardzo słabej obiektywnej wartości artystycznej, podczas gdy świecka sztuka uznana za przestarzałą bywa bez

OGŁOSZENIE



WARSZAWA: Poszukujemy nieustannie partnerów w dialogu i nowych tematów. Przyjdź, włącz się do rozmowy i działań Klubu „TP” Warszawa.



Koordynatorka
Joanna Różga
warszawa@klubtygodnika.pl

Więcej informacji o Klubach „TP” na klubtygodnika.pl



STOWARZYSZENIE
IM. JERZEGO TUROWICZA



Lucas Cranach, *Święte pokrewieństwo* (Ołtarz Torgau), 1509 r. Pośrodku Maryja, obok św. Anna trzymająca Jezusa, po lewej śpiący św. Józef. Powyżej trzej mężowie św. Anny. Po bokach przybrane siostry Maryi z mężami i dziećmi.

żału zastępowana nowszymi, czy też po prostu lepszymi dekoracjami. W efekcie owe starsze przedstawienia zaczynają w masowej świadomości funkcjonować jako uosobienie *sacrum*, a nowe dzieła religijne powielają stylistykę tych dawniejszych, aby owo *sacrum* zachować.

Namalowany u schyłku pierwszej ćwierci XXI wieku portret rodziny Ulmów czytelnie osadzony jest w tradycji dziewiętnastowiecznych religijnych oleodruków – szczególnie w przypadku wizerunków dzieci, jakby żywcem wyjętych z ilustracji rymowanej modlitwy „Aniele Boży, stróżu mój”.

Monidło w każdej chałupie

Kolejnym zjawiskiem, o którym należałoby wspomnieć w odniesieniu do estetyki portretu Ulmów, jest popularność tzw. monideł, czyli podmalowanych fotografii. Tworzono w ten sposób tanie zamienniki malowanych portretów: bazą były zdjęcia, mniej lub bardziej przemalowane – czasem warstwa malarska stanowiła retusz, czasem zaś znacząco zmieniła oryginalny wizerunek (np. poprzez zmianę fryzury, dodanie biżuterii czy modyfikację elementów stroju).

Najczęściej monidła zdobiące ściany małżeńskich izb ukazywały męża i żonę w popiersiach, nierzadko w formie wspólnego portretu ślubnego. Mógł to być jednak portret wtórnie zmontowany

z dwóch niezależnych zdjęć. Ten fakt, jak również najstarsze tradycje fotografii studyjnej (gdy ze względu na długi czas naświetlania wymagane było cierpliwe pozowanie w bezruchu) sprawiają, że rodzinne portrety w formie monideł nie ukazywały interakcji między portretowanymi. Zwykle były to dość sztywne przedstawienia postaci patrzących przed siebie.

Trudno oprzeć się wrażeniu, że kompozycja beatyfikacyjnego obrazu rodziny Ulmów ma nam właśnie przynosić skojarzenie z tradycyjnym monidłem – popularnym na polskich wsiach jeszcze w latach 80. XX wieku wyidealizowanym wizerunkiem szczęścia małżeńskiego, mającym niestety zazwyczaj niewiele wspólnego z rzeczywistością.

Kłopotliwy nimb

Artystyczne aspekty obrazu to jedna kwestia, ale drugą jest jego ikonografia. Czy święci muszą mieć aureole wokół głów? Oczywiście, że nie muszą. Antyczna tradycja ilustrowania blasku świętości poprzez nimb wokół głowy ugruntowała się w sztuce średniowiecznej, lecz u schyłku tej epoki coraz popularniejsze stawało się ukazywanie świętych niczym zwykłych ludzi, nie tylko bez żadnych promieni, ale także w realiach ówczesnej codzienności (czyli w XV- lub XVI-wiecznych strojach i wnętrzach). Zabronił tego Sobór Trydencki (1545-1563) argumentując,

że święci nie powinni być przedstawiani tak samo jak ci, którym do świętości daleko. Nie oznacza to jednak, że wszyscy artyści dostosowali się do soborowych wymogów.

Trzymanie się tradycji domalowania nimbu każdemu z członków rodziny Ulmów wygenerowało poważny problem: jak zaznaczyć świętość (czy w ogóle obecność w obrazie) siódmego, również beatyfikowanego dziecka? Nie jest to, wbrew pozorom, przełomowy precedens wyniesienia na ołtarze osoby nienarodzonej: uznano bowiem, że dziecko przyszło na świat. W czasie egzekucji będąca w siódmym miesiącu ciąży Wiktoria zaczęła rodzić, a świadkowie ekshumacji jej ciała zauważyli, że główka i górna część torsu dziecka znalazły się poza jej drogami rodzinnymi, zanim zginęła. Odkładając na bok problematyczne pytanie, czy można taki stan rzeczywiście nazwać przyjściem na świat, w kontekście obrazu należy się zastanowić, jak ewentualnie takiego noworodka ukazać.

Może należało zdecydować się na symboliczne przedstawienie duszy dziecka już w ramionach matki? Dodanie nimbu do ciężowego brzucha, niezależnie od teologicznych wyjaśnień hierarchów, z pewnością w powszechnym odbiorze będzie skutkowało mniemaniem, że oto mamy do czynienia z wyniesionym na ołtarze płodem.

→ Nie jest to jednak przedstawienie całkiem bezprecedensowe, choć jego pierwowzory mają nieco inny kontekst narracyjny. Oto bowiem w średniowiecznej sztuce zdarzały się takie ilustracje Nawiedzenia, w których lepiej niż na badaniu USG widzimy nienarodzone jeszcze dzieci w „przeświełnionych” łonach Marii i Elżbiety. Wynikało to z chęci jak najdosłowniejszego zilustrowania zapisu Ewangelii: „Gdy Elżbieta usłyszała pozdrowienie Maryi, poruszyło się dzieciątko w jej łonie, a Duch Święty napełnił Elżbietę” (Łk 1, 41). Po pierwsze zatem, artyści musieli pokazać, że Maria i Elżbieta były w ciąży – nie jest to oczywiste w sztuce średniowiecznej, gdy ideał urody kobiecej stanowiła sylwetka o szerokich biodrach i wypukłym podbrzuszu, przez co nawet święte dziewice wyglądają, jakby właśnie zbliżał im się termin porodu.

Po drugie, chodziło o podkreślenie roli św. Jana Chrzciciela jako tego, który pierwszy – jeszcze w łonie matki – rozpoznął obecność Mesjasza. Stąd też charakterystyczne pozy nienarodzonych jeszcze chłopców na brzuchach matek: Dzieciątko Jezus najczęściej błogosławi, podczas gdy Jan adoruje, często nawet na klęczkach. Moim ulubionym przykładem jest inicjał z XIV-wiecznego gradułu z klasztoru Wonnental koło Kenzingen – nastąpiła w nim bowiem migracja łon Marii i Elżbiety, i w efekcie obie kobiety zostały ukazane z nienarodzonymi jeszcze dziećmi umiejscowionymi w okolicy mostków. To z kolei niesie skojarzenia ze średniowiecznymi ilustracjami „narodzin” Kościoła (tzn. *Ecclesii*, która wylania się z przebitego boku Chrystusa), wywodzącymi się z kolei z przedstawień stworzenia Ewy (z żebra Adama) – ale ostatecznie efekt jest po prostu komiczny.

Średniowieczni artyści chętnie sięgali do zaskakujących formuł ikonograficznych, aby dosłownie zobrazować jakieś teologiczne zagadnienia. Czasami skutki tego były odmienne od zamierzonych (czego właśnie obawiam się w przypadku beatyfikacyjnego wizerunku Ulmów). Znakomitym przykładem może być tzw. *puer parvulus formatus*, czyli motyw zabroniony ostatecznie przez Sobór Trydencki. Było to takie przedstawienie Zwiastowania, w którym w kierunku podbrzusza Marii leci Dzieciątko Jezus, wysłane przez Boga Ojca, zazwyczaj trzymające krzyż zapowiadający mękę. Chodziło o to,



Oleg Czyżowski, *Ulmowie*, 2023 r.

żeby pokazać, iż moment Zwiastowania był zarazem momentem Wcielenia – dlatego zresztą wydarzenie to wspominane jest 25 marca, czyli dokładnie 9 miesięcy przed Bożym Narodzeniem.

Szkopuł w tym, że bardzo ważnym aspektem jest założenie, że ludzkie ciało Chrystusa było w całości z ciała Matki Boskiej, a tymczasem owe średniowieczne obrazy sugerują, że Bóg w jakiś sposób zaimplementował w łonie Marii gotowe już Dzieciątko. Dlatego właśnie w XVI wieku zabroniono takich przedstawień, a te już istniejące były masowo zamalowywane. Historia zatem uczy, że należy ostrożnie posługiwać się potencjalnie dwuznacznymi motywami ikonograficznymi.

Pierwsza święta rodzina

Podkreślenie żarliwej pobożności dzieci Ulmów zapewne ma kreować obraz niepozwalający na kwestionowanie zasadności ich beatyfikacji, ale także wpisuje się w prastarą narrację żywotów, w których przyszli święci bywali opisywani jako nienaturalnie dojrzały i bardzo pobożni nie tylko już w dzieciństwie, ale wręcz w niemowlęctwie. Z drugiej jednak strony nie była to żelazna reguła – pięknych przykładów dostarczają nam obrazy tak zwanej Rodziny Marii. To zresztą mogłaby być w ogóle znakomity punkt wyjścia dla przedstawienia świętej rodziny wieloosobowej – szkopuł w tym, że wzorzec ten popadł w zapomnienie.

Hasło „święta Rodzina” dziś kojarzymy głównie z obrazami przedstawiającymi Marię, Józefa i małego Jezusa – siłą rzeczy nie mogą one stanowić pierwowzoru relacji między członkami większej, wielodzietnej rodziny. Tymczasem na przeło-

mie średniowiecza i nowożytności wielką popularnością cieszyły się obrazy pełne świętych dzieci i ich rodziców: były to ilustracje apokryficznych legend o rodzeniu Matki Bożej. Częściowo miały one za zadanie wyjaśnić problematyczny fragment Ewangelii przekazujący, co sąsiedzi mówili o Jezusie: „Czyż nie jest On synem cieśli? Czy Jego Matce nie jest na imię Mariam, a Jego braciom Jakub, Józef, Szymon i Juda? Także Jego siostry czy nie żyją wszystkie u nas?” (Mt 13, 54-56; Mk 6, 2-3).

Dla utrzymania założenia, że Maria pozostała dziewicą i była matką jednego tylko dziecka, tłumaczono, że fragment ten odnosi się nie do rodzonych braci i siostr Jezusa, lecz do jego kuzynów. Ponadto starano się powiązać z rodziną Marii inne niewiasty wymienione w Ewangeliach; w efekcie powstała opowieść o trzech małżeństwach św. Anny (*Trinubium Annae*), która z każdym ze swych mężów (Kleofasem, Salomasem i Joachimem) miała mieć po jednej córce, a wszystkie dostały to samo imię. Stąd mamy Marię Kleofasową oraz Marię Salome (uważaną też za żonę Zebedeusza). Dziećmi owych Marii (w różnych konfiguracjach w zależności od wersji legendy) mieli być wspomniani w Ewangelii „bracia” Jezusa (tzn. Jakub, Józef, Szymon i Juda), oraz apostołowie Jakub i Jan (synowie Zebedeusza). Najbardziej rozbudowane przedstawienia Rodziny Marii zawierały wizerunki ponad 20 osób. Ze względu na niespójności różnych wersji tej legendy, a przede wszystkim na jej apokryficzne pochodzenie, zrezygnowano z tego typu przedstawień po Soborze Trydenckim.

Tymczasem dziś, poszukując tradycji ikonograficznej dla obrazu wielodzietnej rodziny, której wszyscy członkowie są święci, warto sięgnąć do tych właśnie późnogotyckich dzieł. Oto bowiem zobaczymy, że dało się ukazać przyszłych świętych jako bawiące się dzieci, święte matki zaś w pełnym czułości akcie karmienia piersią.

Czy zatem właśnie z tych powodów w XXI wieku *Vera effigies* rodziny Ulmów nie mógł zostać wykreowany po prostu w formie kolażu istniejących fotografii? Czyżby realnie zachowane prawdziwe wizerunki tej pełnej ciepła i miłości rodziny były nie dość pobożne, zbyt swobodne lub za bardzo zwyczajne, aby reprodukować je na ołtarzach? © MAGDALENA ŁANUSZKA

ZUZANNA

Radzik:

Dzień Adamowicza



„CZY JUŻ OBCHODZICIE DZIEŃ ADAMOWICZA?” – dopytywał znajomy Izraelczyk parę miesięcy po zamachu na prezydenta Gdańska. Zupełnie nie wiedziałam, o co chodzi. „Dzień Adamowicza – kontynu-

ował – taki dzień we wszystkich szkołach w Polsce, który powinno ogłosić ministerstwo edukacji. Byłby poświęcony refleksji nad tym, do czego prowadzi szerzenie nienawiści”. Parsknęłam. Ministerstwo edukacji nie wprowadzi takiego dnia, bo choć ministrami były wtedy Anna Zalewska i nic nie wróżyło tego, co nas jeszcze może w kwestii ministrów spotkać, to temperatura sporu politycznego była już wysoka. „Ale dlaczego?” – dopytywał tamten. – To nic nie znaczy, że jest z innej opcji politycznej, po prostu powinna wiedzieć, że przyzwolenie na nienawiść i przemoc jest złe i że ta przemoc może osiągnąć i ją”.

Myślę o tym czasem, gdy kolejna osoba publiczna doświadcza nagonki albo kolejna znajoma samorządowczyni pisze, jakie koszty psychiczne ponosi jej rodzina, gdy rozprawiają się z nią lokalne media. Skoro jesteś polityczką, musisz mieć grubą skórę – odpowiadali ludzie, gdy się skarżyła. Albo gdy koleżankę dziennikarkę zalał w internecie hejt, być może generowany przez maszyny, ale wciąż okrutny. I zupełnie niedawno, gdy przeczytałam o kandydatce na posłankę w Dębicy. Gdy zbierała z koleżanką podpisy, nazywano je „idiotkami”, „k...”, które powinny stać przy garach” oraz na zmianę „Ruskami” i „Niemkami”. „Ściągniemy z ciebie tę szmatę!” – mówili o koszulce Koalicji Obywatelskiej, w którą była ubrana. Z kolei na Kongresie Kobiet w jednym z paneli posłanka opowiadała, jakie komentarze na swój temat słyszy od posłów w Sejmie RP. I nie są to parlamentarne słowa. Może faktycznie potrzebujemy w szkołach i w kraju Dnia Adamowicza. Dnia o tym, że są rzeczy, na które w życiu publicznym nie można się zgadzać. Dnia o tym, że nienawiść, którą się nie przejmujemy i której nie zatrzymamy, zniszczy nas jako społeczeństwo.

Wtedy machnęłam ręką. Przecież dopiero co na placu w Katowicach wieszano na szubienicy portrety europosłów i nawet policja nie interweniowała. Obraz wieszanych w czasie happeningu portretów ludzi tylko go rozsierdził. Jego wrażliwość na przemoc i nienawiść eskalowała w lament, że tak nie można i ludzie muszą to rozumieć. Była obsesyjnym sporem ze światem, który nie widzi, jak niebezpiecznie osuwa się w obojętność wobec tego, co straszne. Zawstydzało mnie, że ja już tego nie mam. Wzruszam często ramionami. Może nie toleruję pogardy, ale jakoś przywykłam. Nie umiem przejąc się tak głęboko. Przyzwyczaiłam się do brutalności życia publicznego, jakby tak musiało być.

Nie zazdrościłam jednak źródła wrażliwości, którego się domyślałam. Zza lamentu przeziarała trauma byłego dowódcy czołgu, lewicowego chłopaka, który odsłużył, ile trzeba w izraelskiej armii. Doświadczał przemocy i jej używał. Wiedział o niej więcej niż ja. Policzyłam w głowie, że jego trzy lata służby przypadły gdzieś w końcówce drugiej intifady, ale zahaczyły o drugą wojnę libańską. Trauma tamtych przeżyć sprawiała, że na przemoc reagował gorączkowo. Jakby za każdym razem dotykała go osobiście. Wystarczył nawet jej cień, np. gdy odwiedzał Warszawę i zabraliśmy go ze znajomymi na popularny w stolicy humus. Na ścianie wisiał plakat księżniczki Lei z gwierrą, obok drugi z wystylizowanym granatem ręcznym. Za barem podwieszono coś na kształt torpedy. Modne miejsce. Ledwo coś przełknął, tylko powtarzał wstrząśnięty: „Czy oni nie rozumieją, że to służy do zabijania ludzi?”. Nie pomogły wyjaśnienia, że to tylko wystrój.

Do dziś nie wiem, czy chciałabym mieć tak się przejmować, czy stałoby się to jednak nie do wytrzymania.

Pomysł na Dzień Adamowicza przypomniał mi się, gdy przeczytałam, że jedynką na liście Konfederacji z Sosnowca jest człowiek, który wieszal tamte portrety europosłów na szubienicach. Lider Ruchu Narodowego Zagłębia Dąbrowskiego kandydował już wcześniej do Sejmu, a w 2019 r. nawet do Parlamentu Europejskiego. Jako jeden z dwóch prowadzących katowicką pikietę został wiosną 2023 r. skazany na grzywnę i pokrycie kosztów procesu, ale wyrok nie jest prawomocny. Jeśli mu się uda tym razem, a w końcu może się udać, to radykalny przedsiębiorca zostanie posłem. Nie pierwszy radykał i nie sam, bo ze swoją partią. Wzruszę ramionami, jak po jego szubienicowym performansie w Katowicach, czy jednak przejdzie mnie dreszcz, gdy z kolegami zaczną kształtować prawo i państwo?

©



Serwisy specjalne: patrz szerzej

KRYZYS KLIMATYCZNY

Jak zatrzymać katastrofę

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/KRYZYS-KLIMATYCZNY



PRZEDOSTATNI DŹWIĘK

Nie wolno na byle co dzwonić, to nie jest dzwon poświęcony na byle co. Kim pan jest?
Jest pan biskupem albo jakim ojcem świętym, żeby trzeba było dzwonić?

TEKST **JACEK PODSIADŁO** | ZDJĘCIA **JACEK TARAN**



WITAJCIE, PANIE!

Stasek Kowalczyk witał mnie z daleka, zanim sam otworzyłem gębę: – Panie Stanisławie, niby słońce świeci, ale w interesie piszą, że idzie burza!

- Ee, chyba ni – zaśmiał się. – Óni cyganie!
- Ale zadzwonić trzeba, na wszelki wypadek.
- No, mogliemy. Byliście w górze?

Dokumentujący orawskie kapliczki, figury i krzyże fotograf Antoni Krzewniak tytułem wstawy swoich prac uczynił kiedyś cytat „Od nos blizy do nieba”. A we wstępie do „Zwyczajów, obrzędów i symboli religijnych” Józef Keller pisał: „Wszystko, co jest wysoko, jest albo już »w niebie«, albo »blisko nieba«. (...) Im wyższe są sfery, tym bardziej są przepojone »świętą siłą«”. Tak, na wstępie nie zaszkodzi przypomnieć sobie tego co fundamentalne i węgielne, czasem oczywiste, co leży u podstaw, np. w języku. Od kilku dni obracam się w wyższych sferach.

– A, w Zubrzycy Górnej? Byłem, byłem. Ksiądz mnie nie wpuścił do kościoła.

– A który to kościół?

Zubrzyca Górna jest tak długa, że kościoły są aż trzy.

– Św. Antoniego. Ta niby kaplica.

– A, to w Zimnej Dziurze byliście!

Przyciągnął mnie na Orawę wspólny dla niej oraz Spiszu i Podhala mit rejonu, „gdzie loretańska sygnaturka brzmi i turlika: *Vivos voco!*”. To z poematu Micińskiego „Wiatr halny”. Dlaczego sygnaturka u niego „turlika”? Bo to dobra onomatopeja dla turlającego się po górach dźwięku dzwoneczków i po dziś dzień małe dzwonki, przede wszystkim janczary, to w gwarze podhalańskiej turliki. A dlaczego jest „loretańska”?

Wśród cudowności taszczonych przez pielgrzymów z Loreto były też cudowne dzwonki. Pochodzenie z Loreto nadało im moc rozpędzania burz i, jakże poetyckiego, „odwracania” lub zgoła „łamania” piorunów. Zachowało się sporo opisów ich używania, z epizodów orawskich warto tu przywołać opublikowane w 2003 r. na łamach „Rocznika Babiogórskiego” wspomnienie Anny Pytlińskiej-Spiss o wakacjach w pobliskiej Sidzinie w 1949 r. i awanturze, jaką zrobiła dzieciom z miasta miejscowa gospodyni, kiedy znaleziony w szufladzie dzwonek loretański zawiesiły na szyi kotu. Obdzwanianie domostwa dzwonkiem loretańskim wtórowało biciu w kościelne dzwony. Tamto miało zapewniać ochronę przed gradem i gromem całej parafii, to było sposobem zabezpieczenia własnego domu. Z czasem poczęto zawieszać dzwonki na drzewach lub krzyżach przydrożnych, wreszcie trzeba było budować osobne dzwonnice dla tych naprawdę sporych, zamawianych u ludwisarzy. I na dzwonnice takie również przeszło miano dzwonnicy loretańskich. Stawiano je często za wsią, co w górach prawie zawsze oznacza też nade wsią. I chyba nigdy w bezpośredniej bliskości kościoła.

Zwyczaj odpędzania burzy dzwonami zaczęto zwalczać, kiedy porachowano przypadki porażenia piorunem dzwonników. Wieże dzwonnice jako najwyższe punkty ściągają pioruny, mokry od deszczu sznur znakomicie przewodzi prąd, dziś to wiemy, ale kiedyś? Na pograniczu podhalańsko-spi-

skim śmierć w walce z burzą poniósł jeszcze w 1967 r. 33-letni strażak Franciszek Kapołka, rażony piorunem podczas dzwonięcia w murowanej dzwonnicy loretańskiej na przełęczy nad Łapszanką. Od tego tragicznego wypadku łapszaniecki dzwon służy jedynie do dzwonięcia na Anioł Pański i tylko przy ładnej pogodzie.

Jan Górak w „Twórczości Ludowej” z 1996 r. opisał przypadek z roku 1960, kiedy to Józef Leśniak, dzwonnik z Bukowiny pod Biłgorajem, tak skutecznie odpędzał znad własnej wsi chmury gradowe, że mieszkańcy sąsiedniej Biszczy pozwalali go przed kolegium do spraw wykroczeń za regularne nasyłanie gradu na ich pola. Sąd skazał nawet Leśniaka na 200 zł grzywny, ale sąd odwoławczy w Lublinie grzywnę anulował, zakazując mu jedynie dzwonięcia po nocach, co zdaje się wskazywać, że pretekstem dla niezadowolonych biszczan było zakłócanie spokoju przez ambitnego dzwonnika.

Bliżej dzwonu

Od średniowiecza do 1918 r. dzisiejsze Zubrzyce Górna i Dolna należały do Królestwa Węgierskiego. Nazwały się po węgiersku Felsőzubrica i Alsózubrica, po słowacku Horná Zubrica i Dolná Zubrica, po polsku zaś Zubrzyca Wyżnia i Zubrzyca Niżnia. Przekraczając dawną granicę węgierską, przekroczyłem zarazem granicę działów wodnych i za sprawą potoku Zubrzyca wpadającego do Czarnej Orawy, która zasila Orawę, która wpada do Wagu, znalazłem się w dorzeczu Dunaju.

Już pierwszy mężczyzna w słusznym wieku, jakiego zaczępiłem w Zubrzycy Górnej, był świetnie zorientowany w temacie. Wyjaśnił, że jedna dzwonnica jest „w muzeumie” (tutejszy skansen powstał w latach 50. jako jeden z pierwszych w PRL). Druga, owszem, stoi jeszcze z boku wsi, ale dzwonu w niej już nie ma. Gdzie się podział? A tu jest! Orawiec wskazał na wieżę kościoła, obok którego akurat staliśmy. Dzwon, który dawniej rozpędzał chmury burzowe, teraz wzywa ludzi na nabożeństwo. Kiedy się dowiedziałem, że dzwoni nim „po dawnemu” pani kościelna, obiecałem sobie wrócić tu następnego dnia. Był sobotni wieczór i pognałem na kwaterę w Zubrzycy Dolnej. Tam z miejsca zapytałem gospodynię o dzwonnice, zaraz potem o dzwon, potem o dzwonnika. Wszystko było! Szczególnie w dzwonnika, którego literatura przedmiotu omawia jako był już niewystępujący, nie mogłem uwierzyć, ale wystarczyło wyjść za róg i gospodyni pokazała mi jego dom. Zastrzegła, że ludzie tutaj wierzą, że dzwonięcie na chmury przynosi skutek. Sama żarliwie potwierdzała, że pamięta niejedno gradobicie, jakie zmaltretowało okolicę, a Zubrzycę Dolną zawsze ominęło, bo Stasek Kowalczyk zadzwonił na czas.

Stanisław drapał się po głowie. To, że przyjechałem z daleka, nie jest wystarczającym powodem, żeby bić w dzwon. Najlepsze by były chmury burzowe. „On na to był poświęcony”. Czasem też dzwoni się na pogrzeb, jak sobie ktoś zażyczy. Dzwoniłoby się też „na ogień”, ale nie ma potrzeby, bo zanim pioruny go przyniosą, już są odwrócone dzwonieniem na burzę, tak dobrze spełnia swoje zadanie Stanisław Kowalczyk. Na szczęście znalazłem stronnika w osobie brata dzwonnika, który przypomniał mi jakieś dzwonięcie na życzenie sprzed lat i przykazanie miłości bliźniego. Stało na tym, że niech będzie, pójdziemy dzwonić i nagrywać nazajutrz po sumie, jak Stanisław wróci z kościoła, a ja z góry. A na razie mogę sobie

Zabytkowa dzwonnica z XVIII wieku w Zubrzycy Dolnej na Orawie i jej dzwonnik Stanisław Kowalczyk, 3 września 2023 r.

→ w dzwonnicy siedzieć, oglądać i fotografować, ile chce, byle sznura się nie imać.

W dzwonnicy siedzi się wygodnie, bo centralne miejsce zajmuje przywleczony skądś i okryty jaskrawoczerwoną narzutą fotel. Na ścianach święte obrazy i obrazki, wśród nich dwa portrety papieża i oprawiony w pozłacaną, ale obłożącą ramę plakat „Ofiarom Grudnia 1970”. Jest „Bolesny widok Pana Jezusa” przykutego za ręce do ściany lochu, „Pamiątka z Kalwarii Zebrzydowskiej”. W ogóle sporo bolesnych widoków, bo także wszystkie sekwencje Drogi Krzyżowej na realistycznych ilustracjach. Krzyże, figurki Maryi, sztuczne kwiaty, aniołki. Modlitewnie szeleszczą w przeciągach wstążki wycięte z barwnej bibuły. Przede wszystkim jednak kuszą schody na górę. I łańcuch spływający przez dziurę specjalnie dla niego wyborowaną w powale. Dowiązany do łańcucha zakazany sznur zahaczony jest o gwóźdź przy wejściu nad małą naścienną kropielniczką.

Sam dzwon okazał się większy i wyżej zawieszony, niż się spodziewałem. Kiedy podniosłem rękę, brakowało mi jeszcze co najmniej półtora metra. Mając dużo czasu, spożytkowałem go na skonstruowanie drona ludowego. Nie wiem po co, ale leżały tutaj grabie. Może ktoś grabił siano w okolicy i wykorzystał dzwonnice jako schowek na narzędzie, którego jednak nie chciał trzymać wśród dewocjonaliów. Ja zaś zawsze staram się mieć przy sobie tę bardzo mocną taśmę klejącą, przydatną we wszelkich okolicznościach życia doczesnego, w którym jakże często coś pęka albo się rwie. Przykleiłem teraz do styliska grabi swoją kamerkę i już miałem drona jak się patrzy. Omiotłem dzwon z bliska okiem kamery i po chwili mogłem obejrzeć go sobie z bliska na miniaturowym podglądzie.

Najbardziej ciekawiły mnie, rzecz jasna, litery. Te na szyi układają się w napis: FUDIT ME IOANN GEORG KNOBLOCH NEOSOLII ANNO 1785. Czyli „Ulał mnie Jan Jerzy Knobloch z Nowej Soli roku 1785”. Przy czym Nowa Sól (Neosolium, Neusohl) to dawna nazwa dzisiejszej Bańskiej Bystrzycy. Ludwarski lud Knoblochów stamtąd dobrze jest znany w okolicy, mistrz Jan Jerzy w szczególności. Stworzone przez niego w latach 1778-1807 dzwony dzwoniły, a po części dzwonią nadal w Czańcu, Wadowicach, Ludźmierzu, Białej, Nowym Targu, Poroninie, Cieszynie, Lipnicy, Czarnym Dunajcu, Lachowicach... Serce bardzo piękne, pomarszczone jak u zawałowca. Nietypowe, bo uformowane płasko, kula wydłużona do kształtu bliskiego mandorli przechodzi w ogon zakończony rodzajem półksiężycza czy kołyski.

Wokół wieńca dwa napisy. Pierwszy, S. MARIA M. D. O. P. N., stanowił rebus, nad którym musiałem trochę pomyśleć, zanim odgadłem że to „*Sancta Maria Mater Dei ora pro nobis*”. Z drugim poszło mi gorzej. Ogólny sens zrozumiałem, nie jestem tylko pewien brzmienia, a tym bardziej znaczenia pierwszego słówka. CORAT[?] ME MICHAELI KOSAK REFUSA. Czyli dzwon informuje, że odlano go dzięki Michałowi Kosakowi, zresztą Knobloch miał zwyczaj umieszczania nazwiska fundatora w tym miejscu. Ale wyraźne CORA z niewyraźną piątą literą, być może zlewającą się w ligaturę z M, nic mi nie powiedziało.

**Kiedy dzwonnik uzna,
że dość dzwonienia,
jednym szarpnięciem osadza
dzwon w miejscu
jak rozbrykanego konia.
Dlatego ostatni akord
dzwonienia to zarazem
akord najmocniejszy.**

Burza w szklance wody

W niedzielny poranek znów byłem w Zubrzycy Górnej, wtedy jeszcze nie wiedząc, że jestem w Zimnej Dziurze. Kościelną przylapałem w zakrystii z kielichem pełnym hostii w jednej, a foliową torbą z zapasem komunikantów w drugiej ręce. Upychała hostie w kielichu, który i tak już pękał w szwach. Wyrecytowałem to co zwykle, że dzwon, że przepraszam, że z daleka, że hobby. Nie mogła za bardzo gestykulować przez te komunikanty, ale głową pokręciła dała radę. Na wejście pod sam dzwon to ksiądz proboszcz musiałby dać pozwolenie. Jeszcze go nie ma, ale niedługo będzie.

A w ogóle to dzwon bardzo dobrze słychać z zewnątrz, jak się stanie gdzieś na górze.

Kiedy ksiądz mnie zobaczył, na jego czoło wypłynęła jedna z tych chmur gradowych, które dzwon będący obecnie w jego dyspozycji niegdyś odpędzał. O pozwolenie na wejście na wieżę to by trzeba poprosić panią kościelną. Już z nią rozmawiałem i powiedziała, że trzeba poprosić księdza.

– No tak, ale wie pan, jakie są teraz czasy. Na przykład internet, bardzo wiele osób ma konta na Facebooku i później, wie pan...

– Tak, ja też mam swój profil na Facebooku!

– No i widzi pan. Tak że myślę, że pan rozumie.

Ostatecznie nagrałem były dzwon loretański z pobliskiej góry jako tło szczekającego na mnie psa.

Po powrocie do Zubrzycy Dolnej mogłem bez przeszkód śledzić przebieg sumy, bo ksiądz tutejszy dobrze się nagłośnił. Zaraz po Baranku Bożym poczłapałem w stronę domu Kowalczyków i niedługo potem nastała ta chwila, kiedy Stasek Kowalczyk przywitał mnie z daleka, zanim sam otworzyłem gębę i wymyśliłem kłamstewko z internetowymi prognoząmi. Ten teatrzyk był nam obu potrzebny dla wewnętrznego przekonania, że dzwonienie będzie miało sens.

Po drodze do dzwonnicy dowiedziałem się jeszcze od Stanisława, że „była przekrywano”. To wyjaśnia, dlaczego z zewnątrz nie widać już, że jest jedyną na Orawie dzwonnica z belkami najniższego poziomu ułożonymi „na zrąb”, teraz ukrytymi pod oszalowaniem „w słup”. Spytałem jeszcze o różnice między dzwonieniem na chmury i na umarłego („Ni ma nijakich”), potem Staszek pokazał mi teren dawnego cmentarza wokół dzwonnicy, na którym chowano ofiary cholery.

– I to chowali masowo!

– Jeszcze nawet widać takie wyrzuszenia jak po grobach...

– Hej! Był krzyż taki, ale się rozleciał. Na nim było syćko napisane.

Wlażłem z rejestratorem dźwięku na górę i na umówiony znak pan Stanisław zaczął dzwonić. Po trzech uderzeniach „kuławych” dzwonił już równiutko, widać i słychać było, że ma wprawę. Trzymał sznur oburącz i po każdym pociągnięciu czekał, aż dzwon odpowie szarpnięciem powrotnym: to dzwon dyktował tempo. Kiedy dzwonnik uznał, że dość dzwonienia, jednym szarpnięciem osadził dzwon w miejscu jak rozbrykanego konia, przytrzymując sznur w tym momencie, kiedy dzwon próbuje szarpnąć nim kolejny raz w górę. Powoduje to, że ostatni

akord dzwonienia to zarazem akord najmocniejszy, jakby dzwonnik wydawał burzy na odchodne dobitną komendę w rodzaju „Stop!” lub „Precz!”. Aczkolwiek w tym przypadku ostatni dźwięk okazał się przedostatnim: dzwon to koń narowisty i wydał z siebie jeszcze jedno uderzenie, słabsze i już naprawdę ostatnie.

Spytałem potem pana Stanisława o to zakończenie. Okazało się, że dzwonnik wzoruje się na dzwonach napędzanych elektrycznością:

– No bo jak go nie zatrzymie, to by tak bił i bił. A jak w kościele dzwony som na prąd, no to hamulce mają tyż.

Liczyłem jeszcze na pogawędkę, ale po zamknięciu za nami drzwi dzwonnicy Stasek nagle sobie przypomniał, że musi jeszcze zajrzeć do Szymka. Pożegnał się szybko i ruszył na przełaj przez pola w kierunku, w którym żadnego Szymka ani jego domu nie było widać. Za to dróżką wiodącą w dół do wsi zmierzła mi naprzeciw dama ubrana na szaro. Jak się okazało, zmierzła prosto do mnie. Z początku na wszelki wypadek nie potwierdziłem i nie zaprzeczyłem, kiedy oskarżycielsko wymierzyła we mnie wskazujący palec:

– To pan dzwonił!

Wymruczałem pod nosem coś niezrozumiałego nawet dla mnie i pomrukałem oczami, żeby zyskać na czasie.

– A wie pan, że nie wolno? Dzwoni się jak...

– Wiem! Jak burza ma przyjść.

– Jak ma burza przyjść albo jak ktoś prosi zmarłemu. Dzwon nie jest do zabawy.

– To ja się przyznam. Pan Stanisław mi zadzwonił, bo go bardzo prosiłem.

– Ale wie pan, że on nie ma władzy, tylko ja?

– A wie pani, że w internecie piszą, że się burza zbliża?

– Niech się zbliża. Ale na razie jej nie widać. I nie wolno na byle co dzwonić, to nie jest dzwon poświęcony na byle co. Kim pan jest? Jest pan biskupem albo jakim ojcem świętym, żeby trzeba było dzwonić?

– Kandyduję na prymasa.

Żart rzucony z głupia frant okazał się strzałem w dziesiątkę, od razu skruszył dużą część lodów między nami. Od tej chwili szara dama, w miarę ocieplania się naszych relacji, przedstawiała pilnować języka i nieświadomie przechodziła na gwarę.

– Oj, Stasek dostanie dobrze za to!

– A już tyle dzwonów dzwoniło dzisiaj po okolicy!

– Ale dlaczego?

– No, na mszę dzwoniły, niedziela jest!

– A nas dzwon nie jes od tego. Już jes kościół do dzwonienia na mszę, a nie jest dozwolone, żeby dzwonić na mszę świętą u nas w dzwonnicy. Kiedyś było dozwolone, jak my nie mieli kościoła! To tak, ale teraz mamy kościół i przepraszam bardzo, jestem właścicielką 45... nie, już 50 років. I Staska ino pozwoliła, żeby dzwonił. I ón sie będzie rządził? Dostanie za to.

Żeby ją udobruchać i ocalić Staszka, prawilem komplementy „jej” dzwonnicy, chwaliłem wystrój wnętrza, mówiłem, że w książkach o tej dzwonnicy czytałem, że specjalnie do niej przyjechałem z daleka.

– I co pan wyczytał w tych książkach?

– Że Orawa to ostatni region, gdzie zostały takie dzwonnice, w których się dzwoni na burzę.

– To już chyba tak nie dzwonią na Orawie tu nigdzie, tylko my tak jescie mamy.



Stanisław Kowalczyk, Zubrzyca Dolna, 3 września 2023 r.

– To prawdziwy skarb macie.

– Teraz chyba urbar będzie miał tę dzwonnice. Chcieliśmy, żeby Dolno Zubrzyca to wziena jako zabytek, ale nie wiem, kto sie bedzie opiekował, bo ktoś sie musi opiekować, ktoś to musi fundować, przecie jak te gonty spadno cy cegósik, żeby to zabezpieczyć, nie?

Urbary to działki będące własnością wspólnot leśnych od zniesienia pańszczyzny w 1848 r. Funkcjonują do dziś w ośmiu wsiach Orawy i w kilku na Spiszu. Choć są gospodarczym reliktem, dobrze są poukładane pod względem ekonomicznym i pełnią ważną funkcję w życiu lokalnych społeczności. Dają pieniądze na kółka rolnicze, straż i jej orkiestry, dają drewno na budowę kaplic, dawniej również dawały deputaty dla dzwonników. Nie ma się zatem co dziwić, jeśli dzwonnice w Zubrzycy Dolnej też wystawił pod koniec XVIII w. urbar.

Nie ośmieliłem się zapytać, czy pani jest z domu Kozak. Ale prawdopodobnie rozmawiałem z potomkinią Michała Kozaka, fundatora dzwonu, co znakomicie wyjaśniłoby jej roszczenia.

– Nie oddawajcie dzwonnicy nikomu – poradziłem.

– Ale skąd fundusze weźmiemy? Dzwon kupili krewni i to pole dali pod to. Tylko te zwonice to już urbar stawiał, dawno, dawno, jo wiem, tysiąc siedemset... Ile tam jes lat? Bo jo juz staro...

– Dzwon jest z 1785.

– To zwonica tak samo, to tyż mo juz swoje lata... To wy się zamiarujecie podać na prymasa, tak? © JACEK PODSIADŁO

BAWEŁNA PIJE JAK SMOK

O tym narodzie mało kto słyszał. Gdyby wyginął, nikt by tego nie zauważył. Jego istnienie przez wieki zależało od jeziora, które dziś znika.

TEKST I ZDJĘCIA **MACIEJ AUGUSTYN** Z UZBEKISTANU

WIDZISZ TĘ RZEKĘ? POPATRZ, CO ONI z nią zrobili! Zniszczyli mój kraj – denerwuje się.

Nazwijmy go Tenizbay – prosił, by nie podawać jego prawdziwego imienia. Jest kierowcą marszrutki, prywatnego minibusu. W tych stronach świata to jeden z popularniejszych zawodów dla przedsiębiorczych mężczyzn. Po rozpadzie Związku Sowieckiego system komunikacji publicznej przestał odpowiadać na potrzeby obywateli. Co widać szczególnie w Uzbekistanie, 36-milionowym państwie z dodatnim, nieprzerwanie od lat, przyrostem naturalnym.

Hitem są mikrobusy isuzu albo damas: małe, niewygodne, ale za to tanie (ponoć zakup zwraca się po roku użytkowania).

Mieszczą siedmiu pasażerów. Choć lepiej, aby byli szczupli i nie mieli klaustrofobii.

Marszrutki jeżdżą na ogół po stałej trasie, ale bez rozkładu jazdy. Odjeżdżają, gdy zbierze się dość chętnych. Kierowcy długodystansówek czekają w okolicach dworca i wykrzykują nazwy miast – celu podróży. Marszrutki miejskie krążą po prostu po ulicach i zbierają pasażerów. Wystarczy pomachać na nie jak na taksówkę.

Tak zrobiłem, ale z wyciągniętym kciukiem, jak to na autostopie. Choć w całej Azji Środkowej nikt tego terminu i gestu nie używa, i tak zatrzymuje się co drugie auto. Niemal każdy kierowca dorabia wożąc ludzi. Zapłata, choćby skromna, jest więc mile widziana.

Nieznany naród

Takiego gaduły jak Tenizbay jeszcze nie spotkałem. Nawet nie zdążyłem zapytać, dokąd jedzie. Robił sobie akurat przerwę na obiad, dlatego zamiast pojechać od razu nad Jezioro Aralskie, trafiłem w jego gościnne progi. Po drodze kupił ogromnego melona, a potem z dumą pokazywał swój nowy dom, który kończy budować. Wielki, bo rodziny są tutaj liczne i wielopokoleniowe.

Przy stole najpierw nasłuchiwałem się o historii regionu, potem o czasach najnowszych, ze szczególnym uwzględnieniem sytuacji hydrologicznej. Po deszerze przyszedł czas na politykę. Uzbęcy starają się nie krytykować władzy. Ale Tenizbay nie jest Uzbekiem, lecz Karakałpakiem.



O tym narodzie mało kto słyszał. Gdyby wyginął, pewnie nikt by tego, przynajmniej na Zachodzie, nie zauważył. Karakałpaków jest na świecie może 800 tysięcy, z czego większość żyje w Karakałpacji – autonomicznej republice należącej do Uzbekistanu, zajmującej obszar podobny do Bułgarii, ale zamieszkałej przez niespełna dwa miliony ludzi.

Byli ludem koczowniczym, w przeciwieństwie do osiadłych Uzbeków. Wyglądają także inaczej niż Uzbeki – mają więcej cech mongolskich. Ich język, z grupy kipczackiej, bliższy jest kazachskiemu, kirgiskiemu czy tatarskiemu niż uzbeckiemu. Dlatego Karakałpak dogada się w Biszkeku i Astanie, ale w Taszkencie, stolicy Uzbekistanu, może mu się to nie udać.

Muzeum artystów wyklętych

Stolica Karakałpacji to Nukus, prawie 300-tysięczne przemysłowe miasto, moloż z szerokimi, tonącymi w kurzu ulicami. Ale przecież każde, nawet najbardziej miasto kryje jakąś piękną historię.

Najbardziej niezwykłą atrakcją Nukusu jest Muzeum Sztuki z wystawą nowoczesnego malarstwa. Założył je w 1950 r. Igor Sawicki – urodzony w Kijowie, w mieszanej rodzinie (ze strony ojca jego dziadek był Polakiem, a babcia

Żydówką, rodzice matki zaś byli Rosjanami). W czasie II wojny światowej, gdy ewakuowano go do Samarkandy, zakochał się w Azji Środkowej. Po wojnie wrócił tu przy pierwszej nadarzającej się okazji, a była nią ekspedycja etnograficzna Sowietkiej Akademii Nauk, podczas której miał się zająć karakałpackim folklorem.

Zebrane przez Sawickiego eksponaty stały się zalążkiem muzeum sztuki ludowej, w którym jednak podziwiać można nie tylko prace lokalnych artystów czy wszechobecny socrealizm. Sawicki zorientował się, że w Karakałpacji – zapomnianej przez rząd i cenzurę – może stworzyć ekspozycję, na jaką nie pozwoliłaby władza w żadnym innym dużym mieście.

Jeździł więc po całym Związku Sowieckim i za własne pieniądze kupował prace, które kłuły komunistów w oczy: awangardowe, abstrakcyjne, religijne albo artystów wyklętych, jak Nadieżda Borowaja, Lew Galperin, Własymir Komarowski czy Wasilij Łysenko, którzy trafiali do więzień, psychuszek i obozów pracy.

Gdy nie dało się ratować ludzi, można było ocalić od zapomnienia ich dzieła. W ten sposób na zachodnim skraju pustyni Kyzyl-kum powstała kolekcja, jakiej dziś nie powstydziłyby się muzea w Berlinie czy Londynie.

Dawna sielanka nad Aralem

Dwaj skośnoocy rybacy wpatrują się na tym obrazie w nieskończoną taflę błękitnej wody. Ubrani są w chałaty i baranie czapki – miejscowi wiedzą, że to najlepsza ochrona przed palącym słońcem. Rybacy patrzą z szacunkiem na swoje jezioro, wtedy wciąż jeszcze pełne wody. Jest ich żywicielem. II wojna światowa właśnie się skończyła, życie rodzi się na nowo. Nukus jest jeszcze małym osiedlem robotniczym, a port Mo'ynoq – skromną wioską rybacką na południowym brzegu Jeziora Aralskiego.

Na innym obrazie nad brzegiem wody stoją mężczyźni w garniturach. Nie widać ich twarzy – może to miejscowi, może Uzbeki, a może Rosjanie. Drewniana zabudowa portu łśni nowością. Mamy lata 60. XX wieku, Nukus staje się przemysłową stolicą regionu, a Mo'ynoq lokalnym centrum przetwórstwa rybnego. Większość z ponad 10 tysięcy mieszkańców pracuje przy połowie albo w fabryce konserw rybnych.

Na trzecim obrazie trwa święto. Miejscowi tańczą, kosze są pełne ryb, worki pełne bawełny. Zbiory były udane, plan pięcioletni wykonany z nawiązką. Z boku siedzi samotny muzyk z dwustrunową dombrą w ręku. Wpatruje się z nostalgią w jezioro. Może już widzi, że wody w nim jest coraz mniej.

→

Porzucone kutry w Mo'ynoq – nieczynnym od lat porcie nad wyschniętym Jezioro Aralskim, sierpień 2023 r.





Tenizbay (tyłem) kupuje owoce na obwoźnym straganie w Nukusie, sierpień 2023 r.

Najwyższe poziomy

→ Jezioro Aralskie zawsze było centrum świata Karakałpaków. Żeglowali po nim i łowili ryby. Kiedyś nazywano je morzem – miało powierzchnię dwukrotnie większą od jeziora Bajkał i było czwartym największym śródlądowym akwenem na świecie.

Jego wody, choć słone, dawały życie pustyni Kyzyl-kum. W dolinach Amu-darii i Syr-darii – dwóch rzek zasilających Aral – można było uprawiać rolę. XIX-wieczni podróżnicy opisywali oazy kwitnące wzdłuż tych rzek. Morele, brzoskwinie, słodkie arbuzy i melony obkładano lodem i wysyłano karawanami w świat.

Teraz to tylko wspomnienie. Mo'ynoq nie leży już nad jeziorem – jego brzeg oddalił się o 70 km. Pustynia jest w tym miejscu pełna soli. Burze piaskowe rozsypują pył – wraz z całą tablicą Mendelejewa – po okolicy.

Karakałpacja ma jeden z najwyższych poziomów śmiertelności noworodków oraz zapadalności na raka, choroby oczu i skóry. Jest też najbardziej zapuszczoną prowincją Uzbekistanu. Od zabytków Samarkandy i Buchary dzieli ją 600 km suchego pustkowia i tylko nieliczni turyści przyjeżdżają tu, by oglądać zardzewiałe wraki kutrów, których kadłuby tkwią pośrodku pustyni. Pod jednym z nich spotykam włoskiego fotografa – robi zdjęcia

siwobrodym rybakom w starych gumowanych spodniobutach.

Port w Mo'ynoq zamknięto jeszcze w latach 70. XX w., ale fabryka konserw, która dawała zatrudnienie tysiącom ludzi, przetrwała kolejnych 20 lat – mrożone ryby do produkcji puszek przywożono z daleka, podobno nawet z Moskwy.

Kto wypił naszą wodę

– Rosjanie są chciwi i nie mają umiaru – uważa Tenizbay. – Ale Uzbeki są jeszcze gorsi. Gdyby nie ich bawełna, byłibyśmy wolni.

Już Karol Marks pisał, że zastąpienie – w skali świata – owczej wełny bawełną, a europejskich zbóż ryżem, wprowadzi kapitalizm na nowy etap rozwoju.

Ta niewinna roślina – biała jak śnieg, lekka jak puch – nigdy tu nie występowała w stanie naturalnym. Sprowadzona z Indii jeszcze za Rosji carskiej, stała się symbolem sowieckiej Azji, gdzie tradycyjną uprawę ujęto w pięcioletnie plany. Do dziś kwiat bawełny pozostaje w godłach Tadżykistanu, Turkmenistanu i Uzbekistanu.

Dla jednych jest białym złotem, dla innych, nie tylko tutaj, symbolem niewolnictwa. Tkanina z niej produkowana jest wygodna, o czym każdy może zaświadczyć. I choć nasze koszulki zostały za-

pewne uszyte w Bangladeszu, surowiec na nią przyjechał gdzieś stąd.

Tyle że do wyprodukowania jednego kilograma tego surowca (co wystarcza na np. dwie pary spodni) potrzeba aż 29 tys. litrów wody – więcej niż przeciętny Europejczyk zużywa w ciągu pięciu miesięcy.

Aby nawodnić uprawę, budowano kanały – bez wyobraźni, w nieznanej wcześniej skali. Tysiącami ich nitek spływała do plantacji zamulona woda z Amu-darii i Syr-darii. Tylko niewielka jej część wracała do jeziora, zanieczyszczona chemikaliami wypłukanymi z pól. Większość szła w piach i parowała.

Jezioro Aralskie wysychało. Podzieliło się najpierw na dwie, a potem na cztery części. Geolodzy przekonywali, że to normalne i cykliczne: w przeszłości nieraz Aral wysychał, by potem napełnić się wodą. Tym razem stało się inaczej.

Bawełna a koniec imperium

Tenizbay jest przekonany, że Związek Sowiecki posypał się właśnie przez bawełnę. Że początkiem jego końca, jeszcze przed pierestrojką, miało być ujawnienie korupcji wśród uzbeckich urzędników odpowiedzialnych za produkcję „białego złota”.

Lokalni kacykowie dostawali od Moskwy premie za wysokie zbiory. Łatwiej jednak było fałszować statystyki, niż bez końca zwiększać plon. Raportowano więc rekordowe zbiory, gdy w rzeczywistości bawełny było z roku na rok coraz mniej. Gdy w 1983 r. afra wyszła na jaw, przywódca uzbeckich komunistów Szaraf Raszydow zmarł na zawał serca. Szesnastu innych zamieszanych w aferę dygnitarzy popełniło samobójstwo, dwóch skazano na śmierć, a 2 tys. urzędników straciło stanowiska. Rodacy żegnali jednak Raszydowa z honorami. Do dziś jest ich bohaterem jako ten, kto wykiwał Moskwę. Dla dobra Uzbekistanu.

Kraj pozostaje lokalnym liderem uprawy bawełny. Do niedawna przy jej zbiorze pracowano pod przymusem, bo brakowało ludzi (bawełnę można zbierać mechanicznie, ale maszyn też brakuje), a państwo wyznaczało każdemu z regionów normę, której rolnicy własnymi siłami nie mogli wykonać. Gdy nadchodziły żniwa, uzbeckie miasta wymierały. Do pracy zwożono pielęgniarki i lekarzy, studentów i urzędników. Można się było wykupić od obowiązku, więc korupcja kwitła.

Po dojściu do władzy Szawkata Mirzijoewa – od 2003 r. premiera, a od 2016 r. prezydenta Uzbekistanu – sytuacja zaczęła się zmieniać. Najpierw z obowiązku zwolniono nieletnich, później lekarzy i nauczycieli. Od 2021 r. całkowicie zrezygnowano z pracy przymusowej. Widać przestała się opłacać.

Autonomia teoretyczna

W 2022 r. prezydent Mirzijoew wprowadził poprawki do konstytucji, które pozbawiały Karakałpację autonomii. W Nukusie ludzie wyszli na ulice, wybuchły walki. Rząd podał potem, że było 21 zabitych i 243 rannych, choć zapewne ofiar było dużo więcej. Jednego z liderów protestów, Dalletmurata Tazhimuratowa, skazano na 16 lat więzienia. Drugi, Alubajew Begsadek, uciekł z kraju – mój gospodarz twierdzi, że ukrywa się w Polsce.

Tenizbay brał udział w protestach, dopóki nie zrobiło się zbyt niebezpiecznie. – Mam dużą rodzinę – usprawiedliwia się, puszczając nagrania wideo z protestów. Mówi, że bunt tlił się od dawna, a nowa konstytucja tylko dołała oliwy do ognia. Mieszkańcy Karakałpacji wiedzą, że za katastrofę ekologiczną i związaną z tym biedę odpowiedzialny jest uzbecki rząd.

Autonomia została zachowana. Status Karakałpacji pozwala nawet na oddzielenie się od Uzbekistanu w drodze referendum. Ale tylko teoretycznie, bo gdyby nawet do niego doszło, wynik i tak byłby po myśli rządu. Karakałpacy są we własnym regionie mniejszością, zdominowaną przez napływowych Uzbeków.

Arańska pieta

Obiad się kończy. Wstaje od stołu, właściwie z podłogi, z ciężkim sercem i żołądkiem. Tenizbay pyta, czy odwiedzić mnie na autobus. Proszę, by zawiózł mnie z powrotem tam, gdzie się spotkaliśmy. Liczę, że dotrę autostopem nad dawny brzeg jeziora.

Amu-daria płynie leniwie, niosąc ze sobą chemikalia z bawełnianych pól. Grupa chłopców wesoło tapla się w mulistej wodzie. A ja mam przed oczami jeszcze jeden obraz z Muzeum Sztuki w Nukusie: aralską pietę. Na pustynnej ziemi siedzi kobieta w czerwono-białej sukni. Kształty są geometrycznie uproszczone. W kwadratowych ramionach trzyma umierającego syna.

Dorosłe dziecko jest w jej rękach małe, niczym kukiełka, a kanciasta pierś matki większa od opadającej głowy Jezusa.

© MACIEJ AUGUSTYN



Jengis Liepiesow, *Arańska pieta*, 1991 r., Muzeum Sztuki w Nukusie, sierpień 2023 r.



Ural Tansikbajew, *Arałscy rybacy*, 1937 r.



PATRICK SEMANSKY / AP / EAST NEWS

Prezydent Joe Biden z synem Hunterem przy tablicy poświęconej zmarłemu starszemu synowi Beau Bidenowi. Hospicjum Mayo Roscommon, Irlandia, 14 kwietnia 2023 r.

Dokąd dowody poniosą

MARTA ZDZIEBORSKA

Republikanie coraz mocniej atakują Joego Bidena i jego syna Huntera. Jednemu grożą impeachmentem, na drugiego szukają haków. Ale nawet bez ich wysiłków syn prezydenta USA usłyszał właśnie zarzuty karne.

CALA TA HISTORIA ZACZYNA SIĘ OD Huntera Bidena, który popełnił w życiu masę błędów.

Ten 53-letni dziś prawnik i biznesmen, który robił wątpliwe interesy z ukraińskimi i chińskimi firmami, kokainę zaczął brać, jak sam przyznał, w wieku 18 lat. Właśnie z powodu nałogu wyleciał z rezerwy marynarki wojennej, gdy po miesiącu służby wykryto w jego moczu narkotyki. Skandal ten wyszedł na

jaw jesienią 2014 r., kiedy jego ojciec był wiceprezydentem USA u boku Baracka Obamy.

Kryzysów wizerunkowych Huntera Bidena było więcej. Podczas rozwodu z pierwszą żoną, prawniczką Kathleen Buhle, cała Ameryka usłyszała, jak Hunter, ojciec trójki dzieci, miał szastać pieniędzmi na alkohol, narkotyki i wypadki do klubów ze striptizem. Nie doczekał nawet zakończenia procedury rozwodowej:

na jej finiszu wdał się w romans z wdową po własnym bracie, Beau Bidenie, który w 2015 r. zmarł na raka mózgu.

Hunter ma na koncie także skok w bok z tancerką tańca egzotycznego z Arkansas, której, jak sam przyznał w swojej książce (tytuł: „Same piękne rzeczy”), nie pamięta, choć ma z nią córkę. Ojcostwo potwierdził test DNA.

ZERWANA UGODA | Skandale obyczajowe to nie wszystko. W ostatnich tygodniach głośno jest o federalnym śledztwie dotyczącym nadużyć podatkowych Huntera i posiadania przez niego broni.

W miniony czwartek specjalny prokurator David Weiss, mianowany przez Departament Sprawiedliwości, oskarżył syna prezydenta w związku z zakupem rewolweru colt cobra. Hunter nabył go w październiku 2018 r., w czasie, gdy był uzależniony od kokainy. Według prokuratora okłamał władze federalne, podając we wniosku o pozwolenie na zakup colta, że jest czysty i nie bierze już narkotyków.

Formalne postawienie zarzutów Hunterowi w tej sprawie to kolejny zwrot akcji w trwającym od pięciu lat śledztwie Departamentu Sprawiedliwości. W czerwcu syn prezydenta zawarł bowiem z prokuraturą ugodę, w ramach której w zamian za wyrok w zawieszeniu miał przyznać się do dwóch wykroczeń podatkowych. Śledczy ustalili, że w latach 2017-18 Hunter nie zapłacił w terminie federalnych podatków dochodowych na kwotę ponad 200 tys. dolarów. W ramach ugody miał też przystać na dwuletni program resocjalizacji w związku z nielegalnym posiadaniem broni – przez ten czas musiałby trzymać się z dala od narkotyków.

Ugodę z prokuraturą przekreśliła pod koniec lipca sędzia z Delaware Maryellen Noreika, która podała w wątpliwość jej konstytucyjność i zakres przyznanego Hunterowi immunitetu. „Wiem, że chciał mieć to już pan za sobą. Jest mi przykro, ale potrzebuję więcej informacji. Nie mogę tego na ślepo zatwierdzić” – miała powiedzieć do Huntera. Krytycy zarzucili jej polityczne intencje, sugerując, że nie chciała „iść na rękę” Hunterowi, bo na sędziego mianowano ją za prezydentury Trumpa.

Z kolei Republikanie – na czele z byłym prezydentem Trumpem – sugerują, że jakakolwiek uгода z Hunterem Bidenem była przejawem podwójnych standardów w wymiarze sprawiedliwości. Twierdzą, że dostał on propozycję ugody, bo jest synem Joego Bidena, gdy tymczasem Trump jest „bombardowany” kolejnymi zarzutami.

ZARZUTY AGENTÓW SKARBÓWKI | Republikanie, którzy mają dziś większość w Izbie Reprezentantów (izbie niższej Kongresu), nie ustają też w poszukiwaniu haków na Huntera Bidena. Szacuje się, że od początku stycznia członkowie kongresowych komisji zebrali ponad tysiąc stron dokumentów finansowych dotyczących rodziny Bidenów i wzywają do przesłuchań urzędników zaangażowanych w federalne śledztwo wobec Huntera.

Szerokim echem odbiły się lipcowe zeznania dwóch śledczych ze skarbówki (IRS), którzy sugerowali, że Departament Sprawiedliwości celowo utrudniał postępowanie w sprawie Huntera. Twierdzili, że zastępczyni prokuratora stanu Dela-

ware odmówiła im wystawienia nakazu przeszukania domu Joego Bidena w Wilmington, gdzie Hunter przechowywał swoje dokumenty finansowe.

Śledczy ze skarbówki przekonywali, że zabroniono im także przesłuchania dorosłych już wnuków prezydenta, co ich zdaniem pozwoliłoby rzucić nowe światło na podatkowe sprawy Huntera. Jeden z agentów skarbówki, Gary Shapley, twierdzi wręcz, że czuwający nad śledztwem, wspomniany już specjalny prokurator z Delaware David Weiss podczas spotkania w 2022 r. z agentami FBI i IRS przyznał, że „to nie do niego należy podjęcie decyzji, czy Hunterowi zostaną postawione zarzuty”.

Departament Sprawiedliwości i Białe Dom odpięły te ataki, twierdząc, że nigdy nie naciskały na Weissa w sprawie śledztwa. Uczestniczący w przesłuchaniu agentów IRS politycy z Partii Demokratycznej podkreślali zaś, że większość zarzutów stawianych przez agentów dotyczy okresu rządów Trumpa, a sam Weiss był jego prokuratorским nominatem.

HUNTER ROZTACZA WIZJĘ | Republikanie kongresmeni przyglądają się głównie działalności biznesowej Huntera w czasach, gdy jego ojciec był wiceprezydentem. Zarzucają Hunterowi, że w tym okresie on i jego partnerzy biznesowi zarobili na zagranicznych kontraktach ponad 20 mln dolarów nie bez związku z urzędem pełnionym przez ojca.

„Podczas obecności ojca w Białym Domu Hunter przechwalał się rodzinną marką Bidenów, by przyciągnąć miliony od oligarchów w Kazachstanie, Rosji i na Ukrainie” – przekonywał James Comer, szef komisji nadzoru i odpowiedzialności.

W tym duchu przed Izbą Reprezentantów zeznawał Devon Archer, który wraz z Hunterem w 2014 r. zasiadał w rządzie ukraińskiej spółki gazowej Burisma Holdings. Twierdził on, że Biden junior miał roztaczać wizję, iż ma wpływ na politykę zagraniczną USA. Według zeznań Archera, Hunter w ciągu dekady miał wciągnąć ojca do ok. 20 rozmów telefonicznych ze swoimi kontrahentami. Przyznał jednak, że nigdy nie miały one charakteru negocjacji biznesowych.

PROCEDURA IMPEACHMENTU | Zeznania te zapewne były wodą na młyn dla republi-

kańskiego przewodniczącego Izby Reprezentantów Kevina McCarthy’ego: ponad miesiąc później zawezwał do rozpoczęcia śledztwa wobec prezydenta Bidena w ramach procedury impeachmentu – tj. zdjęcia z urzędu, co formalnie może przeprowadzić Kongres USA.

Republikanie od dawna próbują bowiem udowodnić, że Joe Biden czerpał bezpośrednio zyski z zagranicznych transakcji biznesowych syna. Na razie im się to nie udało. Dokopali się jedynie do tropu, że w 2014 i 2015 r. Joe Biden zjadł kolację z zagranicznymi partnerami syna w waszyngtońskiej „Café Milano”. Ówczesny wiceprezydent odwiedził też Ukrainę na krótko po tym, jak Hunter dołączył do zarządu Burismy.

Mimo braku twardych dowodów, McCarthy twierdzi, że dotychczasowe ustalenia ukazują „obraz kultury korupcji” w rodzinie Bidenów. Zaznaczył jednak, że samo otwarcie śledztwa w ramach procedury impeachmentu nie musi oznaczać postawienia prezydenta w stan oskarżenia, i że śledztwo „pójdzie tam, gdzie zaborą je dowody”. McCarthy jest tu krytykowany za pochopne działania – przed swoim wystąpieniem nie zarządził głosowania w Izbie Reprezentantów.

Z UKRAINĄ W TLE | Republikanie krążą wokół duetu Joe-Hunter od 2019 r., gdy Biden senior ogłosił start w wyścigu o Białe Dom. Rozpuszczano wtedy teorie, jakoby w czasie wiceprezydentury naciskał na władze w Kijowie, aby odwołały tamtejszego prokuratora generalnego Wiktora Szokina – wszystko po to, by ukreślić śledztwu antykorupcyjnemu przeciw Burismie. W rzeczywistości jednak to za czasów Szokina śledztwo utkwilo w martwym punkcie, a on sam był krytykowany przez USA i ich sojuszników za przymykanie oczu na korupcję ukraińskich elit.

Przed wyborami prezydenckimi w 2020 r. republikańscy senatorowie wszczęli śledztwo w sprawie Bidenów i wątku ukraińskiego, jednak w jego wyniku nie udało im się doszukać nieprawidłowości po stronie Joego Bidena. W raporcie końcowym stwierdzono jedynie, że Hunter korzystał na rozpoznawalności ojca, a jego praca dla Burismy w czasie, gdy ojciec kształtował politykę USA →

→ wobec Ukrainy, rodziła konflikt interesów i budziła wątpliwości wśród niektórych pracowników Departamentu Stanu.

Przypomnijmy wreszcie, że to szukanie dowodów winy na Huntera i jego ojca doprowadziło do wszczęcia procedury impeachmentu wobec Donalda Trumpa. Ten bowiem, będąc prezydentem, zadzwonił w lipcu 2019 r. do nowo wybranego wtedy prezydenta Wołodymyra Zełenskigo i naciskał, by ukraiński wymiar sprawiedliwości wszczął postępowanie antykorupcyjne wobec Joego i Huntera Bidenów. Trump złożył taką „propozycję” Zełenskiemu tuż po tym, jak nakazał wstrzymać wypłatę pomocy wojkowej dla Ukrainy. Uniewinniony przez Senat, w którym Republikanie mieli większość, Trump często atakował potem Huntera Bidena – także podczas wystąpienia 6 stycznia 2021 r., w dniu szturmowania Kapitolu.

„SKORUMPOWANA ZASADZKA” | Teraz, gdy na Trumpie ciąży 91 zarzutów karnych w czterech postępowaniach sądowych, były prezydent sugeruje, iż prawdziwymi przestępcami są obaj Bidenowie, a on stał się ofiarą „skorumpowanej zasadzki” z ich strony.

Gdy niedawno, w sierpniu, Trump został oskarżony o próbę zmiany wyniku wyborów prezydenckich w 2020 r., wielu Republikanów protestowało, twierdząc, że celem tego oskarżenia jest odwrócenie uwagi od problemów Bidena juniora. „Ten sam Departament Sprawiedliwości,

Republikanie od dawna próbują udowodnić, że Joe Biden czerpał bezpośrednio zyski z zagranicznych transakcji biznesowych swego syna Huntera.

Na razie im się to nie udało.

który jest gotów pójść na ugodę z Hunterem, stara się prześladować jego głównego oponenta politycznego” – przekonywał kongresmen Steve Scalise.

Atmosferę wokół Huntera Bidena podkręcają dwie konserwatywne stacje telewizyjne, Fox News i Newsmax. Według wyliczeń Media Matters for America, tylko w tym roku jego imię i nazwisko padło na tych antenach ponad 16 tys. razy. Można być pewnym, że jeśli ruszy procedura impeachmentu, takiej wrzawy wokół duetu Joe-Hunter będzie jeszcze więcej.

Tymczasem, jak przekonują stratedzy związani z Partią Demokratyczną, zwykły umiarkowany wyborca nie wierzy, że Joe Biden ma coś wspólnego z działalnością biznesową swojego syna. Z sondażu Ipsos wynika, że 60 proc. ankietowanych uważa, że prezydent, który wspiera syna nawet w obliczu jego problemów praw-

nych, jest dobrym ojcem. Wśród zwolenników Republikanów takiej odpowiedzi udzieliła niemal połowa respondentów.

OJCIEC I SYN | Faktem jest, że prezydent opanował do perfekcji bezwarunkową miłość do marnotrawnego syna. Jak donosi „Washington Post”, zaledwie dzień po zawarciu czerwcowej ugody ze śledczymi Hunter zagościł na dwa tygodnie w Białym Domu. Hunter ma zresztą zwyczaj zatrzymywać się tam za każdym razem, gdy przylatuje na wschodnie wybrzeże z Kalifornii, gdzie mieszka. W kwietniu towarzyszył ojcu podczas jego wizyty w Irlandii (spał nawet w jego pokoju hotelowym, na łóżku polowym), a w sierpniu pojechał z nim oraz z pierwszą damą Jill Biden na wakacje do Nevada.

Murem za synem Joe Biden stoi zresztą od lat. Dobitnie, bo na oczach Amerykanów, pokazała to debata kandydatów do prezydentury w 2020 r. Gdy Trump wytknął mu, że Hunter został wyrzucony z wojska, odparł: „Mój syn, jak wielu ludzi, miał problemy z narkotykami. Jest już czysty i poradził sobie z problemem. Jestem z niego dumny”.

Być może prezydentowi – po śmierci Beau Bidena, jego najstarszego dziecka, a przy tym zdolnego prawnika i dobrze zapowiadającego się polityka – trudno byłoby poradzić sobie ze stratą kolejnego syna.

© MARTA ZDZIEBORSKA

Autorka jest dziennikarką „Press”.

REKLAMA



*Po to jestem biskupem,
żeby sie nie bać.*

biskup Tadeusz Pieronek



MIĘDZYNARODOWA KONFERENCJA

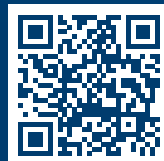
Rola chrześcijan w procesie integracji europejskiej

29-30.09.2023

KONSEKWENCJE WOJNY – JAKA BĘDZIE EUROPA? JAKA BĘDZIE POLSKA?

Już po raz dwudziesty trzeci zapraszamy do uczestnictwa w krakowskiej debacie „o Kościele i Europie”. Jak co roku poruszymy aktualne tematy dotyczące każdego z nas. Grono ekspertów, akademików, polityków i przedstawicieli kościołów spróbuje odpowiedzieć na pytania o konsekwencje wojny – jak zmieniają one funkcjonowanie Unii Europejskiej, jak kształtują postawy pojedynczych ludzi i całych wspólnot i jak wpływają na język komunikacji w przestrzeni publicznej.

Stałym punktem programu konferencji jest Gala Nagrody IN VERITATE, przyznawanej przez Fundację im. biskupa Tadeusza Pieronka, głównego organizatora konferencji. W bieżącym roku „za wybitne postawy i osiągnięcia w łączeniu wartości chrześcijańskich i europejskich” uhonorowani zostali: Roberta Metsola – przewodnicząca Parlamentu Europejskiego i ks. Adam Boniecki MIC – Redaktor Senior „Tygodnika Powszechnego”.



PROGRAM I REJESTRACJA NA
www.fundacjapieronka.eu

Czy Laima przyniesie szczęście Ukraińcom

TOMASZ OTOCKI Z ŁOTWY

Robiła karierę w Związku Sowieckim, jako bardziej europejska wersja Ałły Pugaczowej. Dziś 69-letnia łotewska piosenkarka Laima Vaikule wraca w wielkim stylu.



LAIMA, VAIKULE.OFFICIAL / INSTAGRAM

Laima Vaikule na festiwalu Laima Rendezvous w Jurmale, 31 lipca 2023 r.

PÓŁ GODZINY: TYLE POTRZEBĄ, ABY PODmiejskim pociągiem, tzw. elektryczką, dotrzeć z centrum Rygi do Jurmały, kurortu nad Bałtykiem. Tutaj, w dzielnicy Bulduri, Laima Vaikule ma swój dom. Zaraz obok znajduje się Vila Alla, którą ze względu na charakterystyczną nazwę interesowali się w tym roku wścibscy dziennikarze – podejrzewano, że mieszka tam przyjaciółka Laimy Ałły Pugaczowej po tym, jak „spaliła za sobą mosty” w Federacji Rosyjskiej.

Kiedyś, na początku wieku XX, miejscowość nazywała się Rigasztrand, Ryska Plaża – bo zwykle przyjeżdżali tutaj bałtyccy Niemcy, licznie obecni również na Łotwie (i wysiedleni stąd na mocy paktu Hitler-Stalin, jeszcze przed zajęciem państw bałtyckich przez Związek Sowiecki). W ostatnich latach przybywali chętnie turyści z Federacji Rosyjskiej – ci zniknęli najpierw za sprawą epidemii, a potem inwazji Rosji na Ukrainę.

Swego czasu byli poważnym źródłem dochodu dla miasta. I zarazem źródłem irytacji łotewskich elit. – Paskudny gust – mówiła mi w 2014 r. Sarmīte Ēlerte, była minister kultury Łotwy, gdy zapytałem ją o rozrywki, którym hołdują Rosjanie.

Opuścić postsowiecką przestrzeń

Przez lata w sali koncertowej w Dzin-tari (to dzielnica Jurmały przylegająca do Bulduri) można było uczestniczyć w festiwalu Nowa Fala organizowanym m.in. przez Raimondsa Paulsa. Ten znany kiedyś w Związku Sowieckim łotewski kompozytor, rocznik 1936, był autorem takich przebojów Laimy Vaikule jak „Charlie”, „O czym gra pianista”, „Żółte liście”.

– Gdy państwo łotewskie zaczęło im stwarzać trudności, organizatorzy festiwalu zaczęli straszyć: „Może przeniesiemy się na Krym?”. Pomyślałam: „Fantastyczna idea! Jedźcie na Krym! A może lepiej do Rosji, bo Krym jest częścią Ukrainy”. Ale na poważnie: to festiwal niskiej jakości. I co więcej, atrakcyjny dla tych, którzy chcieliby zatrzymać Jurmałę w postsowieckiej przestrzeni – mówiła mi była minister kultury.

Postpadomju telpa (postsowiecka przestrzeń) po rozpadzie Związku Sowieckiego w 1991 r. istniejąca nadal w wymiarze kulturalnym, w tym również i popularnej piosenki – to coś, od czego chcą uciec prozachodnie elity rządzące Łotwą (gdy oddajemy do druku ten numer „Tygodnika”, na Łotwie tworzy się właśnie nowy rząd, być może jeszcze bardziej pro-

europejski niż poprzedni; nowy prezydent należy zaś do społeczności LGBT, która jest dziś „wrogiem publicznym” Kremla).

Nowej Fali w Jurmale już dawno nie ma – przeniosła się do Rosji, do Soczi. A Laima Vaikule ma dla miasta nową propozycję. Może nie taką, jaką chciałaby Ēlerte (światowy festiwal operowy lub jazzowy). Ale na pewno szytą na miarę dla tych, którzy za Rosjanami w Jurmale już nie tęsknią.

Do zobaczenia po wojnie

Aleksandra Stramkale z informacji turystycznej w Jurmale przedstawia mi dane statystyczne, z których wynika, że jeszcze w 2019 r. obywatele Federacji Rosyjskiej stanowili 23 proc. gości kurortu; Łotyszy było tylko o 10 proc. więcej. Rok później liczba Rosjan spadła już do 5 proc. i odtąd nigdy nie wzrosła. – Można więc powiedzieć, że rosyjską turystykę do Jurmały zabił covid, a niekoniecznie wojna – podsumowują pracownicy informacji turystycznej.

Tak czy inaczej, jeśli usłyszysz się dziś język rosyjski na ulicach kurortu, będzie to raczej rosyjski z Rygi, a nie z Petersburga – rosyjskojęzyczni stanowią nadal 30 proc. łotewskiego społeczeństwa.



→ Język Puszkina ma wciąż wstęp na festiwal Laima Rendezvous, organizowany od kilku lat przez Laimę Vaikule – to on zastąpił krytykowaną przez Łotyszy Nową Falę. Jednak coraz odważniej okno na świat wybija sobie na nim język Tarasa Szewczenki.

„Do zobaczenia w Kijowie, już po wojnie” – śpiewa w piosenie „Warszawa-Kijów” wykonawca Mykyta Aleksiejew. Swoją drogą, na Laima Rendezvous 2023 spotkamy zarówno Tanitę Tikaram, jak i Wierkę Serdiuczkę. Tikaram jest brytyjską piosenkarką i autorką piosenek popowo-folkowych, wyłansowała w 1989 r. przebój „Twist in My Sobriety”, a Wierka Serdiuczka (prawdziwe nazwisko Andrij Danyłko) to „ludowy artysta Ukrainy”, piosenkarz, satyryk, a także drag queen.

Gust łotewskiej piosenkarki i reżyserki jest więc „ekumeniczny”.

Fenomen Laimy

Skąd się wziął fenomen Laimy Vaikule, urodzonej w 1954 r. w zwyczajnej łotewskiej rodzinie? Gwiazdy, która jako młoda dziewczyna ukochała variété, a pierwsze kroki stawiała w modernistycznej i luksusowej restauracji „Jūras pērle” („Perła morska”) nad łotewskim Bałtykiem?

Pod koniec lat 80. XX w. Vaikule zachwycała cały Związek Sowiecki takimi hitami jak piosenki „Jeszcze nie wieczór”, „Skrzypek na dachu” czy „Wernisaż” (ich polskie wersje w schyłkowej PRL śpiewała Danuta Stankiewicz).

– Ona nigdy nie miała głosu – mówi zgryźliwie i jednak niezbyt dla mnie przekonująco Artiom Troicki, mieszkający teraz w Tallinnie rosyjski dziennikarz i krytyk muzyczny, opozycyjny wobec reżimu Putina. – Cały czar Laimy polegał na jej stylu, innym od sowieckiego, a nawet od waszej folklorowej Maryli Rodowicz. Laima była zachodnia i miała poczucie gustu, inaczej niż większość sowieckich piosenkarek, nawet Ałła Pugaczowa. Każdy jej występ to był show. No i była piękną kobietą – mówi „Tygodnikowi” Troicki.

On sam poznał Laimę jeszcze w latach 70., właśnie w „Jūras pērle” – lokalu w jurmalskiej dzielnicy Dzintari, gdzie obficie łąły się sowiecki szampan i balsam ryski (popularny tu likier ziołowy). I gdzie do piosenek przygrywał Raimonds Pauls, późniejszy minister kultury łotewskiej republiki sowieckiej, a potem poseł na Sejm wolnej już Łotwy.

„Szokoładka” na przekór

Laimę porównywano wtedy do pudełka czekoladek (dziś takie porównanie uznano by zapewne za seksistowskie). Ona sama podchodziła do tego dość ironicznie. „Szokoładka” – tak zatytułowała jeden z wyłansowanych wtedy przez siebie rosyjskojęzycznych przebojów.

Warto bowiem podkreślić, że Laima to z jednej strony litewska i łotewska bogini losu, z drugiej strony popularne w obu krajach bałtyckich imię, z trzeciej zaś – istniejąca od wieku XIX ryska fabryka czekolady, odpowiednik naszego Wedla.

– Powiedzmy wprost, nasze gwiazdy były często bezguściem – stwierdza Troicki.

Mimo wszystko coś go z Laimą jednak łączy: prawa zwierząt. „Nie noszę futer i nie jem mięsa, nawet kwiatów nie zrywam” – deklaruje Vaikule na stronie „Veggie people”. Przeciwniczka przemocy, prywatnie (inaczej niż większość luterkańskich Łotyszy) wierna Cerkwi prawosławnej; do dziś Laima nie może sobie wybaczyć, że – jak mówi otwarcie – jeszcze w czasach Związku Sowieckiego dwa razy przerwała ciążę („Nie róbcie tego” – apeluje często do kobiet).

Mimo to niekoniecznie spodobałaby się konserwatystom – od lat deklaruje też sympatię wobec osób LGBT, jest wręcz ikoną dla wielu gejów i lesbijek. „Parady są potrzebne” – deklarowała w prasie. Jej festiwal w Jurmale otwarty jest dla społeczności LGBT. Co jest kolejnym „kamyczkiem obrazy” dla tych Rosjan, którzy z nostalgią wspominają czasy komunistycznego imperium.

Ci nie mogą jej wybaczyć jeszcze jednego: choć karierę zrobiła w latach 80., to nigdy nie płakała po Związku Sowieckim. Wręcz przeciwnie – zwłaszcza że, podobnie jak większość Łotyszy, ma w rodzinie historię deportacji na Syberię.

Nie zdradziła Łotwy

– Pochodzę z Dyneburga, miasta, które do dziś w większości mówi po rosyjsku. Dyneburg zawsze kochał Laimę – mówi w rozmowie z „Tygodnikiem” Sandra Užule-Fons, dziennikarka wywodząca się właśnie z Daugavpils (łotewska nazwa miasta).

Pytam Sandrę, czy Łotysze nie mieli Laimie za złe, że całą swoją karierę zbudowała na piosenkach śpiewanych po rosyjsku i w warunkach okupacji, która nastą-

piła w 1940 r. Przypominam, co wcześniej mówił Troicki: – Nie znam ani jednego jej łotewskiego przeboju. Ona dla wszystkich była obca: dla Łotyszy, bo śpiewała po rosyjsku, a dla Rosjan, bo była obywatelką „Pribaltyki”.

– Nie zgadzam się z tym, co mówi Troicki. To było coś naturalnego, że skoro Vaikule chciała robić karierę w Związku Sowieckim, to musiała śpiewać w języku Pugaczowej. Ale Łotysze nie postrzegali jej nigdy jako zdrajczyny. Także dlatego, że podkreślała, iż nigdy, poza krótkim okresem pobytu w USA, nie wyjechała z Łotwy. Takie nastroje zaczęły się dopiero po wojnie na Ukrainie – deklaruje w rozmowie ze mną Užule-Fons.

Trochę nie dowierzam Sandrze, bo ona ma jednak doświadczenie Dyneburga, a nie Rygi, gdzie odsetek rosyjskojęzycznych jest mniejszy (choć wciąż wysoki: w łotewskiej stolicy, podobnie jak w Jurmale, stanowią prawie połowę mieszkańców). Pamiętam też, jak były poseł na Sejm, łotewski Polak Ryszard Łabanowski, mówił w rozmowie ze mną w kawiarni na tutejszej starówce, że „Laima się sprzedawała”.

Laimy broni także znany politolog i przez pewien czas polityk łotewskiej prawicy Andis Kudors. Mówi „Tygodnikowi”: – Ona jest postrzegana neutralnie. Pozytywnie wspomina się jej współpracę z Raimondsem Paulsem, popularnym na Łotwie kompozytorem. Tak, robiła karierę w Rosji, ale nie obchodzi mnie to ze względu na jej apolityczną postawę w tych latach, gdy pracowała w miejscowej rosyjskiej popkulturze. Nie powiedziałam przez ten czas nic pozytywnego o Putinie i nic negatywnego o Łotwie.

Ma śpiewać, nie politykować

Podobnie jak wielu Łotyszy, Kudors szanuje Laimę Vaikule także za co innego: zajęła jednoznaczne stanowisko w sprawie inwazji Rosji przeciw Ukrainie.

„Nie mogę patrzeć, jak bombarduje się ukraińskie miasta, ktoś musi zatrzymać to szaleństwo” – deklaruowała Laima w rozmowie z rosyjską dziennikarką i celebrytką Ksienią Sobczak. Na następnego prezydenta Rosji wskazała Maksima Gałkina – aktora i komika, a prywatnie od 2011 r. męża Ałły Pugaczowej (ten również potępił inwazję).

„Tylko wtedy, jeśli na czele Rosji stanie taki polityk, będzie można mówić

Restauracja
„Jūras pērle”,
1975 r.



o pojednaniu ukraińsko-rosyjskim” – mówi mediom z przekonaniem Vaikule, która ma tyle samo fanów w Moskwie, co w Kijowie lub Odessie.

A może raczej miała, bo dziś Rosjanie w internecie piszą o niej straszne rzeczy. „Sprzedała się NATO, Ameryce” – to najdelikatniejsze komentarze. „Po co ona w ogóle wypowiada się na tematy polityczne, ma śpiewać, a nie żyć polityką” – piszą inni i podają jej przykład Raimondsa Paulsa, jej guru, który owszem jest kochany przez Łotyszy, ale przede wszystkim przez Rosjan.

Pauls, choć miał żonę Ukrainkę z Odessy, nigdy jednoznacznie nie potępił wojny. – On chyba nie bardzo lubi Ukrainę, tylko nie wiem, dlaczego – mówi mi łotewski znajomy. Pauls to zresztą taki „wielki Sfinks”: wypowiada się zawsze w taki sposób, aby nikogo nie urazić. Choć przez pewien czas kierował własną partią polityczną, co powinno mu nadać polityczny pazur. Nie dało.

Nie wystąpię na Krymie

Kłopoty Laimy wśród rosyjskich odbiorców jej piosenek zaczęły się w 2018 r., gdy podczas pobytu w Odessie zadeklarowała: „Nie śpiewam na Krymie”. W tym czasie półwysep był okupowany od czterech lat, a w Rosji trwały nastroje streszczające się w hasło „Krym jest nasz”. W tym roku Laila miała

już trafić na listę „zagranicznych agentów” (tak rosyjskie sądy klasyfikują organizacje i osoby krytyczne wobec Kremla), a jej biznesami w Rosji zajęły się tamtejsze służby.

„Bardzo ją szanuję i nie spodziewałem się tego po niej. Laima zawsze była apolityczna. Jeśli ktoś uważa Rosję za zły kraj, nie powinien tutaj przyjeżdżać, nie powinien zarabiać. Muzyka powinna jednoczyć ludzi, a nie ich dzielić. Jeśli ktoś robi taką deklarację, obraża dużą liczbę fanów” – powiedział mediom jej rosyjski producent Josif Prigożyn, który swego czasu dostał zakaz wjazdu na Ukrainę. „Słowo to nie wróbel. Interesujące, ile teraz wyniesie jej honorarium, jeśli postanowi przyjechać na występy do Rosji” – straszył publicznie rosyjski senator Franc Klincewicz.

Widząc brak solidarności rosyjskich kolegów po fachu, Vaikule próbowała później łagodzić swoje stanowisko. „Nie idę w politykę. Jeśli zniosą sankcje, przyjadę na Krym z wielką przyjemnością (...). Szczerze mówiąc, chcę teraz o tym milczeć. Nie spodziewałam się, że ludzie są takimi zwierzętami. Mnie wydaje się, że zwariowali. Stali się zombie. Nawet nie słyszą, co mówią. Dziennikarze to prowokatorzy i kłamcy, takie mam wrażenie” – mówiła w rozmowie z radiem Baltkom.

Po 24 lutego 2022 r. nikt już nie oczekuje jej występów w Rosji. „Niech organizuje swój sabat na Łotwie” – piszą wście-

kli rosyjscy internauci, gdy widzą, jak deklaruje, że jej festiwal jest otwarty dla wszystkich artystów sprzeciwiających się wojnie.

A może do Warszawy?

Być możemy zobaczymy ją za to w Polsce. Niedawno odwiedziła bowiem Sandomierz, podczas koncertu „Serce Europy” organizowanego przez TVP. Zaśpiewała piosenkę „Rozā brilles” („Różowe okulary”). Wcześniej ostatni raz gościła u nas w 1988 r., na festiwalu piosenki sowieckiej w Zielonej Górze. Może ktoś zaprosi wreszcie Laimę do Warszawy?

Wróćmy jednak do Jurmały, gdzie na festiwalu łączy się przez internet z Dublina Bono. „Labdien!” – Irlandczyk wita się po łotewsku, uśmiecha z ekranu i deklaruje wsparcie dla inicjatywy charytatywnej Vaikule, mającej wspomóc ukraińskie dzieci.

„Jeszcze nie wieczór”... Jeszcze wojna się nie skończyła, jeszcze bombardowane są miasta. Ale z drogi krytyczki Putina i przeciwniczki wojny powrotu już nie ma. Laima Vaikule o tym wie. I czeka, aż Maksim Gałkin zaprosi ją na Kreml. Może wtedy przyjąłaby order od prezydenta Rosji za pomoc Ukrainie?

„Nie lubię orderów” – przyznaje Vaikule w jednej z rozmów. I zaprasza do Rygi na city break. © TOMASZ OTOCKI

Prenumeratę papierową kupisz na TygodnikPowszechny.pl/sklep

JAK ZAMÓWIĆ PRENUMERATĘ PAPIEROWĄ:

- prenumeratę papierową kupisz przez internet na TygodnikPowszechny.pl/sklep
- poprzez dokonanie wpłaty na konto lub optacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków
Nr konta Bank Pekao SA
49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Potrzebujesz pomocy? Zadzwoń lub napisz

W sprawie prenumeraty cyfrowej informacji oraz wsparcia technicznego udziela Mateusz Chmielowski w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 660 692 099 lub adresem e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

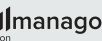
W sprawie prenumeraty papierowej pomocy udziela Agnieszka Dyrz w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

RODZAJ PRENUMERATY PAPIEROWEJ	OKRES	CENA	
		Z WYSYŁKĄ EKONOMICZNĄ	Z WYSYŁKĄ PRIORYTETOWĄ
13 wydań	3 m-ce	160 zł	200 zł
52 wydania	rok	550 zł	680 zł
52 wydania oraz 4 Wydania Specjalne	rok	640 zł	770 zł
4 Wydania Specjalne – kwartalniki	rok	100 zł	
52 wydania – w ofercie POKOLENIA*	rok	480 zł	
52 wydania oraz 4 Wydania Specjalne – w ofercie POKOLENIA*	rok	570 zł	

* POKOLENIA – oferta dla studentów, seniorów oraz posiadaczy Karty Dużej Rodziny

Pełna oferta, w tym krótsze okresy oferty łączonej,
na TygodnikPowszechny.pl/sklep

PARTNER MARKETINGOWY

SALES 
marketing automation

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego”

- **KATOWICE**, czwartek, 21 września
Spotkanie autorskie z o. Stanisławem Jaromi,
dr. Rafałem Cekierą o książce „Kościół w dobie
antropocenu” / hybrydowe /
- **WROCŁAW**, sobota, 23 września
Rozmowy w ogrodzie: dyskusja wokół tekstu
Dariusza Rosiaka „Nie zgadzajmy się” z „TP” 36/2023
/ stacjonarne /
- **ZIELONA GÓRA**, niedziela, 24 września
Świątowy Dzień Migranta i Uchodźcy. Msza św.
w kościele pw. św. Stanisława Kostki / stacjonarne /

- **ZIELONA GÓRA**, niedziela, 24 września
Spotkanie z Tomaszem Terlikowskim
„Czy Kościół w Polsce wygasa?” / stacjonarne /
- **RZESZÓW**, poniedziałek, 25 września
Spotkanie z Markiem Kitą „Świetlista noc wiary”
/ stacjonarne /
- **ZIELONA GÓRA**, wtorek, 26 września
„Dlaczego rosną mury?” – spotkanie z Sinan Tankut
Gühan, Emilią Piotrowicz, Dorotą Bazuń,
Mariuszem Kwiatkowskim, / stacjonarne /
- **BIELSKO-BIAŁA**, środa, 27 września
Spotkanie autorskie z Kazimierzem Sową wokół
książki: „Niewierni wierni. Rozmowy o prawdziwym
Kościele” / stacjonarne /

**REZERWUJ
CZAS!**

ZESKANUJ I SPRAWDŹ



SOLIDARNI W EDUKACJI

Eskalacja wojny w Ukrainie postawiła nauczycielki i nauczycieli w polskich szkołach przed nieznanymi im wyzwaniami. Programy edukacyjne Polskiej Akcji Humanitarnej pomogły im sprostać. Problem nie zniknął, dlatego ponownie PAH zaprasza szkoły i przedszkola do skorzystania z bezpłatnej oferty edukacyjnej.

Już w pierwszych dniach wojny polskie szkoły musiały dostosować programy nauczania do potrzeb imigrantów i imigrantek. Trzeba było w błyskawicznym tempie zmieniać tryb pracy, dostosować słownictwo na lekcji, zmierzyć się z trudnymi tematami na lekcjach polskiego czy historii – wspomina Justyna Tabor, jedna z nauczycielek biorących udział w programach PAH.

Wiele organizacji społecznych intensywnie wspomagało szkoły i przedszkola w tamtych trudnych dniach. Wśród nich była także Polska Akcja Humanitarna. – W ciągu 1,5 roku udoskonaliśmy nasze programy. Zaczęliśmy od akcji, które angażowały szkoły do pomocy na rzecz osób z Ukrainy – np. Zamiast Kwiatka Niosę Pomoc. Z nowym rokiem szkolnym zaprosiliśmy do bardziej rozbudowanych programów, w których kształtujemy różne umiejętności i postawy – opowiada Łukasz Bartosik, ekspert ds. edukacji w PAH.

Pierwszym z nich są Lekcje Pomagania. – O tym, jak działa pomoc humanitarna, dowiedzieliśmy się z programów PAH – wspomina Elżbieta Roch, nauczycielka z CKZiU2 w Gdańsku. – Zostaliśmy uświadomieni, że zbiórka pieniędzy przyniesie największe korzyści, że nie ma sensu kupować rzeczy w Gdańsku i wieźć do Ukrainy. W tych dniach staraliśmy się również zaangażować uczniów i uczennice zza naszej wschodniej granicy. Udział w szkoleniach i programach PAH-u dał nam pewność, że pomagamy mądrze i skutecznie.

Innym wyzwaniem była pomoc dla osób uchodźczych na miejscu. – Podczas szkoleń dowiedziałam się, jak ważna jest informacja. Dzięki temu miałam odwagę rozmawiać bez barier z osobami, które przybyły do nas po wybuchu wojny, mogłam ich wysłuchać bez uprzedzeń i stereotypów. Już to, że mogli się wygadać, podzielić swoją historią, zwiększało ich poczucie bezpieczeństwa. Angażując z kolei w ten program młodych Polaków, próbowaliśmy uspokoić ich obawy, czy jesteśmy w Polsce bezpieczni – dodaje Oliwia Ubecka z ZSS we Włocławku.

Ważna okazała się praca z polskimi uczniami i uczennicami, którzy potrzebują odnaleźć się w nowej sytuacji, zmierzyć się ze swoimi stereotypami oraz ukształtować opinie o świecie, m.in. poprzez krytyczne podejście do przekazów medialnych. – Łatwo jest mówić o empatii i pomaganiu, gdy robi się to raz na jakiś czas. Czymś innym jest codzienność szkolna, w której do klasy, gdzie młodzież zna się od lat, dołącza osoba z doświadczeniem migracyjnym, która nie zawsze zna język polski. Młodzi ludzie, którzy

rozmawiali wcześniej na lekcjach wychowawczych o kryzysach społecznych, stereotypach i wyzwaniach globalnych, są bardziej otwarci i gotowi na takie spotkanie. – mówi Justyna Strzelec, nauczycielka z III LO w Pszczynie.

Tworzenie przestrzeni do dyskusji, pokazywanie, jak jesteśmy powiązani ze światem i odpowiedzialni za to, co się na nim dzieje, to podstawa naszych działań. Uważamy, że każda lekcja jest dobrą przestrzenią do tego, ale szczególnie zapraszamy do realizowania naszych programów na zajęciach wychowawczych. Skala zainteresowania naszą ofertą pokazuje, że dobrze odpowiadamy na potrzeby – podkreśla Łukasz Bartosik.

W roku szkolnym 2022/23 w programach PAH uczestniczyło 3863 szkół i przedszkoli. 27 988 uczniów i uczennic brało udział w zajęciach edukacyjnych w oparciu o scenariusze lub materiały PAH. Tak duża skala była możliwa dzięki organizacji CARE. W tym roku szkolnym PAH czeka na zgłoszenia do końca września.

Wszystkie informacje znajdują się na stronie www.pah.org.pl/edukuj.

Udział we wszystkich programach jest bezpłatny.



Program realizowany we współpracy z organizacją CARE.



CHUSTA NASZEJ NIEWIDOMEJ

Po inwazji na Polskę w 1939 r. Niemcy rozpoczęli
eksterminację pacjentów szpitali psychiatrycznych
i mieszkańców domów opieki.

Wśród takich miejsc były Gostynin i Śrem.

KALINA BŁĄŻEJOWSKA

PÓŹNĄ WIOSNĄ 1941 GOSTYNIŃSKI szpital psychiatryczny wizytuje „urzędnik opieki społecznej” z Łodzi. „Przedstawiciel opieki społecznej posiadał emblematy w postaci trupiej czaszki” – odnotuje były polski dyrektor. Po tem pojawia się wysłannik „berlińskich władz psychiatrycznych”. Goście chodzą po oddziałach razem z nowym niemieckim dyrektorem i typują pacjentów „niezdolnych do pracy”. Za takich uznają m.in. wszystkich pozostałych jeszcze w zakładzie Żydów. Nie zachowa się pełna lista wybranych; na pewno trafia na nią nie mniej niż 59 i nie więcej niż 150 osób. Mają być odesłane do oddalonego o 200 km Zakładu dla Ubogich w Śremie.

LISTA | Działający od końca XIX wieku przytułek zajmuje dwa budynki: neogotycki gmach i położony na jego tyłach dawny klasztor. Pomiedzy nimi rozciąga się zadbane ogród, niedaleko płynie Warta. Na początku wojny uciekli stąd polski dyrektor, część personelu i większość podopiecznych. Zostało stu sparalizowanych. Gdy zakład zajęli Niemcy, sprowadzili zbiegłych pensjonariuszy i zaczęli przyjmować nowych. Nie robili im krzywdy, kazali tylko więcej pracować.

Na przełomie maja i czerwca 1941 r. kierownik zakładu von Sabler przeka-

zuje polskiemu pracownikowi Walentemu Zalewskiemu polecenie, jakie otrzymał z Samorządu Okręgowego w Poznaniu: sporządzić listę wszystkich polskich pensjonariuszy i odbić ją w czterech egzemplarzach. Zalewski, podobnie jak wcześniej i później, bez szemrania robi, co mu każą. Może nie byłby tak gorliwy, gdyby nie walczył w powstaniu wielkopolskim i nie bał się, że może za to trafić do obozu.

Lista jest gotowa, gdy do Śremu przyjeżdża doktor Wiktor Ratka, dyrektor szpitala psychiatrycznego w Dziekanowie. W brunatnym mundurze SA, z wysoko podgoloną głową i wąsikami jak u Führera nie wygląda na lekarza. Przed wojną chodził w garniturze, mówił po polsku i podpisywał się jako Wiktor. Koledzy psychiatry wiedzieli, że jest Ślązakiem, studiował we Fryburgu i ożenił się z Niemką, ale nikt nie przypuszczał, że przeszkadza mu polskie obywatelstwo. Niemiecką tożsamość ujawnił dopiero w dniu wkroczenia Wehrmachtu do Gniezna.

Gdy tylko stało się to możliwe, Ratka zaczął starania o wpisanie na volkslistę – dostał najniższą, IV grupę, przeznaczoną dla osób pochodzenia niemieckiego, ale całkiem spolonizowanych. Mimo to zgłosił się na kandydata do NSDAP. W kierowanym przez siebie szpitalu

wprowadził wiele zakazów i kar dla polskich pracowników – w tym bicie po twarzy. Zabronił używania polskiego nawet w rozmowach prywatnych i kontakcie z pacjentami.

Teraz ma zbadać mieszkańców śremskiego przytułku i wskazać tych, którzy – jak od kierownictwa usłyszał polski personel – zostaną przeniesieni do zakładu w Prusach Zachodnich, bo budynek ma zmienić przeznaczenie.

JAK LECI? | Ratka siada za stołem w dużej sali wypełnionej bezdomnymi, starymi, niepełnosprawnymi i chorymi. Obok siebie ma Walentego Zalewskiego i niemiecką zarządczynię, której imienia nikt nie zna, bo przedstawia się jako Hausmutter Conradi. Przed sobą – akta personalne, stos formularzy i czerwony ołówek. A także listę, z której wyczytuje kolejne nazwiska.





NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

*Inspekcja w Wojewódzkim Zakładzie Psychiatrycznym w Dziekanowie, 1937 r.
W pierwszym rzędzie trzeci od lewej dyrektor zakładu doktor Wiktor Ratka.*

Wezwanych nie ogląda, nie opukuje, nie osłuchuje. Przesłuchuje. Jednym z nich jest Walenty Łagódka, robotnik rolny z Krajewic. Młody, przytomny, świetnie mówi po niemiecku. Ma tylko problemy z chodzeniem – do przytułku trafił po wypadku, w którym stracił palce u stóp. „Byłem bezradny, a nie posiadałem rodziny, która by mi mogła pomóc” – wyjaśni śledczym wiele lat później. I opíše, jak wyglądało badanie u Ratki. „Lekarz zaczynał od zapytania »Wie geh-t's?« [Jak leci, co słyszać?], po czym wypytywał o pochodzenie, wiek, stan zdrowia, okres pobytu w Zakładzie, wykonywaną pracę. Zadawał też pytanie, czy badany jest posłuszny (»usłuchany«). Kiedy badany na pierwsze niemieckie pytanie lekarza nie odpowiadał, lekarz zadawał pytanie po polsku. (...) Po każdym badaniu mówił do urzędniczki: »Der soll hier bleiben« albo też »Den aufschreiben«”.

Czyli: „Ten powinien tu zostać” albo „Tego zapisać”.

Łagódka trafia do pierwszej kategorii. Podobnie jak Franciszek Wawrzyniak, który wprawdzie nie umie się wysłowić ani po niemiecku, ani po polsku, ale za to jest zdolnym ogrodnikiem. Prokurator Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich, który odwiedzi go w 1969 r., zanotuje, że świadek „czynił wrażenie osoby niedorozwiniętej umysłowo, o mowie bełkotliwej (...). W toku rozmowy zdołałem zrozumieć, że w Zakładzie śremskim przebywa od r. 1939 i pracuje w zakładowym ogrodzie. Przypomina sobie wywożenie chorych w czasie okupacji i twierdzi w związku z tym, że do wywiezienia wybrani zostali pensjonariusze nienadający się do pracy. (...) Jest przekonany, że i on byłby wywieziony, gdyby się za nim nie stawił dyrektor zakładu, który zaręczał, że »Franek pracuje dobrze«”.

KRZYŻYK | Kilkudziesięcioro pensjonariuszy nie ma tego szczęścia. Przy ich nazwiskach Ratka rysuje czerwony krzyżyk. Zaznacza, jak zauważy księgowy, „osoby upośledzone umysłowo, epileptyków, jak również osoby agresywne i zaczepne”. Oraz obłożnie chorych. Na tych stawia krzyżyk od razu – nie potrzebuje z nimi rozmawiać, wystarczy mu jedno spojrzenie zza biurka.

Z oceną około dwustu osób Ratka uwija się w jeden dzień. Zdobywa kwalifikacje do nowej roli – „biegłego” albo „rzeczoznawcy” (Gutachter) akcji „T4” i akcji „14f13”. Będzie wyceniać życie chorych psychicznie, upośledzonych, więźniów obozów koncentracyjnych, jeńców i robotników przymusowych, decydując, czy przydadzą się do czegoś Rzeszy, czy mają zostać zagazowani. Nie zrezygnuje przy tym z posady dyrektora w Dziekanowie, gdzie chorzy – teraz głównie Niemcy, →

→ w tym upośledzone dzieci i strau-tyzowani żołnierze – będą zabijani do końca wojny, czasem po 80 osób dziennie. Biegłość doktora Ratki w „eutanzji” dostrzeże kancelaria Führera w Berlinie i zgłosi go do Wojennego Krzyża Zasługi II klasy. Z dowcipnym uzasadnieniem: „Jako dyrektor sanatorium w Dziekance (...) wniósł wybitny wkład w rozwój niemieckiej administracji”.

TRANSPORT | W poniedziałek 9 czerwca 1941 r. na stacji w Gostyninie dwóch polskich pielęgniarzy wsiada do pociągu z grupą wybranych niedawno pacjentów „niezdolnych do pracy”. Po dziewiętnastej docierają na śremski dworzec, przed którym stoją już wozy drabiniaste i konie. Ostatni odcinek drogi to kwadrans jazdy reprezentacyjną ulicą.

W zakładzie czeka na nich sekretarz Antoni Hołoga – powiedziano mu, że spędzą tu kilka nocy, aby odpocząć w długiej podróży na zachód. Tuż po wojnie zezna: „Byli to ludzie obojga płci i różnego wieku. Część z nich robiła wrażenie silnie obłąkanych, natomiast większa ilość nie zdradzała objawów obłąkania. Odzież ich była na ogół zniszczona, kilku tylko było lepiej ubranych. Ludzie przyjechali przeważnie boso, bagażów nie mieli żadnych. Postacie były chwiejne, twarze wymizerowane”. Pielęgniarszka Ludwika Szubert zauważyła natomiast, że z Gostynina przywieziono „wielu rozsądnych” i że „wszyscy byli po przyjeździe podenerwowani. (...) Około dziesięciu mężczyzn przywieziono z Gostynina w kaftanach bezpieczeństwa, które na oddziale zaraz im zdjęto”.

Kobiety i mężczyźni zostają położeńi na osobnych piętach. Każdy dostaje siennik, koc i kolację: chleb i kawę. Szubert: „Po spożyciu posiłku wieczornego ci mężczyźni dostali z rąk przybyłego z nimi pielęgniarza Polaka zastrzyki nasenne. W ciągu nocy zachowywali się wszyscy spokojnie. Pełniąc nocną służbę przy przywiezionych chorych, słyszałem, jak któryś z nich wołał na drugiego »panie nauczycielu«, na innego znowu »panie kapitanie«”.

CEREMONIAŁ | W śremskim przytułku śpi też inspektor Otto Fischer z samorządu okręgowego, kierownik Centrali do spraw Przenoszenia Chorych (Zentralstelle für Krankenverlegung) przy na-

miestniku Rzeszy w Poznaniu. Przyjechał kilka dni wcześniej, żeby przygotować zakład na odbiór pacjentów z Gostynina. Spokojny człowiek, wydawał się zwykłym urzędnikiem – przynajmniej jeśli ktoś nie zwrócił uwagi na stalową trupią główkę wpiętą w kłapę jego marynarki.

We wtorkowy ranek 10 czerwca Fischer przychodzi do pracy w mundurze SS i wręcza pracownikom listę pensjonariuszy wybranych przez Ratkę. Poleca ubrać ich jak najgorzej, nie pakować dla nich żadnego bagażu i nie podawać im obiadu.

O 10.45 przed budynek podjeżdżają samochody Sonderkommando Lange. Pierwszy osobowy, drugi przypominający wóz meblowy, z ogromną czarną przyczepą połączoną z szoferką gumowymi przewodami, trzeci wojskowy, z budą nakrytą brezentem. Z dwóch wysiada kilku umundurowanych, uzbrojonych Niemców, w trzecim zostaje 13 polskich więźniów z obozu koncentracyjnego w poznańskim Forcie VII. „Jeden z nich – zezna sekretarz Hołoga – w momencie odwrócenia się gestapowców w innym kierunku, odezwał się po polsku: »My jesteśmy tymi zbrodniarzami«”.

Zbrodniarze nie mogą pracować bez śniadania. Polscy pomocnicy dostają do auta karton kromek ze słoniną i kawę, niemieccy zwierzchnicy jedzą w zakładzie jajecznicę z chlebem, szynką i herbatą. Sekretarz Hołoga zapamięta, że im nie smakuje. „Na twarzach gestapowców rysowało się, mimo dobrego poczęstunku, wzburzenie, a nawet silne zdenerwowanie, do tego stopnia, że jeden z nich, spożywający śniadanie na stojąco, zrzucił ze stołu przygotowany nóż i widlec, dodając że »Bez tych ceremonialnych przyrządów tu się obejdzie«”.

A jednak odbywa się pewien ceremoniał. Zaczyna się od wniesienia ławek do największego auta i ustawienia przed jego drzwiami żelaznych schodków – jakby mordcom zależało na wygodzie mordowanych. Tymi przygotowaniami kieruje Zalewski. Później Hausmutter Conradi wyczytuje z kartki nazwiska wytypowanych.

POCZTÓWKI | Młoda kancelistka Waleria Borowczyk widzi to przez okno swojego biura i powstrzymuje łzy. Chce wyjść przed budynek, ale siedzący z nią w pokoju Fischer każe jej wracać na miejsce. „Potem do samochodu wprowadzano

pensjonariuszy Zakładu – opowie Borowczyk prokuratorowi. – Nie oglądałam już tego, bo płakałam ze wzruszenia, tym bardziej że sprowadzana na dół pensjonariuszka Zakładu Urszula Kowalska wstąpiła do mnie, żeby się pożegnać”.

Łez tego ranka płynie więcej – księgowy Jankowiak zezna, że „pensjonariusze byli bardzo nerwowi i wzruszeni, płakali i czule żegnali się z personelem”. Wyjątkowo mocny jest uścisk, który zakładowy krawiec Stanisław Jakuszek wymienia z Ludwikiem Jakuszkiem – swoim starszym bratem, „chorym na nerwy na skutek kontuzji odniesionej w pracy w Niemczech przed I wojną światową”.

Siostry dają wywozonym zaadresowane i opłacone pocztówki. „Byłyśmy przekonane, że chorzy będą istotnie przewiezieni do innego zakładu. (...) Żaden jednak z chorych do nas nie napisał” – opowie pielęgniarzka Maria Mikołajczak. Krawiec Jakuszek też będzie czekać na list od brata i martwić się, że ten „nie daje znaku życia”.

Gestapowcy stoją przy aucie i spokojnie obserwują wchodzących lub wnoszonych po stopniach. Jeden zwraca się wprost do nich: „Tam będziecie mieli lepiej jak tutaj”. Jeśli Niemcy podnoszą głos, to tylko na sanitariuszy. Domagają się nie pośpiechu, ale ostrożności. „To też są ludzie, i w dodatku chorzy!” – wołają do dźwigających nosze.

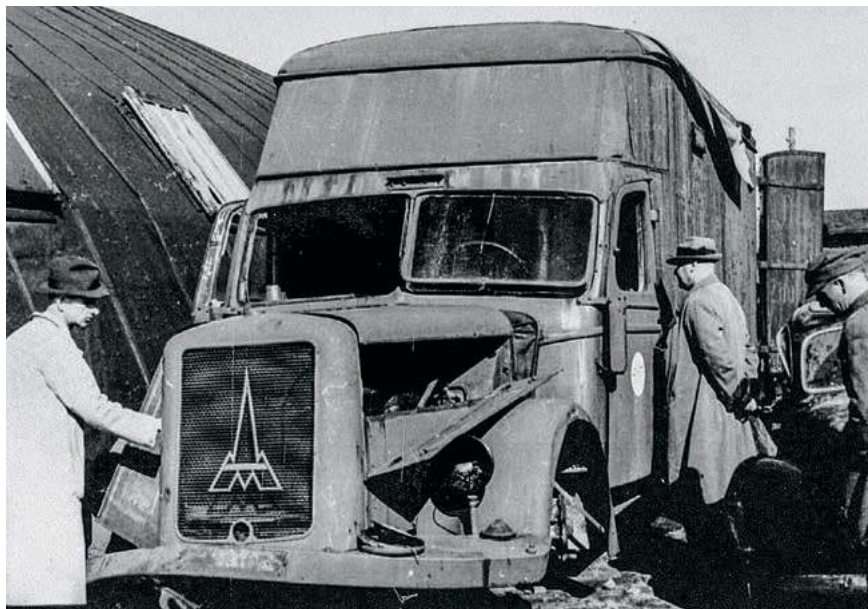
PO DRODZE | Pasażerowie ledwie się mieszczą – sprawniejsi siedzą na ławkach, niesprawni leżą na słomie pod ich nogami. „Wóz był załadowany tak ciasno, że obawialiśmy się, iż chorzy mogą się udusić” – zezna Mikołajczak. Inni pracownicy określają Sonderwagen jako „żywą trumnę”. Antoni Hołoga: „zamknięto szybko drzwi żywej trumny i zakrecono je na trzy śruby, u góry, w połowie i u dołu. Podczas tych czynności, wykonywanych przez gestapowców z wielkim przejęciem, motor samochodu już pracował. Po chwili otworzyła się brama Zakładu (...) i wszystkie trzy samochody, wśród głośniego warkotu maszyn – prawdopodobnie celowego, aby nie było słychać krzyków nieszczęśliwych – ruszyły ulicą Mickiewicza w kierunku miasta”.

Hołoga ma dobrą intuicję: „nieszczęśliwi” truci są od razu, spalinami z silnika. Wołają o pomoc, bo widzą



ARCHIWUM PRYWATNE R. WASIELEWSKIEGO

Zakład dla Ubogich w Śremie



WIKIPEDIA

Tego typu samochody dostawcze hitlerowcy przystosowywali do funkcji mobilnej komory gazowej. Na zdjęciu: spalony samochód marki Magirus-Deutz znaleziony w pobliżu obozu zagłady w Chełmnie, 1945 r.

i czują czarny, śmierdzący dym. Dla oprawców to tańsze i wygodniejsze niż używany wcześniej do zabijania chorych i niepełnosprawnych tlenek węgla – wystarczy benzyna, nikt nie musi przywozić z berlińskiej centrali butli z gazem. Poza tym benzyny nigdy nie braknie. A wreszcie: tak jest jeszcze szybciej. Nie trzeba czekać 20 lub 30 minut w lesie, pasażerowie umierają już po drodze do grobu.

W tym wypadku – po drodze do dołu w lesie Bogulin w nadleśnictwie Sowiniec, 700 metrów od szosy, na wysokości czwartego kilometra drogi ze Śremu do Mosiny.

ŚLADY | Sonderkommando wraca do Śremu następnego dnia o tej samej porze. Kiedy esesmani jedzą śniadanie, a „auto specjalne” stoi przed zakładem jeszcze puste, Maria Mikołajczak zagląda do

środka przez uchylone drzwiczki. Szuka śladów podopiecznych. „Na podłodze zauważyłam czapkę i mufkę futrzaną należącą do Stanisławy Niedzielskiej oraz chustę jednej z naszych niewiomych”. Czapka, mufka i chusta – tego nie nosi się w czerwcu. Właścicielki musiały uznać te rzeczy za zbyt cenne, żeby zostawić je w zakładzie. A Niemcy – za zbyt cenne, żeby zostawić je w ziemi.

Teraz wywożona jest pierwsza grupa pacjentów z Gostynina. Nie płaczą, nie protestują – na chwilę przed sprowadzeniem dostali zastrzyki, po których trzeba ich „prawie w stanie uśpionym wynosić na noszach do »żywej trumny«”. Po drugą grupę Lange przyjeżdża następnego dnia.

Akcja powinna być tajna, ale taka być nie może. Pozostałych w przytułku wystarczy postraszyć, że jeśli będą się gapić, zostaną zastrzeleni, ale co powiedzieć

mieszkającym w pobliżu Niemcom? Każdego ranka na dźwięk motoru otwierają okna, wychylają się i patrzą przejeżdżając.

To jedyna rzecz, której kierownik Centrali do spraw Przenoszenia Chorych nie przewidział. Teraz jest wściekły. Hołoga zapamięta taką scenę: „Po wyruszeniu ostatniego transportu Fischer zdenerwowany, klnąc, krzyczał nawet wobec Polaków, że »czas najwyższy, abyśmy się stąd wynieśli, bo całe miasto mówi o wywożeniu ludzi«”.

Po odjeździe Fischera i oddziału Langego reszta pensjonariuszy zostaje przeniesiona do domów po wysiedlonych Polakach. Teren zakładu, zajęty przez Wehrmacht i Niemców sprowadzonych ze Wschodu, staje się dla nich miejscem pracy. Sprzątają w budynkach, pielą grządki w ogrodzie i mają nadzieję, że dotrwią do końca wojny.

PÓŹNIEJ | W pierwszej połowie 1944 r. we wsiach pod lasem Bogulin czuć nieznośny smród spalenizny. Potem ludzie znajdują ślady ognia i piasek na pniach drzew. Ale nie wszystkie zwłoki znikają. O tym, że coś zostało pod ziemią, pierwsze wiedzą dziki, które – jak napisze milicjant w powojennej notatce – „węsząc za mięsem, ryją”.

Zaraz po przejściu frontu, wiosną 1945 r., w bogulińskim lesie zaczyna się szukanie i liczenie. Masowych grobów jest 14. Zakopano w nich nie tylko chorych z Gostynina i Śremu, ale też setki, może tysiące innych ofiar. Miejscowi wiele razy słyszeli w lesie strzały, zbierali z trawy guziki, widywali między drzewami gestapowców i ciężarówki pełne zwłok.

W niektórych grobach są już tylko popioły, w innych „ciała jeszcze w niezłym stanie” albo nawet „zupełnie nieepsute”. Zostaną tam na zawsze.

© KALINA BŁAŻEJOWSKA



Tekst jest skróconym fragmentem książki **BEZDUSZNI.**

ZAPOMNIANA ZAGŁADA CHORYCH

która właśnie ukazała się w Wydawnictwie Czarne.

Lid, tytuł i śródtytuły pochodzą od redakcji.

Markowa: symetrii nie było

WOJCIECH PIĘCIAK

Pisząc o beatyfikacji Ulmów, podaliśmy w „Tygodniku”, że mieszkańcy Markowej własnymi rękoma zabili 24 ukrywanych Żydów – czyli niemal tyłu, ilu uratowali. Ta teza budzi wątpliwości.

CZY W MARKOWEJ – WSI WIKTORII i Józefa Ulmów, którzy w 1944 r. zginęli wraz z dziećmi i ukrywanymi Żydami (rodzinami Goldman, Didner i Grünfeld) – podczas niemieckiej okupacji miała miejsce krwawa symetria zasług i win polskiej ludności tej wsi? Taki obraz Markowej – i taki historyczno-moralny kontekst dla dyskusji o beatyfikacji Ulmów oraz o tym, jak zachowali się tam Polacy podczas okupacji – stworzyła nasza autorka Zuzanna Radzik. W tekście „Ulmowie: życie po życiu” („TP” nr 37, dział Wiara) pisała: „Wiemy też, że 21 ukrywających się w okolicy Żydów dotrwało do końca okupacji, który w Markowej nastąpił 27 lipca 1944 r. Tak samo jak wiemy ze świadectwa Jehudy Ehrlicha, że następnego dnia po egzekucji w domu Ulmów na polach znaleziono 24 ciała Żydów zamordowanych przez tych, którzy ich wcześniej ukrywali”.

Po lekturze tego fragmentu czytelnicy mieli prawo uznać, że mord na 24 Żydach przez ludzi z Markowej to fakt niebudzący wątpliwości. I – sądząc po reakcjach – tak go odczytali. W kategoriach historyczno-moralnych odczytał go też nasz redaktor senior ks. Adam Boniecki, który przywołał go w edytoriale (nr 37), pisząc: „Myślę, że wiele osób patrzyło na historię, którą naszej pamięci przywraca obecna beatyfikacja, w oderwaniu od kontekstu, w mocnych słowach przypominanego przez Zuzannę Radzik. O czynie rodziny Ulmów



ANA KACZMARZ / DZIENNIK POLSKI / REPORTER

Abraham Segal przy zdjęciu rodziny Cwynarów z Markowej, która go uratowała, Kraków, 2004 r.

wiedzieliśmy wszyscy. Ale co z wiedzą o tym, co wtedy działo się w Markowej? Czy o 24 Żydach zamordowanych przez tych, którzy ich wcześniej ukrywali (nie wszyscy, którzy ukrywali, potem mordowali), wiedzieliśmy? Nie”.

KONTEKSTEM DLA HEROIZMU Ulmów i dla ocalenia 21 Żydów w Markowej miałyby być zatem zabicie 24 innych Żydów – rękoma wyłącznie polskimi (pod wpływem paniki, wywołanej niemiecką zbrodnią). Jednak taka konstrukcja, zbudowana w oparciu o relację Ehrlicha, nie ma racji bytu – bo ta relacja jest niewiarygodna. Krytyka źródła – tj. analiza relacji i zestawienie z innymi – prowadzi do wniosku, że mord na 24 ukrywanych Żydach nie miał miejsca.

Swoją relację Ehrlich złożył kilkanaście lat po wojnie. Z faktu jej istnienia nie wynika jednak automatycznie, że Ehrlich mówi, jak było. Nie był on świadkiem masakry, która, jak twierdzi, miała miejsce 25 marca 1944 r. Ukrywał się w sąsiedniej wsi. Opisuje więc coś, co mógł usłyszeć (ale czy wiernie powtórzył? o tym za chwilę). Pewne jest jeszcze to, że jego relacja to jedyne źródło, które mówi o domniemanej masakrze z 25 marca. Zdarzenie takie nie występuje w innych źródłach – niemieckich, polskich (np. sądowych powojennych) ani żydowskich.

UDERZA ZWŁASZCZA jej nieobecność w źródłach żydowskich: żaden z 21 Żydów, którzy przetrwali okupację w Markowej, o niej nie wspominał. Choć to zwłaszcza oni powinni mieć taką wiedzę – byli na miejscu, wiedzieli, co się dzieje, od tej wiedzy zależało ich życie. Gdyby założyć, że Ehrlich nie pomylił się, trzeba by przyjąć, że tych 21 ocalonych zawiązało jakąś dziwną zмовę milczenia (abstrahując od tego, że byłoby to wobec nich,

ocalonych, poważne oskarżenie). Mamy za to świadectwo Abrahama Segala, jednego z tych dwudziestu jeden ocalonych, który jako nastolatek ukrywał się w Markowej u rodziny Cwynarów i przeżył: w grudniu 2016 r. w rozmowie radiowej (w Klubie Trójki) Segal powiedział, że jest nieprawdą, jakoby po zamordowaniu Ulmów chłopci z Markowej zabili ukrywających się u nich Żydów.

Skąd więc ta relacja Ehrlicha? Najbardziej prawdopodobna jest interpretacja, że wspominając po latach, połączył on (albo też uczynił tak ktoś, kto mu w ten sposób o tym opowiadał) w niej dwa zdarzenia: mord na Ulmach i obławę, którą w grudniu 1942 r. Niemcy prowadzili w Markowej, do udziału w niej zobowiązując grupę miejscowych, np. strażaków. Podczas tej obławy Niemcy zabili ok. 25 ukrywających się Żydów – liczba niemal identyczna jak w relacji Ehrlicha (to, że w relacjach ocalonych Żydów mogą być błędy, nie jest niezwykle – tak jak w relacjach świadków historii w ogóle).

CZY TO ZNACZY, że w Markowej żyli tylko heroiczni Polacy, jak Ulmowie? Bynajmniej. Przebieg Holokaustu w tej wsi opisał kilkakrotnie historyk Mateusz Szpytma (współtwórca Muzeum Ulmów). Nie przemilczał udziału polskich mieszkańców w akcjach prowadzonych przez Niemców, podawał nazwiska (to m.in. opracowania z 2014 r. w „Zeszytach Historycznych WiN”, nr 40, w którym analizuje też relację Ehrlicha, lub z 2016 r. w „Biuletynie IPN”).

Opisując kontekst dla heroizmu Ulmów, można było więc przywołać realne przypadki kolaboracji. Ale nawet one, zebrane razem, nie uzasadniają moralno-historycznej tezy, że w Markowej miała miejsce krwawa symetria dokonana polskimi rękoma. ©

ELIZA

Kacka: Szurumburum



PARK MORSKIE OKO, SIĘ POPLAKAŁAM. przysiadam z torbą. mija mnie gość z desperacko szlochającą dziewczynką w czarnej sukience z kołnierzem. zajmują sąsiednią ławkę. płacz, aż psy i ludzie się oglądają. gość: „będzie fajnie”. „nie będzie!”.

„poznasz kolegów”. „nie potrzebuję!”. „patrz, pani się śmieje. to będzie przygoda”. „skończyłam przygody, aaa”. ojciec w śmiech: „co ty! skąd wiesz?”. „z przedszkola”. „w przedszkolu się bawiłaś”. „nie!”. długa pauza szlochów, ojciec puszcza mi oko porozumiewawczo. „ech, skoro tak, to polubisz szkołę, bo będziesz się tylko uczyć”. „nie!”. „to co będziesz robić?”. „udawać!!!”. ojciec w stupor. po chwili: „jak to?”. „że daję radę”. „nikt ci nie każe”. „nieprawda! ja ciągle udaję”. „mama ci mówiła, że trzeba być sobą”. „to nie tak, aaa”. „a jak?”. „bo ja sobą pasuję tylko do domu. i do Tula”. „mówiłem, Zuza, dość z tym zmyślonym przyjacielem!”. „nie!”. „Zuzka! jesteś duża”. „nie!”. „bo?”. „bo ja tylko przy nim nie udaję”.

metro, babcia z wnuczkami: „no pokaż raz jeszcze tę pracę”. chłopiec wyciąga z plecaka rysunek na podkładce z tektury. „pięknie, babci się podoba”. mały: „dziadkowi też się podoba”. „Pawelku, dziadek jest w niebie”. „to co?”. „on się teraz nie zajmuje twoimi rysunkami”. „bo?”. „obchodzi go tylko Bóg”. pauza, mały myśli: „ale sprawą mieszkania się zajął”. „prosił się go o wstawiennictwo”. „i usłyszał”. „oczywiście, dziadek wszystko słyszy”. mały na rozgoryczeniu: „to ja nie idę do nieba”. „co ty mówisz! dla czego?”. „bo tam psują charakter!”.

Zaległo się na chwilę w Bibliotece Narodowej, a tu przebiega człowiekowi przed nosem gość z kabelkiem w uchu. i szurumburum za przepierzeniem. jakaś grupa przemaszewowała krokiem i tempem innym niż użytkownicze, bez czajenia się, bynajmniej: z przytupem. trzask aparatu (ktoś tu ma ściankę na tle inkunabułów), poszli. po nastu minutach wychodzę z nory z telefonem. mijam bramki, punkt rejestracji, a tam gość pozuje na barierce. dziewczyna z komórką, ten instruuje nerwowo: „łapiesz mnie i ją?”. „nie, wyszli na zewnątrz”. „trzeba było robić, jak stała przodem”. „głupio wyglądałeś”. gość na irytacji: „no i co, widać ją?”. „trochę”. „ech, nie utrzymam miny”. ona na wkurzeniu: „to daj mi spokój i rób selfa”.

„nie chcę. jest?”. „jest!”. „wyszło?”. „wyszło, masz z nią w wolnym dostępie”. patrzę, a tam niżej prezydentowa z obstawą adoruje regały.

Lidl, kolejka, ja za parą młodych, staruszką, gościem z rozbrykanym synkiem i Ukrainką. kasjerka nie może się z Ukrainką dogadać. tamta po angielsku, też pat. staruszek na głos (tryb „niby do siebie”): „języka się nie chcą uczyć, a wyżerać nasze to pierwsi”. młody: „tam jest wojna”. staruszek: „a tu Polska. nie muszę ruskiego słuchać”. „ukraińskiego”. „jeden czort”. gość z synkiem przy kasie, też kłopot z dogadaniem. gość z zaśpiewem: „ja Denver, Polonia, ja wyszłym z wprawy”. staruszek się ożywił: „witamy w Polsce!”. gość: „ja bardzo wzruszone. powiedz Allan państwu »dźzien dobry« i ja powiem »do widzenia« już”. Allan: „goodbye”. staruszek: „patrzpan, dzieciak, a języki zna”. kasjerka: „zdolny”. staruszek podniósł: „nasza krew”.

autobus 116, dwie w wieku średnim. „słuchałaś »Nad Niemnem« w radiu?”. „tak!”. „jakie to fantastyczne, to czytanie narodowe”. „prawda?”. „ja ci powiem, że miałam tę książkę w szkole, ale nie rozumiałam”. „prawda?”. „że to jest jednak wielkie”. „prawda?”. „posłuchałam – i to jest, słuchaj, narodowe”. „prawda?”. „człowiek młody, to nie rozumie tekstu. a to była skarbnica”. „prawda?”. „a jak się wie jeszcze, że rząd siedzi i słucha. i ważni dla nas ludzie. widać, że to jest wartościowa pisarka, skoro tak posłuchała...”. „prawda?”. „ale też mam refleksję z obejrzenia zdjęć”. „tak?”. „ja ci powiem, że Polak to jest jednak przeciętnie piękny”. „prawda?”. „wszyscy jak u Orzeszkowej, jak trzeba”. „prawda!”.

Cegłówek, cmentarz. przy sąsiednim grobie krząta się kobieta kiele trzydziestki. dobijają do niej gość z chłopcem z grubsza dziesięcioletnim. ona: „dostaliście? to ustaw dziadkom po jednym”. rozmieszczają znicze. ona: „ej, kupiliście dwa »Kochanemu Dziadkowi«”. on: „promocja była”. „żartujesz! ile zaoszczędziłaś na mojej matce?”. mały: „dwa trzydzieści”. ona do małego: „babcia przeczyta i pomyśli, że tylko dziadka kochaś!”. mały na granicy płaczu: „tych z babcią była końcówka i przy nas wykupili”. „wstyd!”. „pójdziemy po inny!”. wracają. „pokaż napis. »Pokój z tobą«. słabo”. on na poirytowaniu: „»Módl się za nami« by cię urządzało?”. „dokupisz mamie dodatkową doniczkę, będzie remis”.

dzwoni staruszka od ciśnienia: „pani elizo, widzę panią”. „gdzie?”. „chyba pani wie, gdzie siedzi”. „a, tak”. „o ile to pani”. „jeśli pod przedszkolem, to chyba ja”. „martwię się o panią”. „hehe, tu chyba bezpiecznie”. „tym bardziej się martwię”. „?”. „coż, trzeba panią informować, że pani z grubsza istnieje”. „dziękuję”. „a teraz przez panią fantazuję o nieletnich terrorystach”. „haha”. „jaki mamy dziś dzień?”. „niewesoły”. „uff, to pani”.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



FUNDACJA
TYGODNIKA
POWSZECHNEGO

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem powszech.net/wspieram

faniMani.pl



W STATECZNEJ NAUCE, jaką jest geologia, trwa wielkie zamieszanie. W najbliższych tygodniach odbędzie się kolejne głosowanie w sprawie wprowadzenia w geologicznej skali czasu nowego okresu: antropocenu. Rozumianego jako czas, w którym dominującą siłą kształtującą Ziemię stali się ludzie. W numerze 37. „Tygodnika” o tym, jak pojęcie antropocenu skłóciło geologów, a zarazem zrobiło karierę w środowisku naukowym i mediach, pisał Łukasz Lamża. Teraz oddajemy głos prof. JANOWI ZALASIEWICZOWI, brytyjskiemu paleobiologowi o polskich korzeniach, który przez 11 lat stał na czele zespołu badającego skalę oddziaływania człowieka na ziemskie systemy i zbierał dowody na to, że od siedmiu dekad faktycznie żyjemy w antropocenie. Prof. Zalasiewicz właśnie otrzymał nagrodę IgNobla za opisanie, dlaczego paleontolodzy i geolodzy lubią lizać skały.

SĄD NAD ANTROPOCENEM

JAN ZALASIEWICZ, PALEOBIOLOG:

Niektórzy mówią, że antropocen to rodzaj politycznego gestu. A to geologiczna diagnoza sytuacji planety. Gdybyśmy odkryli podobne sygnały w skałach z dalekiej przeszłości, nie byłoby wątpliwości, że należy tam wyznaczyć granicę.



*Segregowanie plastikowych butelek
na wysypisku śmieci w Dace,
Bangladesz, lipiec 2023 r.*

ków, ale też przez wielkie ujednolicenie życia. Przez nagłe pojawienie się nowych gatunków na obszarach, na których wcześniej nie występowały, a które potem zaczęły przechodzić procesy ewolucyjne na swoje własne sposoby. To byłby bardzo oczywisty sygnał o wielkiej skali. Każdy, kto zaobserwowałby tę przemianę, musiałby zadać sobie pytanie, jak i dlaczego do niej doszło.

Każdy kompetentny geolog z pewnością znalazłby też pozostałości betonu, plastiku czy kości kurczaków. Wielkie, dziwaczne warstwy osadów pochodzące z naszych wysypisk. Pogrzebane pozostałości miast. Ta granica będzie mniej subtelna od cienkiej warstewki irydu, która wyznacza koniec kredy. Ślady działalności człowieka będą całkiem oczywiste dla przyszłych geologów.

Pytam o to, bo krytycy terminu „antropocen” twierdzą, że ludzkości trudno równać się z geologicznymi procesami, które kształtowały Ziemię od miliardów lat. W porównaniu z płytami tektonicznymi czy wulkanami jesteście mróweczkami.

To słuszna, często stawiana kwestia. Byłoby miło, gdybyśmy mogli po prostu odrzucić antropocen jako przejaw ludzkiego egocentryzmu. W końcu ten termin zakłada, że staliśmy się dominującą siłą kształtującą planetę. My w naszej pracy skupiliśmy się na ustaleniu, czy są geologiczne podstawy dla takiego stwierdzenia. Przyglądaliśmy się efektom, jakie wywarły na planecie wydarzenia ostatnich mileniów, stuleci i dekad. Staraliśmy się ustalić, czy da się je porównać z naturalnymi procesami, takimi jak erupcje wulkanów, trzęsienia ziemi czy dryf kontynentalny. Doszliśmy do niekomfortowego wniosku, że to nie jest jedynie nasza megalomania.

Zmiany, które spowodowali ludzie, zwykle nieumyślnie, wywarły głęboki wpływ na naszą planetę. Muszę tu jednak wprowadzić istotne rozgraniczenie. Ludzkość, rozumiana jako gatunek *Homo sapiens*, ma około 300 tys. lat. „Kulturowo współcześni” ludzie, którzy pozostawili po sobie malowidła i dowody na istnienie złożonych struk-

tur społecznych, około 50 tys. lat. Procesy urbanizacji, rolnictwo, wywołane przez człowieka wymieranie gatunków zaczęły się między 50 a 10 tys. lat temu. Mimo to wówczas jeszcze funkcjonowanie planety, całego systemu Ziemi, czyli klimatu, poziomów mórz, biosfery, było w zasadzie niezmienione.

Ostatnich 10 tys. lat epoki, w której formalnie jeszcze żyjemy – czyli holocenu – było okresem względnej stabilności tych czynników. To pozwoliło naszej cywilizacji się rozwinąć. Ale to, co wydarzyło się zwłaszcza w ciągu ostatnich 70 lat, wywołało poważne zaburzenie fundamentalnych procesów. Podstawowych cykli chemicznych węgla, azotu, fosforu czy funkcjonowania klimatu, który zaczyna się ocieplać w odpowiedzi na geologicznie istotne zmiany poziomów gazów cieplarnianych w atmosferze. Zmiany w biosferze nie ograniczają się już do środowisk lądowych, ale sięgają w głąb oceanów. Są to zjawiska, które pozostawią charakterystyczny ślad w zapisie kopalnym i wpłyną na dalszą ewolucję systemów Ziemi. To przemiana o geologicznej wadze, porównywalnej z największymi zmianami, jakich doświadczyła nasza planeta w ciągu ostatnich milionów lat.

W jaki sposób właściwie ustala się, czy jesteśmy w nowej epoce geologicznej?

Nasz zespół bada antropocen formalnie, nawet biurokratycznie, aby przekonać się, czy jest geologiczną rzeczywistością. Czy może stać się oficjalną częścią geologicznej skali czasu. Do uznania nowej epoki geologicznej potrzebna jest zgoda na wielu poziomach hierarchii naukowej. Grupa Robocza Antropocenu to najniższy poziom tego procesu. Mieliśmy bardzo konkretne, wąsko nakreślone zadanie. Samo pojęcie antropocenu rozrosło się koncepcyjnie w wielu kierunkach, ale my przyglądamy mu się wyłącznie z geologicznego, nawet stratygraficznego poziomu, czyli z perspektywy historii Ziemi.

Noblista Paul Crutzen stworzył termin „Antropocen” w 2002 r.

Wasza grupa powstała w 2009 r.

Dlaczego ten proces trwa tak długo?

Trwa jeszcze dłużej, bo Crutzen po raz pierwszy wspominał o tym terminie →

WOJCIECH BRZEZIŃSKI: Przenieśmy się o 10 albo 20 milionów lat w przyszłość. Ludzkości może tu już dawno nie być. Ale czy ktoś, kto pojawi się na Ziemi, będzie w stanie zorientować się, że tu byliśmy? Co zostanie po naszym antropocenie?

PROF. JAN ZALASIEWICZ: Nie mam żadnych wątpliwości, że będzie można go odnaleźć, podobnie jak dziś odnajdujemy geologiczne granice pozostałe po minionych wielkich transformacjach Ziemi. Na przykład tej, która nastąpiła po uderzeniu asteroidy, które zakończyło okres kredy. Pierwsze, co byłoby zauważalne, to zmiany w skamieniałościach żywych istot. Te z epoki antropocenu będą wyglądały inaczej od tych sprzed niej. Częściowo przez wymieranie wielu gatun-

→ już w 2000 r., w mało znanej publikacji. W 2002 r. opublikował artykuł w „Nature”, który widziało już mnóstwo ludzi. Początkowo jednak ten termin był wykorzystywany wyłącznie przez niego, jego kolegów, przez wspólnotę zajmującą się zmianami klimatycznymi, ale nie przez geologów. W 2006 r. zaczęliśmy nieformalnie zastanawiać się, czy ma on sens z geologicznego punktu widzenia. Opublikowaliśmy w 2008 r. na ten temat krótką pracę, po czym poproszono nas o stworzenie formalnej, międzynarodowej grupy roboczej, która przyjrzałaby się tej kwestii we właściwy, biurokratyczny sposób.

Wcześniej proces od pierwszych badań po formalną ratyfikację jednostek geologicznych trwał zazwyczaj dekady, więc 13 lat to szybkie tempo. Mamy tu do czynienia z bardzo złożoną, wielopłaszczyznową kwestią. Przede wszystkim nie było w geologii tradycji zajmowania się współczesnością – 70 latami po II wojnie światowej. Oczywiście początkowo nie wiedzieliśmy, gdzie ostatecznie wyznaczmy linię. Crutzen proponował początki rewolucji przemysłowej, późny XVIII w., i uważaliśmy, że to sensowna koncepcja. Początkowo więc zajmowaliśmy się okresem przeszło 200-letnim, który i tak wychodził poza zwyczajowe zainteresowania geologów.

Stworzona przez nas grupa składała się z geologów, ale też archeologów czy historyków, co również odbiegało od tradycji. Staraliśmy się zebrać dowody i zrozumieć, czym z geologicznej perspektywy jest antropocen i kiedy się zaczął.

Jednak pomysł odwołania się do rewolucji przemysłowej upadł. Dlaczego?

Przekonaliśmy się, że proponowany przez Crutzena początek rewolucji przemysłowej w geologicznym kontekście nie sprawdza się jako granica. Rozmaite towarzyszące jej efekty zaczynały się w jednym miejscu, potem pojawiały w kolejnych, cały proces industrializacji obiegał świat przez ponad stulecie. Pozostawione przez niego ślady były więc rozbieżne w przestrzeni i czasie. A dla geologicznej jednostki czasu ważne jest, by wyznaczona granica była taka sama na całym świecie.

Przyjrzeliliśmy się więc opracowanej przez Crutzena i jego kolegów koncepcji

„wielkiego przyspieszenia” – gwałtownego wzrostu populacji, industrializacji, globalizacji i technologii od połowy XX w. Zidentyfikowali oni zarówno rozpoczynające się wówczas zmiany socjopolityczne, na przykład ogromne wzrosty globalnych wskaźników PKB, jak i zmiany w systemach Ziemi, takie jak wylesianie czy wzrost stężenia gazów cieplarnianych.

Kiedy my przyjrzeliliśmy się geologii z połowy XX w., zaczęliśmy faktycznie dostrzegać w danych mnóstwo charakterystycznych sygnałów, takich jak popiół ze spalania paliw kopalnych znajdujący w mule, piasku czy torfowiskach. Plastiki w najświeższych warstwach osadów. Radioizotopy pochodzące przede wszystkim z atmosferycznych testów broni jądrowej z lat 40., 50. i 60. W sumie odkryliśmy ponad sto różnych sygnałów, które mogliśmy wykorzystać do śledzenia globalnych przemian.

Obserwujemy np. zmianę w stosunkach między izotopami węgla: wskutek spalania paliw kopalnych notujemy więcej izotopu C-12, a mniej C-13 w zapisie geologicznym. Widzimy w glebie i osadach podwyższone stężenia pewnych pierwiastków i związków chemicznych, w tym metali ciężkich czy pestycydów. Obserwujemy wreszcie bardzo drastyczną zmianę w procesach erozji i tworzenia osadów.

Ludzie bardzo energicznie przekopują krajobraz z wielu powodów. Jesteśmy obecnie czynnikiem erozji o rząd wielkości ważniejszym od jakiegokolwiek naturalnego procesu. Choć więc mówimy o okresie zaledwie 70 lat, mamy dość grubą warstwę współczesnych osadów, które zawierają te sygnały. Ślady tego wielkiego przyspieszenia od połowy XX w. widzimy w oceanach, w lodowcach, w torfowiskach, w szkieletach koralowców. Dla tego około 2015 r. postanowiliśmy, że granicę postawimy w połowie XX w.

Mimo że 70 lat to w geologii mgnienie oka.

To prawda, i wielu moich kolegów czuje się z tym niekomfortowo. Jesteśmy przyzwyczajeni do pracy z o wiele dłuższymi okresami. Ale wszystko zależy od tego, co dzieje się przez tych 70 lat. Cały system Ziemi może ulec przemianie w o wiele krótszym czasie. Klasycznym przykładem jest ula-

mek sekundy, w którym 10-kilometrowa planetoida uderzyła w dzisiejszy Meksyk, niszcząc świat dinozaurów i otwierając drogę ssakom i roślinom kwiatowym. To ekstremalny przykład, ale sposoby, na które ludzkość wywiera wpływ na systemy fizyczne, chemiczne i biologiczne, są porównywalne do skutków tego uderzenia. Jesteśmy dzisiaj w sytuacji podobnej do takiej, w jakiej znalazłby się ktoś, kto trafił na Ziemię w 70 lat po tamtym zdarzeniu. Świat przeszłości został nieodwołalnie zmieniony. Nowy jeszcze się nie uformował.

Czy jako paleobiolog widzi Pan w historii Ziemi okresy, kiedy zachodziły podobne zmiany, czy też mamy do czynienia z procesem zupełnie nowym?

Niektóre aspekty naszej działalności są nowe, inne mają swoje analogi. Ziemia przechodziła już zmiany klimatyczne, czasem dość gwałtowne, które możemy dziś analizować w oparciu o ślady, jakie pozostawiły w skałach. Możemy szacować ich efekty i tempo. 55 mln lat temu, zaledwie 10 mln lat po uderzeniu tamtej asteroidy, do atmosfery trafiła duża ilość dwutlenku węgla i metanu. W ciągu kilku tysięcy lat temperatura Ziemi podniosła się o ok. 5 stopni Celsjusza. Proces potrwał 100-200 tys. lat, ale zmiany, jakie wywołał w biosferze, były permanentne. Zmieniły bieg historii biologicznej. Ten okres ocieplenia uznajemy dziś za granicę między paleocenem a eocenem. Nie uwolniliśmy jeszcze tak wielkiej ilości gazów cieplarnianych, ale i tak zaburzamy już bilans cieplny Ziemi. Oceany przyjmują ciepło w tempie odpowiadającym wlewaniu do nich co sekundę 4 mld filiżanek gorącej herbaty.

Inne efekty naszej działalności są zupełnie nowe. Przenoszenie gatunków roślin i zwierząt między kontynentami, czyli, jak to nazywamy, fenomen gatunków inwazyjnych, dokonał resetu biologii całej planety na sposób, który zdecydował o jej biologicznej przyszłości. Podobne fenomeny w przeszłości zdarzały się tylko wtedy, gdy łączyły się kontynenty. Wiele naszych chemicznych wynalazków, takich jak syntetyczny plastik, też nie ma swoich odpowiedników w geologii.

Dyskusje jednak nie wygasają. Kilkanaście dni temu prof. Erle Ellis ogłosił odejście z Grupy Roboczej Antropocenu i nazwał przyjęcie tej konkretnej daty granicznej nienaukowym i szkodliwym. Procesy, o których mówicie, są jego zdaniem o wiele bardziej rozłożone w czasie.

Prof. Ellis patrzy na te kwestie z perspektywy historii ludzkości. Tak, ludzie powodują zmiany od bardzo dawna, ale z perspektywy całej Ziemi były one do niedawna trywialne, a niektóre mogły nawet przyczynić się do stabilizowania systemów planetarnych. W połowie ubiegłego wieku zaczęła kształtować się jednak zupełnie nowa planeta. Niestabilna i nie zrównoważona. Od 1950 r. ludzkość spalając paliwa kopalne zużyła więcej energii niż przez poprzednich 11 700 lat holocenu.

To wpływa na warunki życia wszystkich gatunków na Ziemi. Różnica jest taka jak między psem, który ma pchły, a psem, który został zaatakowany przez ławicę piranii.

Czy nie jest jednak tak, że termin „antropocen” jest istotniejszy jako symbol polityczny niż jako termin naukowy?

Nie jestem właściwym adresatem tego pytania. Oczywiście od samego początku zdawaliśmy sobie sprawę, że ten termin będzie inny od któregośkolwiek wykorzystywanego dotąd do pomiaru czasu w geologii, że będzie miał znaczenie polityczne i społeczne. Nie tylko dlatego, że oznacza on okres, w którym żyjemy obecnie, ale też dlatego, że reprezentuje zmiany, które wpływają i będą wpływać na resztę naszego życia. Termin jest jednak naukowo użyteczny, bo zbiera w jednym miejscu wiele fenomenów, o których często mówi się osobno. Zakwaszanie oceanów, utratę bioróżnorodności, rozmaite rodzaje zanieczyszczeń. Geologia pozwala położyć obok siebie te wszystkie zjawiska i umieścić je w kontekście nie tylko tysięcy, ale głębokiego czasu geologicznego. Możemy więc porównywać dzisiejsze zjawiska z koń-



GERAINT LEWIS / BE&W

JAN ZALASIEWICZ:

Skamieniałości epoki antropocenu będą wyglądały inaczej od tych sprzed niej. Częściowo przez wymieranie wielu gatunków, ale też przez wielkie ujednolicenie życia.

cem okresu kredy, z granicą paleocenu i eocenu itd.

Próbowaliśmy się skupiać na kwestiach naukowych i sądzę, że się nam to udało. Patrzyliśmy na antropocen tak obojętnie i abstrakcyjnie, jak na zmiany w odległej przeszłości. Nawet gdyby antropocen nie miał znaczenia politycznego, to skala przemian geologicznych usprawiedliwiałaby jego wyodrębnienie.

Często stawia się zarzut, że antropocen jest rodzajem politycznego gestu. Że geolodzy bawią się rzeczami, którymi nie powinni się bawić. Tymczasem to po prostu geologiczna diagnoza sytuacji planety. Gdybyśmy podobne sygnały odkryli w skałach z dalekiej przeszłości, nie byłoby żadnej wątpliwości, że należy tam wyznaczyć granicę.

Praca Waszej grupy się zakończyła, teraz czekają nas formalne

głosowania nad uznaniem antropocenu za oficjalną epokę geologiczną.

Teraz kwestia formalnego włączenia antropocenu do geologicznej skali czasu trafiła do podkomisji stratygrafii czwartorzędu, do której należą od wielu lat. Podkomisja otrzymała opracowanie zawierające wszystkie nasze dowody, a teraz musi przedyskutować to, czy antropocen należy sformalizować. W podkomisji zasiadają ludzie, którzy nie mają doświadczenia w pracach nad antropocenem, więc to dla nich nowy i potencjalnie trudny, kontrowersyjny temat. Jeśli 60 proc. członków zgłasza, że sprawa trafi przed Międzynarodową Komisję Stratygrafii, która skupia naukowców zajmujących się jurą, kambrem i wszystkimi innymi okresami, więc ludzi jeszcze bardziej oddalonych od tematu. A na koniec termin musi zostać przyjęty w głosowaniu przez Międzynarodową Unię Nauk Geologicznych. Przed nami wielkie kroki, wielkie przeszkody i nie wiem, jak potoczy się proces. Przedstawiliśmy dowody tak jasno i tak szczerze, jak to możliwe. Ale to jak gra w kasynie. Nie jestem w stanie przewidzieć, jak to się skończy.

Czy w geologii często zdarza się taka ekscytacja?

Nie wiem, czy nazwałbym to ekscytacją. To raczej turbulencje. Sekret geologów jest to, że zajmujemy się tą nauką dla frajdy. Dla fascynacji, jaka wiąże się ze zrozumieniem życia w przeszłości. Dla czystej fizyczności gór czy wulkanów. Antropocen przedstawia sobą inną perspektywę, która może nie być komfortowa. Bez względu na to, jak potoczą się kwestie formalne, same prace nad nim pozostawiają jednak po sobie dziedzictwo. Nawiazaliśmy kontakty między ludźmi z różnych dyscyplin. Rozmawialiśmy z historykami, filozofami i innymi badaczami, którzy wnosili swoje własne punkty widzenia. Te kontakty, nawiązane między naukowcami różnych dyscyplin, są niezwykle. To właśnie będzie trwałe dziedzictwo antropocenu: tworzy turbulencje i pobudza kreatywność.

© Rozmawiał WOJCIECH BRZEZIŃSKI

PRAWO DO KULTURY

JEANINE MEERAPFEL, przewodnicząca

European Alliance of Academies: Jeśli odpowiednio zadbamy o artystów, dając im swobodę działania i wsparcie finansowe, oni zadbają o to, żeby otworzyć serca i umysły innych ludzi.

MICHAŁ SOWIŃSKI: O jakie wartości upomina się European Alliance of Academies?

JEANINE MEERAPFEL:

O wolność. To w sztuce kwestia fundamentalna, bez niej nasza egzystencja jest zagrożona. Dlatego właśnie powstał European Alliance of Academies, wspólnota ponad 70 organizacji i instytucji – chcemy bronić niezależności instytucji kultury, jak i pozycji samych artystów wszędzie tam, gdzie jest ona zagrożona, gdzie społeczności artystów poddawane są naciskom i represjom. To podstawa każdego otwartego i liberalnego społeczeństwa – nie tyle jego efekt czy przejaw, ale właśnie jeden z budulców, bez którego nie mogłoby powstać i funkcjonować. Bez wolnej sztuki, bez kulturowej różnorodności nie ma demokracji. Prawo do swobodnej ekspresji i artystycznego rozwoju to część podstawowych praw człowieka. Jednocześnie sprzeciwiamy się wszelkim formom rasizmu, dyskryminacji i nastawiania na wolność innego człowieka. Staramy się pomagać wszystkim – także tym, którzy nie urodzili się w Europie, ale przybyli do nas w poszukiwaniu bezpieczeństwa i lepszego życia.

Organizowana przez Was 22 września w Krakowie konferencja nosi tytuł „Prawo do kultury i wolność jej twórców”. Czym są prawa kulturowe?

JM: To m.in. prawo do posiadania własnych opinii – do wyrażania ich na piśmie, na deskach teatru, w tańcu i w każdy inny artystyczny sposób. Politycy mogą je naruszać na różne sposoby, np. wycofując finansowanie dla poszczególnych instytucji czy twórców tylko dlatego, że nie zgadzają się z ich poglądami czy opiniami. To niszczenie wolności słowa.

DOMINIKA KASPROWICZ:

Wolność w przestrzeni kultury to temat absolutnie podstawowy, zarówno w znaczeniu aksjologicznym, legistycznym, jak i zupełnie praktycznym. Wolność praktyk artystycznych, o których wspominała Jeanine, to jedno, ale równie ważna jest wolność odbiorców w korzystaniu z dóbr kultury. Równe prawo dostępu do kultury jest częścią porządku prawnego państw europejskich, gwarantuje je także polska konstytucja. W tym zakresie potrzebne są gruntowne i systemowe zmiany, tak aby prawo do kultury oznaczało możliwość swobodnego korzystania i rozwijania się we własnym habitacie kulturowym. Niestety, wydaje mi się, że takiej przestrzeni w instytucjach kultury jest coraz mniej.

Problemem jest dostępność środków publicznych?

DK: Zwiększenie nakładów na kulturę w Polsce jest absolutnie konieczne, i to natychmiast. Bez tego edukacja kulturalna, czy raczej socjalizacja do udziału w kulturze, z którą

mamy olbrzymi problem, z pewnością nie będzie możliwa.

Na czym miałyby ona polegać?

DK: Dziś sprowadza się do okazjonalnych wydarzeń, jak np. wycieczki szkolne do muzeów, teatrów czy udział w pojedynczych projektach. A to zdecydowanie za mało. Po pierwsze, tego typu działania powinny być adresowane możliwie szeroko do wszystkich grup wiekowych i społecznych. Po drugie, priorytetem powinno być to, aby ludzie w kontakcie z twórcami kultury i sztuki czuli się możliwie swobodnie – na tyle, żeby tę sztukę przenieść swobodnie absorbować, interpretować i czynić naturalnym elementem swojego życia. W ramach naszych skromnych możliwości od lat przeprowadzamy tego typu eksperymentalne zajęcia edukacyjne. Na przykładzie Willi Decjusza w Krakowie i otaczającego ją parku staramy się pokazać na nowo, czym był renesans. I nie chodzi tylko o przekazanie wiedzy podręcznikowej, ale również o stworzenie fizycznie lepszego dostępu do konkretnych dzieł sztuki czy przestrzeni architektonicznych. Takie nietrywialne oswojenie z nieco onieśmiałającym na pierwszy rzut oka dziedzictwem kulturowym daje nieporównywalnie lepsze efekty niż klasyczna, nakazowo-podawcza forma obcowania ze sztuką.

Dlaczego Willa Decjusza postanowiła zostać gospodarzem tej konferencji?

DK: Zobowiązuje nas historia miejsca. Willa w przeszłości służyła jako miejsce nieoczywistych spotkań, podczas których ludzie o różnych światopoglądach

i pomysłach artystycznych nie tylko ze sobą rozmawiali, ale również próbowali wypracować kompromisy. Już w XVI wieku Justus Decjusz zapraszał tu ważne postaci swojej epoki, aby dyskutować o kluczowych dla państwa Jagiellonów kwestiach. Z kolei w XIX wieku pałac należał do księżnej Marceliny Czarторыńskiej, która dbała o podtrzymywanie i rozwijanie najcenniejszych elementów polskiej kultury, bo zdawała sobie sprawę, jak ogromną rolę odgrywa ona w kontekście innych działań politycznych i społecznych. Cieszę się, że możemy kontynuować tę tradycję – organizacji spotkań i aktywnego udziału w międzynarodowej debacie publicznej.

W ciągu ostatnich 8 lat wiele osób w Polsce chyba straciło wiarę w sens tej debaty, szczególnie w kontekście polityki kulturalnej.

DK: Ani ja, ani ludzie, z którymi na co dzień współpracuję w przestrzeni kultury, z pewnością tej wiary nie straciliśmy. Nasza konferencja, która odbywa się na miesiąc przed niezwykle ważnymi wyborami parlamentarnymi, to m.in. przypomnienie dla polityków, że pole kultury ma olbrzymie znaczenie społeczne. Kampania wyborcza to moment, kiedy można przekrojowo przyjrzeć się pomysłom na kulturę, jakie prezentują najważniejsze opcje polityczne. Niestety, z niepokojem obserwujemy, że mało kto wychodzi poza zestaw frazesów i ogólników.

Dziś mierzymy się z nowymi zagrożeniami dla wolności sztuki?

JM: Mechanizmy represji w swojej istocie są te same, co zawsze – chodzi o uciskanie

Dominika Kasprowicz, dyrektorka Stowarzyszenia Willi Decjusza:

Równe prawo dostępu do kultury jest częścią porządku prawnego państw europejskich, gwarantuje je także polska konstytucja. W tym zakresie potrzebne są gruntowne i systemowe zmiany.



PAWEŁ MAZUR / INSTYTUT KULTURY WILLI DECJUSZA

DOMINKA KASPROWICZ,

politolożka, prof. UJ,
dyrektorka Instytutu Kultury
Willi Decjusza.

i wsparcie finansowe – oni zadają o to, żeby otworzyć serca i umysły innych ludzi.

DK: Każdy z nas ma wpływ na to, jak taki model mógłby wyglądać, choćby poprzez udział w wyborach. Musimy jednak wywierać większą presję na polityków, aby kwestie kultury zaczęli traktować poważniej, choćby poprzez zamieszczanie w swoich programach konkretnych propozycji działania, z których my, obywatele, będziemy ich mogli potem rozliczać. A model funkcjonowania kultury, do którego należałoby dążyć, powinien zapewniać polifoniczność podmiotów – od instytucji działających na mocy ustaw, przez oddolne ruchy społeczne, w tym także indywidualne inicjatywy, aż po wymianę międzynarodową. W tak ustrukturyzowanym polu, oczywiście przy odpowiednim finansowaniu, moglibyśmy osiągnąć ciekawe efekty, unikając zabójczego dla wszelkiej kreatywności klientelizmu, uzależnienia finansowego czy autocensury.

**Wolność w polskiej kulturze
jest zagrożona?**

JM: Podobnie jak większość pozostałych członków European Alliance of Academies czytałam niepokojące doniesienia o naruszeniach standardów. Do Krakowa przyjeżdżamy, aby na miejscu porozmawiać z przedstawicielami świata sztuki i nawiązać nowe kontakty.

DK: Wiele z tych problemów, o których będziemy rozmawiać podczas konferencji, ma charakter globalny, dlatego też będziemy gościć w Krakowie przedstawicieli aż 7 państw. Ogromnie mnie cieszy, że nasze zaproszenie przyjęła Alexandra Xanthaki, specjalna wysłanniczka Komisarza Narodów Zjednoczonych do spraw kultury.

JM: Polska w swojej historii doświadczyła wielu kryzysów, w obliczu których zawsze wykazywała się niezwykłą siłą i odwagą. A przy okazji rodziła się tu wielu artystów i wspaniała sztuka. W walce o wolność Polacy zawsze byli w światowej awangardzie, dlatego tym bardziej chcemy pokazać solidarność – niezwykle ważne pojęcie dla polskiej kultury – z artystami, którzy z powodów politycznych znaleźli się



MARCUS LIEBERENZ / MATERIAŁY PRASOWE INSTYTUT KULTURY WILLI DECJUSZA

JEANINE MEERAPFEL

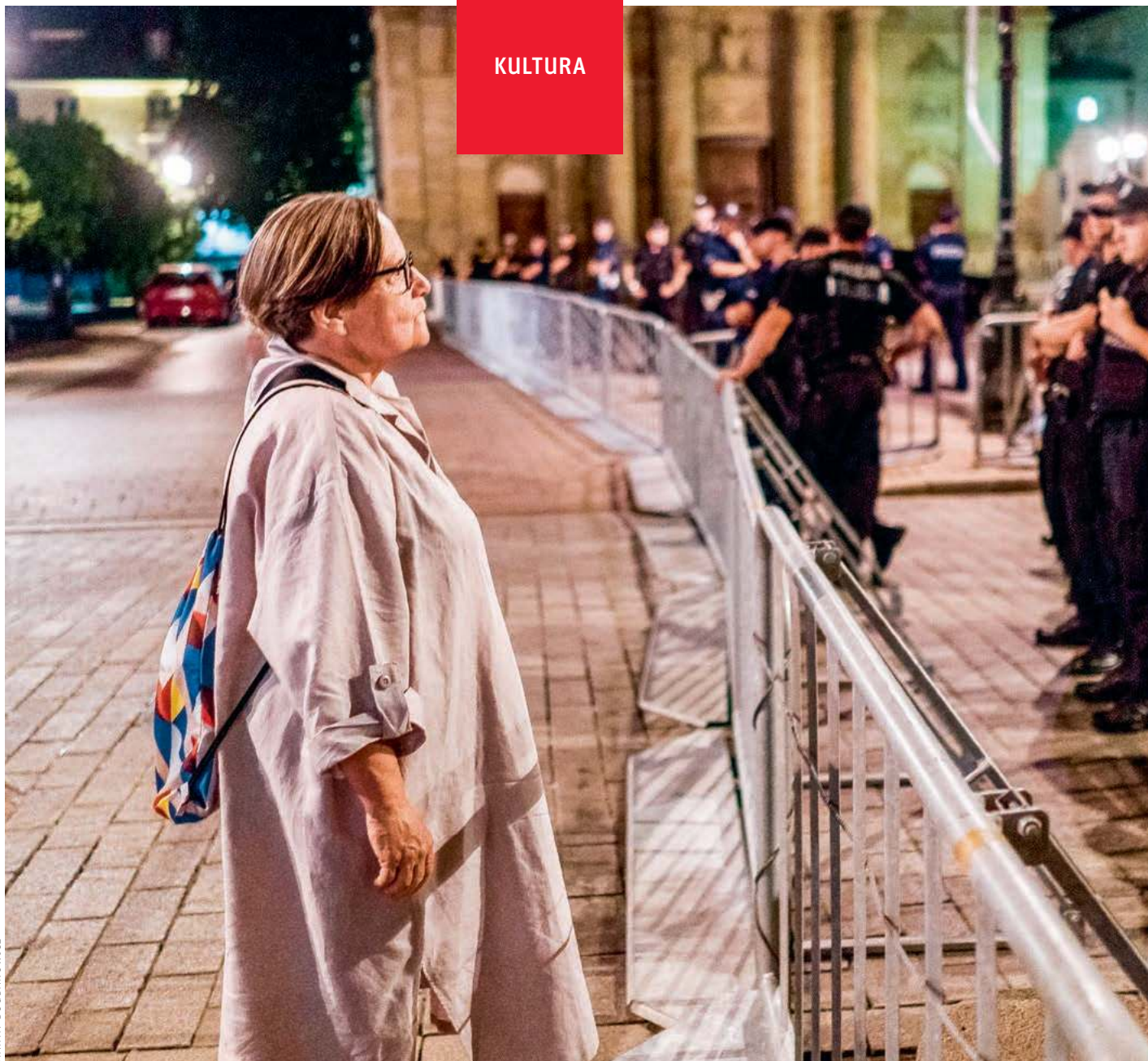
– niemiecko-argentyńska
reżyserka, Rektorka Akademii
der Künste i inicjatorka
utworzenia European Alliance
of Academies.

w trudnym położeniu. Ta postawa jest siłą napędową naszej organizacji.

© Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI

W piątek 22 września w Willi Decjusza w Krakowie odbędzie się międzynarodowa debata „Prawo do kultury i wolności jej twórców” zainicjowana przez European Alliance of Academies i Akademie der Künste z udziałem twórców i przedstawicieli instytucji kultury z Polski i Europy. O prawie do kultury jako prawie każdego człowieka, o instytucjach kultury jako ostożkach wolności artystycznej, o zmieniającym się modelu polityki kulturalnej w Polsce i wielu innych kwestiach będą przy wspólnym stole rozmawiać m.in. Jan Tomasz Adamus, Witold Beres, Ferenc Czinki, Krzysztof Gluchowski, Wolfgang Kaleck, Dominika Kasprowicz, Valerio Rocco Lozano, Jeanine Meerapfel, Robert Piaskowski, Aleš Šteger, Bartosz Szydłowski, Cécile Wajsbrot i Natalia Zarzecka. Spotkanie zainauguruje przemówienie Alexandry Xanthaki, specjalnej wysłanniczki ONZ ds. kultury. Debata będzie transmitowana online na kanale YouTube Willi Decjusza.

Więcej informacji
www.willadecjusza.pl



MARTA BOGDANOWICZ

Agnieszka Holland przed policyjnymi barierkami w kolejną miesięcznicę katastrofy smoleńskiej, Warszawa, 10 sierpnia 2017 r.

OBYWATELKA REŻYSERKA

„Zielona granica” wyrasta z całej biografii Agnieszki Holland – z długoletniej postawy, jaką konsekwentnie zajmowała wobec polskiej wspólnoty.

JAKUB MAJMUREK



AGNIESZKA HOLLAND STWORZYŁA film-interwencję „Zielona granica” to gorący głos w debacie na temat kryzysu migracyjnego na granicach nie tylko Polski, ale także całej Unii Europejskiej. Trudno w kinie III RP o drugi przypadek fabuły, która tak błyskawicznie reagowałaby na wydarzenia dziejące się tu i teraz. Jedyne porównanie, jakie wydaje się adekwatne, to „Człowiek z żelaza” – premierę filmu w Cannes w 1981 r. (zdobył tam Złotą Palmę) dzieli od porozumień sierpniowych zaledwie osiem miesięcy.

Film Andrzeja Wajdy był jednak odpowiedzią na narodowe zamówienie, filmem-plakatem triumfującego ruchu społecznego – film Agnieszki Holland pokazuje tymczasem prawdę o tym, co dzieje się u naszych granic; prawdę, której nikt, poza niewielkimi grupkami aktywistów i dziennikarzy, nie chce specjalnie dziś w Polsce widzieć.

Błędem byłoby jednak interpretowanie „Zielonej granicy” wyłącznie w bieżącym, doraźnym kontekście. Wracają tu najbardziej charakterystyczne dla kina Holland motywy: moralnej odpowiedzialności jednostki, niemożliwej do zrealizowania „pokusy dobra”, siły konformizmu, wreszcie jednostki pochwycionej w horror tyleż przerażającej, co absurdalnej wielkiej historii.

Między Pragę a moralnym niepokojem

Reżyserka zaczyna swoją drogę twórczą jako w kontekście kina moralnego niepokoju. Nurt ten powstaje w drugiej połowie lat 70., w realistycznej poetyce pokazując moralne dylematy bohaterów próbujących odnaleźć sobie miejsce w gierkowskiej Polsce: z jej konformizmem, rozbudzonymi konsumpcyjnymi aspiracjami i szarą rzeczywistością, rozdzwiekiem między oficjalną propagandą sukcesu a codziennym życiem, z aksjologiczną pustką.

Kino to tworzyli młodzi twórcy, urodzeni w latach 40. Ich pierwszym świadomie przeżytym politycznym wydarzeniem często był grudzień 1970 r., pozbawiający złudzeń co do możliwości naprawy systemu PRL.

Holland jest w tej grupie postacią wyjątkową. Po pierwsze jako kobieta w zdominowanym przez mężczyzn zawodzie reżyserskim, po drugie ze względu na swoją biografię. Reżyserka nie kończy łódzkiej filmówki, tylko praską FAMU. Wielkim, formacyjnym rozczarowaniem nie jest dla niej polski grudzień 1970 r., tylko klęska praskiej wiosny 1968 r. Obserwuje z bliska wybuch wolności w okresie czechosłowackiego eksperymentu z budową „sojalizmu z ludzką twarzą”, interwencję wojsk Układu Warszawskiego i następującą po niej „normalizację”. Widzi, jak łatwo wielki entuzjazm rewolucyjnego karnewału ustępuje miejsca konformistycznemu przystosowaniu – ta lekcja okaże się fundamentalna dla twórczości Holland,

w której ciągle powracają tematy zła i łatwości, z jaką ludzie konformistycznie się z nim godzą.

Ona sama trafia na początku 1970 r. do praskiego aresztu pod zarzutem drukowania biuletynu poza cenzurą – reżyserka i jej mąż Laco Adamik pomogli odbić na powielaczu przebywającym w Pradze współpracownikom paryskiej „Kultury”, Marii Tworowskiej i Maciejowi Kozłowskiemu, biuletyn z fragmentami poświęconymi takim problemom jak prawa obywatelskie czy wolność słowa. Druk przez słowackie Tatry miał trafić do Krakowa. Ostatecznie Holland pozwolono odpowiadać z wolnej stopy, otrzymała karę w zawieszeniu.

Po powrocie do Polski znajduje zatrudnienie w Zespole Filmowym X kierowanym przez Andrzeja Wajdę. To właśnie zespół Wajdy stanie się jednym z głównych ośrodków kina moralnego niepokoju, miejscem, gdzie młodzi twórcy będą krytycznie przyglądać się gierkowskiej rzeczywistości.

Holland zostaje poniekąd „prawą ręką” Wajdy w zespole. Reżyser jest pod wielkim wrażeniem jej talentu i charakteru. Jak w swojej „Historii kina polskiego” pisze Tadeusz Lubelski, tworząc postać Agnieszki w „Człowieku z marmuru” twórcy inspirowali się takimi młodymi filmowcami jak „zafascynowany figurami przodowników pracy Wojciech Wiszniewski czy bezkompromisowo dążąca do swych artystycznych celów Agnieszka Holland”.

Reżyserka „Zielonej granicy” miała być zresztą asystentką Wajdy przy tym filmie. Stanowcze weto postawiły jednak władze kinematografii. Holland przez całe lata 70., zanim jeszcze w pełni wypowiedziała się jako artystka, była przez nie źle widziana i blokowana. Być może nieufność władzy powodowała praska historia reżyserki, być może postać jej ojca, Henryka Hollanda – intelektualisty zaangażowanego po wojnie w komunizm, potem popierającego październikowe przemiany, krytykującego konserwatywne tendencje w PZPR po 1956 r. W 1961 r. Henryk Holland przekazał warszawskiemu korespondentowi „Le Monde” informacje na temat przemówienia Chruszczowa na XXII zjeździe KZPR, gdzie przywódca ZSRR mówił o okolicznościach śmierci Stalina i likwidacji Berii. Postawiono mu zarzut szpiegostwa, zginął →

→ w trakcie rewizji w swoim mieszkaniu w podejrzanych okolicznościach – być może samobójczą śmiercią, wyskakując przez okno.

Wajda miał wynegocjować z władzami porozumienie: on nie zatrudni Holland jako asystentki przy „Człowieku z marmuru”, góra przestanie blokować jej projekty. Reżyserka debiutuje ostatecznie samodzielnym filmem pełnometrażowym, „Aktorami prowincjonalnymi”, pod koniec dekady Gierka – film ma premierę w lecie 1979 r. Historycy filmu i krytycy pisząc dziś o „Aktorach” często zwracają uwagę na to, jak złożone i dojrzałe na tle pozostałych produkcji kina moralnego niepokoju jest podejście debutantki do problemu zła, przystosowania i zakłamania epoki.

Z jednej strony widzimy w „Aktorach” głęboko konformistyczne, rozbite środowisko artystyczne, złożone z jednostek gonionych za różnymi małymi, prywatnymi interesami oraz niewiele lepsze od niego, biernie pogodzone z rzeczywistością społeczeństwo. Z drugiej strony jedyna osoba, która buntuje się przeciw cichej beznadziei i miernocie otoczenia, aktor Krzysztof grany przez Tadeusza Huka, sam tak naprawdę nie potrafi przeciwstawić żadnej konstruktywnej alternatywy, a być może jest po prostu pretensjonalnym kabotyńcem.

Holland nie rezygnując z moralnego odrzucenia rzeczywistości schyłkowego Gierka unika czarno-białych schematów, potrafi być równie krytyczna wobec „tamtej strony”, jak i tej, którą wspólnota odbiorcza, jaka wytworzyła się wokół kina moralnego niepokoju, skłonna była uznać za „własną”. Ta sama umiejętność do budowania niuansów, malowania w odcieniach szarości pojawia się w najlepszych momentach „Zielonej granicy” oraz filmach reżyserki z lat 80.

Druga strona karnawału

Holland zachowuje dystans do „karnawału Solidarności”, nie daje się porwać ogólnemu entuzjazmowi. „Dla mnie Solidarność nie była czymś jednoznacznym. Podpisanie porozumień sierpniowych było oczywiście podniecające i dawało nadzieję na przyszłość, ale potem przyszedł trudny czas, kiedy (...) ruch się rozwijał, ale widać było, że rozwija się z pominięciem ludzi skrzywdzonych, najbardziej potrzebujących” – mówiła Karolinie Pa-

„Mam wrażenie, że jeśli
w Polsce nie zrobię
pewnych rzeczy, nikt tego
za mnie nie zrobi”

– mówiła kiedyś Holland.

Realizując „Zieloną granicę”
**pokazała, że nie rzuca
słów na wiatr.**

sternak, autorce książki „Holland. Biografia od nowa” (2022).

Taką osobą jest bohaterka „Kobiety samotnej” (1981), Irena Misiak, niemłoda już listonoszka samotnie wychowująca dziecko w ciężkich pod względem materialnym warunkach. Irenę zawodzą wszyscy: partia i Solidarność, rodzina i koledzy z pracy, w końcu nowy partner, dla którego dopuszcza się kradzieży. Holland pokazuje, że mimo całego posierpniowego fermentu, przekształcania się układów władzy i eksplozji wolności, na samym „dole” społeczeństwa pozostają ludzie, dla których wielka i mniejsza polityka nic realnie nie zmienia.

Korzystając z otwarcia, jakie dla kina stwarza „karnawał Solidarności”, Holland kręci film wbrew jego duchowi. Odmawia zrealizowania dzieła na zamówienie strony solidarnościowej, zamiast tego podstawia posierpniowej Polsce obraz niej samej, w którym ta nie chce się rozpoznać. Po kolaudacji koledzy Holland, łącznie z Wajdą, byli zszokowani, nie mogli uwierzyć w to, co zobaczyli. „Byli zdania, że wymyśliłam sobie świat nieistniejący, zbyt drastyczny, że maluję czarną farbą na czarnym tle” – wspominała reżyserka w rozmowie z Karoliną Pasternak.

Jako profetyczny obraz fiaska solidarnościowej rewolucji postrzegany jest też poprzedzający „Kobietę samotną” film „Gorączka” (1980) – historia klęski rewolucji 1905 r., inspirowany także praskimi doświadczeniami reżyserki. Przedstawia on grupę bohaterów połączonych przez historię pewnej bomby. Zostaje ona skonstruowana jako narzędzie zamachu na rosyjskiego generała-gubernatora, ale ostatecznie w niczym nie szkodzi Rosjanom i w finale filmu zostaje bezpiecznie zdetonowana przez rosyjskich żołnierzy. Re-

wolucyjny entuzjazm ożywiający rewolucję 1905 r., praską wiosnę, a w dalszej recepcji filmu także Solidarność między sierpniem a stanem wojennym, okazuje się ostatecznie niewypałem.

Podążając za niezdolną sięgnąć celu bombą, kamera przedstawia jednocześnie głęboko krytyczny obraz społeczeństwa w rewolucyjnym momencie. Zdemaskowany zostaje zarówno cyniczny serwilizm dojrzałego pokolenia układającego się z Rosjanami, jak i mielizny rewolucyjnego entuzjazmu młodych, w realizacji swoich celów nieuznających żadnych kompromisów. Szczególnie tragiczną postacią jest młoda rewolucjonistka Kama: wykorzystana na wielu poziomach – od seksualnego po polityczny – przez zawodowego rewolucjonistę kończy w szpitalu dla psychicznie chorych.

Zarówno „Gorączka”, jak i „Kobieta samotna” upominają się o kobiece bohaterki w wielkiej narodowej narracji. Kama stanowi symbol zdradzonej i przebranej rewolucji. Los Ireny, której problemy zgodnie ignorują obie strony wielkiego sporu dzielącego Polskę po sierpniu, można odczytywać jako zapowiedź tego, jak z historii Solidarności znikają kobiety, a z solidarnościowej polityki ich problemy.

Homo sacer walczy o życie

W „Zielonej granicy” Holland też upomina się o bohaterów, o których nikt nie chce pamiętać, i kręci film wbrew społecznemu zamówieniu. Marginalizacja postaci z jej nowego filmu jest przy tym skrajna nawet na tle losów Ireny z „Kobiety samotnej”. Grupa uchodźców, która przez Turcję z Syrii i Afganistanu przybywa na Białoruś, trafia do piekła na polsko-białoruskiej granicy. Migranci są nieustannie przepychani raz w jedną, raz w drugą stronę przez polskie i białoruskie służby graniczne. Polscy pogranicznicy nie pozwalają im wejść na teren UE, białoruscy go opuścić. Zamknięci w upiornej, przerażającej, a przy tym groteskowej „ziemi niczyjej” migranci funkcjonują poza prawem i ochroną, jakie teoretycznie powinny obejmować nawet osoby nielegalnie przekraczające granicę, zwłaszcza jeśli ubiegają się na terenie Polski o ochronę międzynarodową.

Bohaterowie „Zielonej granicy” – rodzina z Syrii próbująca przedostać się przez Polskę do krewnego w Szwecji,

kobieta z Afganistanu, która ucieka do Polski przed rządami talibów, wierząc, że dostanie tu azyl ze względu na to, że jej brat pracował z polskim wojskiem – przypominają bohaterów poprzednich filmów Holland: Rosę Eckart z „Gorzkich zniw” (1985), Żydów ukrywanych w trakcie wojny przez Leopolda Sochę we lwowskich kanałach w „W ciemności” (2011), a zwłaszcza Sally’ego z „Europa Europa” (1990).

Wszystkie te postaci to Żydzi próbujący przetrwać Zagładę, ale też ludzie, którzy walczą o to, by zachować człowieczeństwo w środku historycznego horroru, który odmawia człowieczeństwa takim ludziom jak oni. Walczą o to, by nie zmienić się w „Homo sacer” – nagie, огоłocone, sprowadzone do biologii, funkcjonujące poza prawem życia, które można bezkarnie zabić, upokorzyć, zranić.

Sally z „Europa Europa”, bohater przypominający Piszczyka z „Zezowatego szczęścia” Munka, nieustannie zakłada maski niezbędne, by przeżyć jako młody Żyd w Europie Wschodniej wrzuconej między nazistowską III Rzeszę a stalinowski Związek Radziecki. W sowieckim Grodnie zostaje wzorowym, gorliwym komsomolcem, po wejściu na Białoruś Niemców ukrywa żydowskie pochodzenie i przyjmuje niemiecką tożsamość. Przyczynia się do pojmania syna Stalina i zostaje nawet niemieckim bohaterem wojennym, trafia do elitarniej szkoły dla Hitlerjugend.

Pokusa zła, pokusa dobra

Oglądając losy Sally’ego – film został oparty na wspomnieniach rzeczywistej postaci, Salomona Perela – zastanawiamy się, co stałoby się z bohaterem, gdyby nie obrezanie – cielesny znak jego żydowskiej tożsamości, wystawiający go na ciągłe ryzyko zdemaskowania i pewnej śmierci ze strony nazistowskiego społeczeństwa, w którym tak skutecznie się ukrył. Czy gdyby posiadał napletek, Perel zrósłby się z własną maską? Przyjął tożsamość odmawiającą ludziom takim jak on człowieczeństwa?

Holland nieustannie stawia podobne pytania swoim bohaterom. Przedstawia ich w niejednoznacznych, złożonych moralnie sytuacjach, gdy stają z jednej strony przed pokusą konformistycznego dostosowania się, pogodzenia się i akceptacji zła, a z drugiej przed „pokusą dobra”.



Agnieszka Holland na planie filmu „Aktorzy prowincjonalni”, 1977 r.

O „pokusie dobra” interpretatorzy twórczości reżyserki pisali najczęściej w kontekście „Zabić księdza” (1988), filmu inspirowanego zabójstwem ks. Jerzego Popiełuszki. Holland opowiada historię z punktu widzenia oprawcy, esbeka Stefana. Tenże Stefan prowadząc operacyjne rozpoznanie księdza Alka, jednocześnie coraz bardziej ulega sile jego radykalnego etycznego przesłania, na które nie może jednak odpowiedzieć, nie kwestionując jednocześnie całego swojego życia, całej tożsamości. Zabójstwo księdza jest też w jakimś sensie zabiciem w sobie „pokusy dobra”, przejścia na „drugą stronę”.

W „Zielonej granicy” także mamy całą galerię postaci, które mierzą się z „pokusą dobra” i impulsem, by się konformistycznie podporządkować, nie wychylać się. Mamy tu psycholożkę, która odizolowała się od świata na skraju puszczy, ale radykalizuje się, gdy widzi, co dzieje się z migrantami na granicy. Mamy strażnika granicznego, który przeżywa coraz większe wątpliwości na temat tego, co przełożeni każą robić mu na granicy. Mamy prostych, pomagających na miarę swoich możliwości ludzi. Ale są tu też osoby, które odmawiają pomocy, gdy dowiadują się, że chodzi o uchodźców, policjanci i pogranicznicy wykorzystujący kryzys na granicy do tego, by dać ujście swoim sadystycznym skłonnościom albo zapunktować u przełożonych, zachowując się z wyjątkowo gorliwą niegodziwością.

Tak jak w swoich filmach z okresu kina moralnego niepokoju, Holland najpierw rysuje jasne granice, dzielące bohaterów na „naszych” i „onych”, a potem podaje je w wątpliwość, pokazuje, że to wszystko nie jest wcale takie proste.

„Mam wrażenie, że jeśli w Polsce nie zrobię pewnych rzeczy, nikt tego za mnie nie zrobi” – mówiła Holland w „Biografii od nowa”. Realizując „Zieloną granicę” pokazała, że nie rzuca słów na wiatr. Podjęła temat, którego nikt nie chciał podejmować: przecież także opozycja w sprawie tego, co dzieje się na granicy, dość szybko w zasadzie pogodziła się z polityką PiS i uznała, że nie jest politycznie rozsądne zbyt głośno pytać o jej humanitarne koszty, bo to nie przysparza głosów.

Jednocześnie ten film nie jest prostym manifestem przeciw obecnej władzy – choć nietrudno oglądając go zgadnąć, że reżyserka nie darzy jej ciepłymi uczuciami. To faktycznie dzieło, którego nikt za Holland nie mógł zrobić, a przynajmniej nie w tej formie. Nie z braku odwagi czy środków, ale ze względu na specyficzną etyczną i artystyczną wrażliwość, jaka łączy cały dorobek reżyserki na przestrzeni prawie pół wieku jej pracy twórczej. „Zielona granica” organicznie z niej wypływa, bieżący temat i interwencyjna intencja łączą się tu z tym, co w kinie Holland najbardziej stanowiło o charakterze jej filmowego pisma.

© JAKUB MAJMUREK

Ludzie w lesie

ANITA PIOTROWSKA

Agnieszkę Holland bardziej interesuje zjawisko hipotermii, tej dosłownej i tej metaforycznej, nazywanej znieczulicą, aniżeli hipokryzja polskich władz w temacie imigracji.

TRUDNO MÓWIĆ O „ZIELONEJ GRANICY” Agnieszki Holland nie okopując się na politycznym stanowisku. Dzisiaj polityką jest wszystko, a już na pewno to, co dzieje się od dwóch lat w rozdartej drutem kolczastym Puszczy Białowiejskiej. Domorośli krytycy niewidzianego filmu wylewają w sieci nienawistne komentarze, pracujące dla nich farmy trolli zaniżają oceny na portalach filmowych, niektóre kina autocenzurują swój repertuar. Z pewnością można teraz liczyć na wyrosły z polskiej przekory „efekt »Kleru«”, czyli zwiększoną oglądalność, ale czy także na zwiększoną refleksyjność?

Bez wątpienia jedna myśl narzuca się podczas seansu tego filmu: przy całej jego polityczności, w dużej mierze wtórnej, nie mamy do czynienia wyłącznie z publicystyką. I nie za nią, w przeciwieństwie do takiego na przykład „Człowieka z żelaza” (1981), film Holland otrzymuje dziś nagrody i owacje na całym świecie. Powstało wszak bardzo dobre kino, przemawiające uniwersalnym językiem – kino spod znaku interwencji humanitarnej, chwytanej na gorąco Historii i zbiorowej terapii szokowej. Pod warunkiem, że ktoś będzie miał odwagę się jej poddać.

Wprost, po kolei i dosadnie

Tytuł tego tekstu nawiązuje do animacji Szymona Ruczyńskiego „W lesie są ludzie”. Niespełna dziesięć minut i prosta dziecięca kreska wystarczyły młodemu autorowi, by dotknąć dramatu rozgrywa-

jącego się nie tak dawno pod Białowieżą. Teraz scenariusz Holland, Macieja Pisuka i Gabrieli Łazarkiewicz-Sieczko wypełnia tamte umowne ramy: zagęszcza udokumentowane wcześniej zdarzenia, rozdziela punkty widzenia, odmalowuje atmosferę stanu wyjątkowego przy białoruskiej granicy. Daje też uciekinierom, aktywistom i pogranicznikom konkretne twarze czy historie oraz wyjątkowo nieproste dylematy.

Chociaż powściągliwe, niby-dokumentalne zdjęcia Tomasza Naumiuka są czarno-białe, niewiele w „Zielonej granicy” zerojedynkowych oczywistości. Z pewnością bezdyskusyjna jest gehenna imigrantów – wypędzanych ze swych domów przez nędzę, wojny i prześladowania, zazwyczaj mocno strauumatyzowanych, oszukanych przez reżym Łukaszenki. Na dodatek widzimy, jak ograbiają ich przemytnicy, jak spychani są przez obie straże graniczne w tę i z powrotem, skazani na walkę o przetrwanie. Już gdzieś o tym czytaliśmy? Nie szkodzi. Czasami trzeba pokazać wszystko wprost, po kolei i dosadnie, ażeby wyrwać widza z mniej lub bardziej abstrakcyjnych wyobrażeń. Tak właśnie robi w swoim filmie Holland.

A co z beczeszczonym ponoć honorem polskiego munduru? Otóż wśród sportretowanych na ekranie rodzimych pograniczników znajdziemy nie tylko ztwardziałyłch służbistów („u nas trupów ma nie być” – słyszymy z ust przełożonego), knajackich rasistów czy zwyczajnych sadystów. Jeden z głównych bohaterów, Janek, grany przez Tomasza Włoska, okazuje się postacią wielce skomplikowaną, wymykającą się dzisiejszym schematom, wziętą nieomal z kina moralnego niepokoju.

Po stronie działaczy z organizacji pozarządowej próżno szukać samych pięk-



AGATA KUBIS / MATERIAŁY PRASOWE2

noduchów. To ludzie bardzo różni, zdeteminowani, często zdesperowani, czasem impulsywni, irytujący, nieprzebiegający w słowach. A pomaganie to przede wszystkim żelazna logistyka i pragmatyka. Tego musi się uczyć napływowa psychoterapeutka (Maja Ostaszewska), albowiem sam szlachetny idealizm może równie dobrze zaszkodzić sprawie.

Hipotermia i hipokryzja

Owej naiwności nie mają w sobie twórcy filmu. Dobrze wiedzą, na czym polega monitorowana z Kremla operacja hybrydowa albo nagminne łamanie przez polskie władze unijnych procedur azylowych, jednakże najważniejsze jest dawanie świadectwa – tułaczce imigrantów, fatalnemu ich traktowaniu, polskiej bezsilności i aktywności pomimo wszystkiego. Temu również służy kino, szczególnie uprawiane przez Agnieszkę Holland od prawie półwiecza, w różnych krajach i ustrojach. Jest głosem humanistki, którą w tym przypadku zdecydowanie bardziej interesuje zjawisko hipotermii, tej dosłownej i tej metaforycznej, nazywanej znieczulicą, aniżeli hipokryzja polskich władz w temacie imigracji.

Film, który z wiadomych względów nie zabiegał o dofinansowanie z PISF-u, powstawał w poczuciu misji i czasem to daje się we znaki. Bywa, że padają o dwa zdania za dużo, czasami za mocno docięnięte są emocje, niektóre zaś sceny mogą wyglądać wręcz życzeniowo. Owa nad-

**RADIO
KRAKÓW**

Co środę o godz. 14.30
na antenie Radia Kraków
gospodzą dziennikarze

„Tygodnika Powszechnego”.

Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM
Rabka Zdrój – 87,6 FM www.radiokrakow.pl



Kadry z filmu „Zielona granica”, po prawej Maja Ostasiewicz jako Julia, 2023 r.

miarowość czy nadgorliwość z łatwością jednak znajduje usprawiedliwienie – stanowi zdecydowaną reakcję na odczłowieczanie i powszechne zobojętnienie wobec losu tysięcy anonimowych uciekinierów z Globalnego Południa. Dlatego w dużej mierze od indywidualnej wrażliwości i nastawienia zależeć będzie, czy sceny przemocy bądź umierania w lesie odebrane będą jako próba emocjonalnego szantażu.

Choć surowy charakter opowieści zostaje raz po raz efektownie przełamany – jakimś powracającym symbolem (okulary afgańskiej uchodźczyny), szczyptą surrealizmu (afrykańscy nastolatki wie na bogato ugoszczeni przez Polaków) bądź nawet humorem (dialogi podawane przez międzynarodową obsadę na ogół nie szeleszczą pustymi deklaracjami), to przez dwie i pół godziny napięcie ani trochę nie spada. Również wtedy, gdy dominuje jeszcze ton czysto sprawozdawczy: jacyś ludzie przylecieli samolotem, utknęli w puszczy, padł im telefon, dziecko zmoczyło się, matce skończyło się mleko i dalej jest noc...

Złe paszporty

„Dalej jest noc” to tytuł znanej książki o losach ukrywających się Żydów. Przywołuję go tutaj nieprzypadkowo, wcześniej zresztą powołał się na nią Damian Kocur w swej krótkometrażówce o przewoźniku promowym, który po kryjomu przygarnia pod swój dach nielegalnego

imigranta. Ataki prawicowych polityków na reżyserkę znowu uruchomiły imaginariusz rodem z II wojny światowej (film jako przykład goebbelsowskiej propagandy, groźby ogolenia głowy rzekomej kolaborantce, demobilizujące potencjalną widownię hasło „tylko świny siedzą w kinie”).

Istniała pewnie obawa, że film przesadzi z innymi odniesieniami – do Zagłady właśnie. Rzeczywiście, są tu sceny odsyłające do ikonicznych obrazów z pamięci holokaustowej, niekoniecznie intencjonalnie. Oto wycieńczona syryjska rodzina spotyka w polu rolnika, ale przyjmując od niego wodę i jabłka, nie ma pewności, czy za chwilę dobry Polak nie złoży na nich donosu. Oto posiadająca „niedobry wygląd” psychoterapeutka, żeby uwierogodnić swą polskość, recytuje pogranicznikom ostentacyjne „Ojczyzna nasza”. Las, pole, mur z zasiekami, ujadające psy – ot, „taki pejzaż”, swojski i straszny jednocześnie. Nawet pierze ulatujące z puchowej kurtki rozerwanej przez drut kolczasty wygląda jakby znajomo.

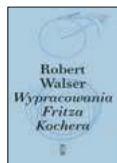
„Nieznosny ciężar skojarzeń” – nazwał niedawno tę polską obsesję politolog Piotr Forecki, bo zaiste trudno się od nich uwolnić. Na szczęście Holland tych analogii nie nadużywa; wiele z nich po prostu tkwi głęboko w naszych głowach, w kolektywnej nieświadomości. Działają silniej niż ironia ewangelicznych perswazji spod znaku „Jezus umarł w Polsce” i „gość w dom, Bóg w dom”.

Film o białoruskiej granicy jest niczym ta wirtualna pinezka, którą znajdujący się w potrzasku zaznaczają na mapie swoją obecność, kiedy usiłują wezwać ratunek. Ma namierzać niewidoczne cierpienie, bez względu na jego silnie upolityczniony charakter. Okazuje się, że taka pinezka potrafi być równie ostra, jak prawdziwa, toteż musi uwierać. Może dlatego, że prócz grozy doświadczanej przez uwięzionych w puszczy i szczegółowego rekonstruowania pushbacków, ten film odtwarza też nasz polski stan strachu. Bohaterstwo ma tutaj wysoką cenę i nie wszystkich stać na obywatelskie nieposłuszeństwo czy bezinteresowne gesty. Nie znajdziemy jednak wielkich uogólnień w rodzaju „Złi Polacy”. Widać to zwłaszcza w epilogu, zaznaczającym nasz ogromny wkład w pomoc uciekającym Ukraińcom.

„Zieloną granicę” nakręcono po to, by upomnieć się o tych innych, pozostawionych całkowicie bez pomocy. O posiadaczy „złego paszportu”, ciemniejszego odcienia skóry, wyznawców obcych religii. I jakkolwiek retoryka finału może być aż nazbyt ewidentna (bardziej wzrusza nas los ukraińskich psów i kotów niż skazanych na powolną śmierć „innych”), przecież także i zwierzęta, jak choćby podlaski łoś czy wilk, odegrały w tym bezkompromisowym filmie drobne, acz piękne epizody. Z pewnością nie jest to więc film dla myśliwych i skupia się nie tylko na tych, którzy w lesie polują na ludzi. ©

Lektor:

Debiut i pastisz



■ Robert Walser

WYPRACOWANIA FRITZA KOCHERA

Przekład Małgorzata Łukasiewicz,
posłowie Antoni Zając.

Państwowy Instytut Wydawniczy,
Warszawa 2023, ss. 160.

NIECZĘSTO SIĘ ZDARZA TAKA SYMBIOZA AUTORA I JEGO tłumacza. Pierwszą książkę Roberta Walsera po polsku – był to rok 1972 – zawdzięczamy Teresie Jętkiewicz, następnie jednak tłumaczyła Małgorzata Łukasiewicz, ona też wydała w 1990 r. jego monografię. Przypadek szwajcarskiego pisarza jest w ogóle szczególny: w pełni doceniony został po śmierci, a zmarł w 1956 r. i przez ostatnie dwie dekady życia, spędzone w zakładzie leczniczym w Herisau, nie pisał. Małgorzata Łukasiewicz pozostała mu wierna do dziś, choć przekonanie polskiego czytelnika do pisarza dotąd mu nieznanego i w dodatku dawno nieżyjącego łatwe nie jest.

Znakomita tłumaczka miała przecież co robić: przyswajała równocześnie polszczyźnie Hessego, Josepha Rotha oraz jego imienników Gerharda i Patricka, a także Frischa i Sebalda (tego ostatniego wszystkie książki!), korespondencję Celana z Ingeborg Bachmann, libretta Wagnera, dzieła Nietzschego, Simmla, Adorna, Horkheimera i Gadamera, bestsellerowe „Pachnidło” Süsskinda, ostatnio zaś prozę dwóch niezwyklej autorów: Uniki Zürn i Christine Lavant. A to oczywiście nie wszystko. Podziwu dla Małgorzaty Łukasiewicz, jej przekładów i esejów nigdy dosyć.

Wracając do wydanego teraz Walsera – to jest jego debiut książkowy z 1904 r. Dosyć przewrotny, bo część pierwsza składa się z rzekomych szkolnych wypracowań przedwcześnie zmarłego chłopca, potem dopiero, w cyklu obrazków portretujących komisantów (czyli urzędników niskiego szczebla, biurowych wyrobników i kopistów), oraz w tekstach „Malarz” i „Las” Walser występuje już bez maski. Część pierwsza to udane pastisze chłopięcych wprawek pisarskich. Antoni Zając nazywa to zabawą konwencją i komentuje: Walser „tematem debiutu czyni sam debiut – własny, choć inscenizowany jako cudzy”. Z kolei uwięzieni w ciasnych biurach komisanci, młodzi i nieśmiali mężczyźni z piórem i liczydłem w ręku, okazują się tematem nieopisanym i interesującym. „Prawdziwą przyjemnością było dla mnie wejść w jego [komisanta] mały, świeży, słabo przedeptany świat i znaleźć tam zakątki ledwie, jakby po kryjomu rozświetlone łagodnym słońcem”. To przewrotna apologia zwykłości. „Las” z kolei każe myśleć o walserskich przechadzkach i jego relacji z naturą. Poznajemy pisarza *in statu nascendi*. ©P



Supermoce Dawida

OLGA DRENDĄ

Jest wiarygodny jako artysta, bo zapracował na sukces własnym talentem, konsekwencją i pokorą. Wkrótce może czekać go trudny moment, z którym mierzą się wszyscy, którym tak bardzo się udało. Bo ile można wytrzymać na samym szczycie?

WYPRZEDAĆ CAŁY STADION – TO JESZCZE niedawno w polskim świecie muzycznym brzmiało jak niedosiężne marzenie. Na warszawskim PGE Narodowym taka sztuka przez pewien czas udawała się tylko zasłużonym gwiazdom międzynarodowej sceny: Beyoncé, Coldplay czy mogącej od lat liczyć na wyjątkowo oddane tłumy prawdziwych wyznawców grupie Depeche Mode.



MICHAŁ MURAWSKI / MATERIAŁY PRASOWE

Na Stadionie Narodowym w Warszawie, 26 sierpnia 2023 r.

Jak pobić rekord Polski

W ostatnich latach coś jednak się zmieniło i polska publiczność nie tylko chce słuchać rodzimych artystów (parafrazując znane hasło z lat 60., polska młodzież naprawdę chce słuchać polskich piosenek, nie trzeba jej do tego specjalnie zachęcać), ale też oglądać ich na żywo. Do tego jest gotowa za to doświadczenie zapłacić niemałe kwoty – nie mówiąc o dodatkowym wydatku emocjonalnym, towarzyszącym czuwaniu na stronie internetowej w nadziei na zdążenie z rezerwacją biletu.

Wiadomości dotychczas napływające z Londynu, Nowego Jorku czy Seulu o koncertach wyprzedanych w kilka minut stały się rzeczywistością i u nas. Niedawno błyskawicznie rozeszła się pula wejściówek na stadionowe występy romantycznej, poetyzującej sensacji pop Sanah (170 tys. biletów na Stadion Śląski w Chorzowie, PGE Stadion Narodowy oraz ERGO Arenę Gdańsk), a wkrótce później absolutny rekord pobił Dawid Podsiadło. W zaledwie kilka minut wyprzedził warszawski Narodowy – 80 tys. biletów. Tym samym stał się naj-

bardziej kasowym artystą w dziejach tego niemałego przecież obiektu. Sukces ten zdyskontował zapowiadając kolejne koncerty, w Chorzowie, Gdańsku i Poznaniu: również tam z powodu zainteresowania fanów szybko padły serwery.

Ci szczęściarze, którym udało się złapać miejsce na stadionie, w nagrodę za refleks otrzymali możliwość uczestnictwa w imponującym, multimedialnym i długim (ponad dwie i pół godziny) spektaklu. Na środku płyty stadionu stanęła wielka obrotowa scena z robiącym wrażenie oświetleniem, a na ekranach pojawiały się krótkie filmy – osobiste migawki z przeszłości, bo Podsiadło świętuje w tym roku podwójny jubileusz: trzydzieste urodziny oraz dziesięciolecie obecności na scenie. W powietrzu fruwały srebrne delfiny, sypało się konfetti. Do tego artyście towarzyszyli goście. Na dwie piosenki wpadła współrekordzistka Sanah, Artur Rojek – ojciec chrzestny współczesnego polskiego alternatywnego rocka – zaśpiewał w duecie z Podsiadłą „Długość dźwięku samotności” zespołu Myslovitz, utwór, który Dawid jako gimnazjalista wykonywał na amatorskim

wakacyjnym konkursie. Wreszcie pojawił się Taco Hemingway, od ich wspólnego koncertu z Podsiadłą na PGE Narodowym w 2019 r. rozpoczęła się inwazja polskiej muzyki na największe hale widowiskowe i stadiony.

W centrum wydarzenia pozostawał jednak główny bohater – ucinający sobie swobodne pogawędki z publicznością, ale nadal jakby odrobinę zakłopotany własną sławą, bezpretensjonalny „późny millenials”, a przede wszystkim jego muzyka.

Nie wiem, jak się czuję

Podsiadło jest dziś z pewnością królem polskiego pop-rocka, a do tego królem bardzo skromnym, co zaskakuje w czasach, w których gwiazdy biorą udział w wyścigu na widzialność, ekstrawagancję, pewność siebie. „Mam urok”, żartobliwie wyznał kiedyś w podkaście Wojewódzki/Kędzierski, ale źródło tego uroku jest specyficzne: zdumiewająca, mimo nieustannie rosnącej sławy, zysków i kontraktów reklamowych, odporność na tzw. sodowę.

Jest wiarygodny jako artysta, który zapracował sobie na sukces własnym talentem, konsekwencją i pokorą. Raczej mało-mówny, szybko wpadający w żartobliwe tony, wolny od pokusy prowokowania czy ostentacji, nieodmiennie sprawia wrażenie człowieka, którego trudno wyprowadzić z równowagi, a przede wszystkim – skupionego na muzyce.

W przerwach pomiędzy wypełnianiem hal gra akustyczne, „leśne” koncerty, a chwilę przed rekordowym występem na PGE Narodowym świętował dziesięciolecie pierwszego występu live nad Wisłą w Warszawie piosenkami z debiutanckiej płyty – nie mówiąc nic nikomu i zaskakując przechodniów. Incognito pojawił się również na tegorocznym OFF Festivalu jako jeden z muzyków specjalnie na tę okazję powołanej supergrupy Udary, z którą zagrał cały album nowojorskiego zespołu The Strokes, „Is This It”.

Od tej wydanej w roku 2001 płyty rozpoczął się fenomen zwany nową rockową rewolucją. Nonszalanca, proste nowofalowe rify, sceniczna energia, skórzane kurtki i wąskie spodnie, trochę punka, trochę bluesa – tak brzmiał początek XXI wieku. Franz Ferdinand, Arctic Monkeys, The Black Keys. W Polsce →



ANDRZEJ GRYGIEL / PAP

Na gali Fryderyków. Katowice, 9 marca 2019 r.

→ rozpromowała ją radiowa Trójka i wielkie festiwale, Open'er i OFF.

Wśród polskich zespołów, które eksperymentowały z garażowym brzmieniem, znaleźli się też Curly Heads, licealni kumple z Dąbrowy Górniczej. Dawid Podsiadło, wówczas uczeń szkoły muzycznej w klasie puzonu, objął rolę wokalisty. „Brzmia trochę jak skrzyżowanie The Strokes z The Doors”, chwaliła ich „Gazeta Wyborcza”, gdy dostali się na dużą scenę festiwalu w Jarocinie. Gdy jednak spróbowali swoich sił w telewizyjnym programie „Mam Talent”, jurorka Agnieszka Chylińska skreśliła zespół, proponując, by do dalszego etapu przeszedł jedynie Dawid.

Wybrał lojalność. Samodzielnie zgłosił się do „X-Factora”, gdzie zaprezentował się od bardziej lirycznej strony. W finale zwyciężył, śpiewając w duecie z Katie Melua. „Jeszcze nie wiem, jak się czuje zwycięzca X-Factora”, mówił zakłopotany przed kamerą, gdy zapytano go, „jak się czuje bogatszy o 100 tysięcy złotych”. Znowu dochował lojalności przyjaciółom:

z nagrody sfinansował remont sali prób dla Curly Heads.

Młody dorosły

Oprócz niemałego przelewu, zwycięzcy „X-Factora” przysługuje kontrakt na wydanie płyty w dużej wytwórni. To sądny moment dla wszystkich zwycięzców talent show: otrzymują często gotowiec dla wszystkich i dla nikogo, skrojony przez zawodowych songwriterów, do którego nie pasują i w efekcie tracą osobisty styl, za który pokochała ich widownia. Historii sensacyjnych debutantów, którzy przepadli przez próbę wpasowania się w cudzy repertuar, jest niestety bardzo wiele.

Szczęśliwie Dawid Podsiadło znalazł wspólny język z szarymi eminencjami polskiej muzyki: producentem Bogdanem Kondrackim (dawnym członkiem grupy Kobong, później odpowiedzialnym za brzmienie płyt Brodki i Ani Dąbrowskiej) oraz kompozytorką i autorką tekstów Karoliną Kozak (artystką avant-popową, kiedyś śpiewającą w grupie Dr No). Razem wypracowali melancholijne, ciepłe brzmienie zbliżone nieco do stylu brytyjskich grup Coldplay, Travis czy Snow Patrol, jedna z nielicznych na płycie „Comfort and Happiness” piosenek po polsku – „Trójkąty i kwadraty” – stała się wielkim przebojem, a płyta zapewniła Podsiadło sporo nagród, wierną publiczność i miejsce w składzie szalenię popularnej trasy Męskie Granie.

Potem poszło już z górką: kolejne koncerty, festiwale, drugi, znów diamentowy album „Annoyance and Disappointment”, również w większości po angielsku, przeboje „Pastempomat” i „W dobrą stronę”. W międzyczasie pojawiła się duża płyta z Curly Heads, bardziej garażowa, rockandrollowa niż solowe nagrania, kojarząca się trochę z The Kills czy Queens of the Stone Age. Do tego zapowiedzi wydawania za granicą i charakterystyczny wąsik.

U szczytu tego szaleństwa Podsiadło ogłosił urlop, z którego wrócił po ponad roku – już nie jako indie-rockowy marzyciel z głową w chmurach, lecz jako młody dorosły, trochę idealistyczny, a trochę rozzaczarowany, z nowym pakietem myśli i rozterek. Zdeklarowany „małomiasteczkowy”, choć Dąbrowę Górniczą (120 tys. mieszkańców) trudno mimo wszystko nazwać małą.

Największą zmianę oznajmił już na okładce: „To jest mój trzeci album zatytułowany Małomiasteczkowy i zawiera 10 piosenek, które napisałem i zaśpiewałem po polsku”. Płyta, wyprodukowana tym razem przez Bartosza Dziedzica (który współpracował m.in. z Arturem Rojkiem), przyniosła brzmienie bardziej popowe, choć nadal z wyraźnym alternatywnym rodowodem.

Przed wszystkim jednak artysta zaczął śmiało mówić we własnym imieniu – decyzja o śpiewaniu po polsku nie była przypadkiem, lecz elementem odświeżonego wizerunku. Dylematy wczesnej dorosłości, trudne decyzje, mocowanie się z emocjami, cienie sławy, tęsknota za bezpiecznym, spokojnym życiem – ale też więcej humoru, przekąsu. „Marudzę jak miastowa młodzież”, ironizował w „Najnowszym klipie”. „W kraju nad Wisłą każdy mówi mi na Ty, a moje nazwisko to czytany głośno szyld”, wyznawał w „Trofeach”, przyznając się, że marzy, by „na stary rower wsiąść, zamieszkać w kamienicy, nie myć rąk”. Znanie problemy, ale bezpretensjonalne wyśpiewane świeżo, zwyciężają polszczyznę porwały słuchaczy.

Podsiadło zdobył podwójną diamentową płytę, po czym ruszył w trasę – „Małomiasteczkową” (w największych miastach) i „Wielkomiejską” (w mniejszych). Z decyzją o wzięciu odpowiedzialności za teksty przyszedł też nowy rodzaj medialnej odwagi. Wcześniej zakłopotany i cichy Podsiadło odkrył w sobie żartownisia i gawędziarza. Z Radosławem Kotarskim z edukacyjnego kanału YouTube Polimaty uruchomił podcast o wszystkim i o niczym, w RMF FM prowadził autorską audycję „Małomiasteczkowy program”. Z testu trzeciej płyty, uznawanej często za najtrudniejsze wyzwanie dla artystów, wyszedł obronną ręką.

Dyskretne manifesty

Rekordowy koncert na Stadionie Narodowym był częścią trasy Postprodukcja Tour, promującej najnowszy album „Lata Dwudzieste”. Wyprodukowana przez Jakuba Galińskiego płyta to zwrot w kierunku elektronicznie nacechowanej muzyki pop – trochę tak, jakby Podsiadło postanowił podążyć drogą Katarzyny Nosowskiej (pojawiającej się zresztą gościnnie na płycie). Wydaje się też, że wziął sobie do serca swój status najpopularniejszego polskiego artysty, bo obok osobistych słów pojawiają się

dyskretne manifesty („Zabierz te Pottery, te tęczowe rowery, weź mi to wszystko spał” – ironizuje z ideowych zacietrzewień w singlowym „Poście”).

Choć bowiem Dawid Podsiadło nie jest typem z zasady zmierzającym na barykady, nie popada zarazem w rodzaj asekurancja, zgodnie z którym chcąc podobać się wszystkim, trzeba trzymać język za zębami; popierał Strajk Kobiet, zapowiedział apostazję, a przede wszystkim zachęca do udziału w wyborach. Jednocześnie na płycie zdarzały mu się też chwile gorzkiej autorefleksji: „Dejw, z małej mąki mały chleb, co nie?”, pytał w nostalgicznych „Tazosach”, a w elegijnym „Mori” zastanawiał się nad śmiercią. Niewątpliwie czeka go wkrótce trudny moment, z którym mierzą się wszyscy artyści, którym tak bardzo się udało: ile można wytrzymać na samym szczycie?

Powrót na stadiony

Dawid Podsiadło mówi nam przy okazji coś o dwóch fenomenach: jednym lokalnym, drugim globalnym. Po pierwsze – polska publiczność kocha przede wszystkim melodię. Nie produkcja, nie rytm, lecz refren, który można zanucić, to klucz do polskich uszu. Oczywiście, wielkim posłuchem u nas, jak wszędzie indziej, cieszy się scena rapowa, a światowe gwiazdy r&b sprzedają sporo biletów na koncerty – jednak najszerza publiczność od lat pragnie się wzruszać i świętować przy alternatywnie zabarwionym popie i rocku z łagodnie elektronicznymi aranżacjami.

To efekt długiego trwania dziedzictwa starej radiowej Trójki, kuratorskich działań Artura Rojka, a wreszcie wielu lat popularności trasy Męskie Granie, która pomogła ukształtować to kanoniczne brzmienie. Dawid Podsiadło, Daria Zawiałow, Krzysztof Zalewski, Ralph Kaminski,

Polska publiczność kocha przede wszystkim melodię. Nie produkcja, nie rytm, lecz refren, który można zanucić, to klucz do polskich uszu.

Publiczność pragnie się wzruszać przy alternatywnie zabarwionym popie i rocku z łagodnymi aranżacjami.

Vito Bambino, Kaśka Sochacka – wszyscy ci artyści nie tylko grywają razem, ale też brzmią odrobinę podobnie, bo wierny słuchacz chce, by było lirycznie, trochę rytmicznie, a przede wszystkim życiowo w tekście. Ta scena i skala jej popularności to niewątpliwie nasza krajowa specjalność – gdy prędzej czy później dojdzie do światowego renesansu rocka, będziemy na to przygotowani.

Drugi fenomen to wielki powrót stadionowych koncertów. Co takiego musiało się wydarzyć, by rozpieszczona obfitym festiwalowym menu publiczność nie tylko zapragnęła słuchać na żywo pojedynczych artystów, ale była gotowa wręcz bić się o ich bilety? To zjawisko w Polsce niewidziane chyba od czasów największych sukcesów zespołu Hey czy „pomarańczowych tras” Kultu.

Oczywiście polska publiczność nie unika koncertów i gromadzi się na nich tłumnie, jednak przez wiele lat dotyczyło to wydarzeń festiwalowych na wolnym powietrzu, gdy koncert stanowi część większej imprezy. Znaczenie mają wówczas również koszty: dotychczas odnotowane rekordowe tłumy zgromadziły się

właśnie na imprezach darmowych, czyli tradycyjnie na festiwalu Pol'and'Rock (w 2019 r. niemal milion osób słuchało tam na żywo Kazika i Kultu!), albo na legendarnej trasie Inwazja Mocy, organizowanej w latach 90. przez radio RMF FM. Tam na lotnisku w Pobiedzisku pod Krakowem 700-tysięczna publiczność przybyła na koncert niemieckich weteranów rocka z grupy Scorpions.

Co do pojedynczych koncertów byliśmy jednak zawsze wybredni i nawet największym gwiazdom trudno było zapełnić stadiony, chyba że mowa o grupach, które cieszyły się wyjątkowym, wieloletnim kultowym statusem, jak Metallica, Pearl Jam czy Depeche Mode. Teraz błyskawicznie wyprzedają się koncerty i gwiazd polskich, jak Dawida Podsiadło czy Sanah, jak i zagranicznych – wszak wielka bitwa o rezerwacje biletów na trasę Taylor Swift miała i swój polski epizod.

Ten fenomen idzie w parze z kurczącą się sprzedażą płyt, zarówno „na fizyku”, jak i w formacie cyfrowym. Ta spada z roku na rok i nawet cesarzowa rankingów, Taylor Swift, sprzedaje obecnie w Stanach Zjednoczonych mniej więcej „marny” milion (kilkanaście, a nawet jeszcze mniej niż dziesięć lat temu nakłady płyt były standardowo kilkakrotnie wyższe). Jednocześnie branża koncertowa ma się doskonale, powstaje nawet cała gałąź turystyki związana z podróżowaniem za idolami i transmitowaniem wypraw online. Wygląda więc na to, że Dawid Podsiadło wybrał najlepszą z możliwych opcji, decydując się na obrotową scenę pozwalającą na kontakt z publicznością z każdej strony stadionu: w czasach streamingu i smartfona zależy nam bardziej niż kiedykolwiek na prawdziwym, osobistym doświadczeniu muzyki na żywo.

© OLGA DRENDĄ

23 – 29.10.2023

MICROBRACJE

CONRAD FESTIVAL

15. Międzynarodowy Festiwal Literatury im. Josepha Conrada

organizatorzy

Kraków kbf: KRAKÓW

dofinansowanie

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

partnerzy strategiczni

allegro

conradfestival.pl

OLGA

Drenda: *Mebel marności*



ODCZUCIE VANITAS POTRAFI ZAATAKOWAĆ w chwili, gdy najmniej się tego spodziewamy. Dawni mistrzowie, by nie opuszczało ono współczesnych, ku przestrodze malowali dzieła, na których pucharom trunków, biżuterii damskiej i taliom kart towarzyszyły czaszki, kwiaty wędły, a dobra leżały rozsypane dookoła niczym w opuszczonym domostwie: wszystko po to, by nie zapomnieć, że wszystko marność, a w każdej chwili możemy spaść z konia lub przejeść się na śmierć minogami (co faktycznie zdarzyło się królowi Anglii Henrykowi I).

Współcześnie *vanitas* wkrada się w codzienne doświadczenie mniej spektakularnie, podczas czynności banalnych, np. zakupu małego mebla z drugiej ręki, za małe pieniądze. Mebel zakupiłam, kierując się pragmatycznymi pobudkami: musiał zmieścić się w kącie i przedstawiać sobą niewiele – chodziło o to, by nie przeszkadzał otaczającym go przedmiotom wyrazistym.

Wybrałam zatem mebel o minimalnej liczbie właściwości. To pozwalałoby sądzić, że skoro prezentuje się doskonale neutralnie, to jest również ponadczasowy. Tymczasem było w nim już skryte ziarenko przemijania. Niezupełnie da się przełożyć je na japońskie *mono no aware*, smutek wywołany ulotnością istnienia – w nim bowiem zawiera się jakiś element piękna, jak pożegnanie z urodą kwiatu. A mebel ten, cóż, zdecydowanie nie jest piękny. Nie jest również brzydki. On jest po prostu sprzed kilku

lat i nawet klasyczna, neutralna forma nie jest w stanie tego ukryć: przynależy do świata, który niepostrzeżenie minął.

Nie, żeby budził sentymentalne skojarzenia. Nie przypominam sobie nic specjalnie miłego z okolic 2014 r., nie jest to mebel, jaki kiedyś miałam czy widziałam u dawno niewidzianej przyjaciółki, ani taki, o którym niegdyś powszechnie marzono. Jeśli już z czymś mi się kojarzy, to z pozorowaniem elegancji niewielkim kosztem w internecie. Dlaczego zatem taki obiekt stał się mimowolnym posłańcem *vanitas*, jak ten pierwszy liść, który spadł z drzewa, jak pierwszy, jeszcze śladowy wczesnojesienny chłodek przy ziemi? Być może dlatego, że ktoś właśnie postanowił się go pozbyć, pragnąc po kilku latach przearanżować dom i wymienić meble na modniejsze (dziś można pozwolić sobie na takie luksusowe gesty). Za chwilę wszyscy zaczną oddawać je za darmo. A może dlatego, że po prostu to on przypadkiem przyczynił się do aktualizacji świadomości, że upłynęła prawie dekada. Nie wiedziałam, czy się na niego irytować, że mnie tak momentalnie postarzył w moim własnym umyśle, czy potraktować go jak małego, kanciastego Koheleta.

Żyjemy w czasach, w których łatwo podejmować próby oszukania przemijania. Krytycy muzyczni lubią powtarzać, że mamy od dwóch co najmniej dekad „długie lata osiemdziesiąte”, bo producentom nie mogą się znudzić syntezatorowe aranżacje. Nostalgia to niekończący się samograj dla fotografów i twórców kina. Dzięki modzie można przeżyć jeszcze raz trendy swojej wczesnej młodości, tylko lepiej, a do tego różne epoki czy nawet subkulturowe style mogą ze sobą współistnieć – co za rozpusta, żyć nie umierać, można byłoby pomyśleć. To jednak nie stało się, niestety, skutecznym zabiegiem przeciwstarzeniowym.

Niektórzy wierzą, że będą sprytni, wyposażając sobie dom czy restaurację w stylu retro, gdy więc minie parę lat, wystrój będzie wyglądać staro i tak. Retro to jednak rodzaj imitacji wiekowości dopasowanej do czasów bieżących. I tak zdradzą go kolory (różowy, a nie ceglasty), detale (okrągłe, a nie kanciaste nóżki), śliskość czy szorstkość tkaniny, gęstość pluszu. Być może nie ma nic smutniejszego niż przedmiot retro, który wychodzi z mody, bo znaczy to, że fortel się nie udał i do lamusa trzeba wybrać się drugi raz.

Jak na ironię, po nieoczekiwanym, a pouczającym spotkaniu z meblem nabrałam wobec niego zupełnie innych uczuć. Nabywałam go z zamiślem, by sobie funkcjonował na trzecim planie. Tymczasem niespodziewanie zaczęłam go nawet lubić, to niechciane biedactwo, które już nie jest popularne, a nawet neutralne, a jeszcze nie zarobiło sobie miana nostalgicznego. Zaledwie krok od piwnicy i strychu – co za niegodne pozazdrosczenia położenie. Meblu marności, zrobię z ciebie dobry użytek, obiecuję.

©

To jest, dla odmiany, prawdziwa melancholia.



OLGA DRENDA

PAWEŁ

Bravo: Rzeź niewiniątek



STARAM SIĘ NIE ULEGAĆ NAGŁÓWKOM, ŻE coś się definitywnie „kończy” albo „będzie jak nigdy dotąd”. Strzeżmy się nowych epok, to jest słownik sprzedawców termomiksów i odkurzaczy wodnych. Od paru miesięcy jednak, kiedy w oczekiwaniu, aż

placek w piecu dojdzie do złocistości, przeglądam serwisy nowości z branży spożywczej, wpadają mi w oko z rosnącą regularnością teksty o tym, że „pęka bańka” wegańskiego jedzenia, a ściślej wegańskich zamienników mięsa, tych nowszych, co umieją oszukiwać nasz mózg. To nasi dobrzy znajomi, istnieją na rynku niemal tyle samo, co ta rubryczka. Zaczynaliśmy pisać o nich jako obiecującej ciekawostce, a po paru latach stały się dostępne dość szeroko (przynajmniej w dużych miastach) w Polsce.

Żeby tradycji stało się zadość, liczby: nie sądzę, żebyście mieli aż takie problemy z nadmiarem gotówki, by inwestować na giełdzie Nasdaq, ale może ktoś z was kupował cztery lata temu akcje spółki Beyond Meat, jednego z dwóch światowych liderów w tym segmencie, po 200 dolarów. Współczuję: dziś chodzą po około dziesięć. Firma kolejny raz tnie prognozy sprzedaży i przychodów, zrzucając winę oczywiście na nie dość rozgarniętych konsumentów, którzy ulegają podszeptom lobbystów branży mięsnej. To niewykluczone, ale różne inne dane z rozwiniętych rynków pokazują spadek zainteresowania w ogóle zaawansowanymi wegańskimi produktami: niby-kielbaskami, niby-lodami itd.

W mniejszym stopniu dotyczy to napojów niby-mlecznych, zwłaszcza w Polsce ta część rynku trzyma się dość mocno, ludzi mających problemy z przyswajaniem laktozy jest więcej niż ścisłych wegan. Ale np. należąca do Coca-Coli linia produktów o nazwie Innocent Drinks znika z brytyjskich sklepów. „Niewinne napoje”... Rozumiem komunikat, chodzi o picie zamienników mleka bez wyrzutów sumienia z powodu koszmarnych warunków, w jakich żyją mleczne krowy. Niewinność jednak pod patronatem wszechświatowych promotorów raczej marnej odżywczo brązowej cieczy masakrującej receptory kolejnych pokoleń cukrem – to brzmi w moich uszach perwersyjnie.

Spadek sprzedaży niewiniątek zarówno ich zwolennicy, jak i ci, co widzą w nich groźne progresywne dziwadła, wyjaśniają najprościej: inflacją, spadkiem siły nabywczej, kurczeniem się wolnej gotówki na rzeczy relatywnie drogie. Ale to nie znaczy – twierdzą zwolennicy radykalnego porzucenia diety zwierzęcej – że ludzie z powodu chudych portfeli przestają jeść wegańsko. Tyle że wracają do podstaw, czyli warzyw i strączków, i gotowania od podstaw

w domu, bowiem czysto warzywna dieta jest „najtańsza z możliwych”. Czyżby? Wystarczy odrobina doświadczenia w prowadzeniu domu, by rozumieć, że cena detaliczna składowych to tylko jeden z elementów globalnego kosztu posiłku. Liczy się jeszcze ilość czasu na pozyskanie produktów, ich przechowywanie, wstępne przygotowanie i końcową obróbkę – czasu, którego ludzie mniej zarabiający na ogół mają za mało. Dlatego nawet w sezonie, gdy warzywa są tanie, zrobione porządnie ratatouille wychodzi *per saldo* znacznie drożej i jest mniej dostępne od gotowej mrożonej zapiekanki. I to nawet jeśli nie mamy w Polsce tego problemu, jakim są w USA tzw. pustynie żywnościowe, bo dwie główne sieci dyskontów są obecne praktycznie w każdej gminie ze swoją nie najgorszą ofertą świeżych warzyw i znośnego nabiału.

Nie widziałem nigdzie udostępnionych publicznie w ludzkim języku symulacji realnej ceny domowego obiadu przygotowanego od zera, ani w Polsce, ani w tych paru krajach, których debaty o ekonomii politycznej jedzenia staram się uważnie śledzić. Nie wątpię, że to się na poważnych uczelniach robi, z użyciem porządnej metodologii, biorąc pod uwagę różne zmienne, także takie jak średnia stawka godzinowa za pracę na lokalnym rynku. Jak na razie, jestem dość spokojny, że intuicyjna zasada, którą kiedyś tu formułowałem – dziś trzeba być panem, by jeść jak chłop – jest wciąż słuszna. Trudno sobie wyobrazić bardziej przetworzone i „sztuczne” pożywienie niż zamienniki mięsa. Może też i to wpływa na przyhamowanie ich ekspansji wśród ludzi mających dość czasu i zasobów, żeby jeść „świadomie”. ©®

Co to znaczy, że ratatouille robimy jak Pan Bóg przykazał? Nigdy dość przypominania: niezależnie od zmiennych proporcji warzyw, jakie podają różne tradycje lub „zeszyty babci” oraz nasze prywatne gusta, jedna jest żelazna reguła stanowiąca o sukcesie: każde z warzyw (cukinię, jeśli jest duża, warto pozbyć większości gąbczastego miąższu i gniazd nasiennych) obsmażamy na pierwszym etapie osobno. Łączymy dopiero na sam koniec, by się przegryzły, i dopiero wtedy dochodzi pomidorowy przecier lub świeżo podduszone pomidory (co jeszcze we wrześniu ma sens). To oczywiście komplikuje cały proces, więcej jest patelni do zmycia, chyba że robimy wszystko sukcesywnie w jednej, przekładając już wstępnie podsmażone składniki do misek i uzupełniając olej. Wcale niekoniecznie oliwę z oliwek; jeśli chcemy np. mocno zesmażyć paprykę, to dobry olej słonecznikowy sprawdzi się lepiej niż zły jakości oliwa z oliwek z drugiego tłoczenia, bo ta z pierwszego, virgin, na pewno do tego nam nie posłuży.



EMOCJE Z KRWI I KOŚCI

TINA OZIEWICZ, PISARKA:

Sfera emocjonalna nigdy nie powinna być traktowana jako coś wadliwego czy niepożądanego. A jeśli jest bogata i złożona, to tylko dobrze.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: To ma znaczenie, że cała jesteś na niebiesko?

TINA OZIEWICZ: Jako nastolatka i wczesna dwudziestka ubierałam się przeważnie na czarno. Włosy też miałam czarne. Dalej dużo na biało. Oba są dla mnie kolorami ciszy, rzeczy niewysłowionych. Potem, przez ponad dziesięć lat, chodziłam ubrana we wszystkie odcienie szarości. Szarość jest jak bezpieczna przystań, w której można się schronić, kiedy nad życiem przetaczają się burze z gromami. Niebieska jestem od... niech policzę... siedmiu lat. Taki etap.

Biały etap był w czasie studiów filozoficznych?

Och, to była jedna wielka pomyłka.

Filozofia?

Wszystko, co mówię i piszę, jest bardzo odległe od tego, czego nas tam uczyli. Nie pasowałam do tego miejsca, słyszałam to zresztą od wykładowców: „Kto panią tu wpuścił?”. Z filozofii wyniosłam wrażenie, że tam najbardziej ceni się „mózg w słoiku”.

A Ciebie najbardziej interesowały uczucia?

Próby ogarnięcia ludzkiego doświadczenia w świecie, tak bym to ujęła. Najstarsze, najważniejsze pytania. Ale żeby je zadawać, trzeba być zanurzonym w życiu. Do „mózgu w słoiku” nie zwrócimy się po rady, bo taki umysł byłby niepoczytalny. Niezaburzona emocjonalność jest warunkiem racjonalnego



myślenia, pisze o tym neurochirurg Antonio Damasio. Dlatego np. sztuczna inteligencja nie jest i nie będzie rozumna, bo nie ma rozumu bez inteligencji emocjonalnej.

Chodzi o empatię?

To, że świat odczuwamy, a nie wyłącznie analizujemy – odróżnia istotę żywą od sztucznej inteligencji. Choć pewnie wszyscy znamy osoby, które emocje blokują.

W biznesie akurat to się przydaje.

„Świat należy do tych, którzy nie czują”, jak napisał Fernando Pessoa w „Księdze niepokoju”. Trudno dyskutować z tą gorzką obserwacją, bo takie jednostki często wygrywają. Ale paradoks tkwi w tym, że to dzięki ludziom znajdującym się po przeciwnej stronie skali – liczącym się z uczuciami innych, nie muszącym za wszelką cenę być na eksponowanych stanowiskach czy jeździć lamborghini – ten świat nadal się kręci. To ci ludzie stanowią społeczne spoiwo, biorą udział w przepływie życiodajnej energii między nami.

Idealizujesz.

Fakt: sprawę komplikuje to, że spory procent osób z przerostem ego i niedostatkami empatii zajmuje wszystkie wierzchołki świata. Gdy Pessoa pisze, że świat należy do nieczujących, podaje przykład człowieka, który właśnie ubił świetny interes i jego radości nie mąci fakt, że posłał czyjaś rodzinę na bruk, oraz przykład generała, który przesuwa pionki na mapie



ZUZANNA STRASZEWSKA / ARCHIWUM PRYWATNE

TINA OZIEWICZ jest pisarką i tłumaczką. Z wykształcenia filozofka i anglistka, doktor nauk humanistycznych. Autorka jedenastu książek dla dzieci. „Co robią uczucia?” (2020) z ilustracjami Aleksandry Zajac przelożono na 27 języków. „Co lubią uczucia?” (2022) przetłumaczono na 11 języków. W październiku w wydawnictwie Dwie Siostry ukaże się kolejna książka z tego cyklu: „Co uczucia robią nocą?”.

jest przesycona hermetycznym żargonem, zrozumiałym wyłącznie dla wtajemniczonych. A Simone Weil pisała prosto o najważniejszych rzeczach. Do dziś pamiętam jej definicje. Rzeczywistość: to, czego metoda nie pozwala nam przewidzieć. Piękno: to, czego się nie chce zmieniać. Dobro: nie chcieć zmieniać czynem. Prawda: nie chcieć zmieniać myślą.

Definiowała ludzkie istnienie w różnych wymiarach – społecznym, duchowym, moralnym, psychologicznym.

Pisanie książek dla dzieci zaczęło się w okresie białym?

Mamą zostałam pod koniec studiów. I, jak to mama, zaczęłam opowiadać bajki. Najczęściej fabuły pełne absurdałnych perypetii. O, jak taka historia: ten leżący na stole czarny dyktafon, na którym nagrywa się nasza rozmowa, zakochuje się w... tej srebrnej komórce. I stwierdza, że przecież nie może być od niej mniejszy, musi urosnąć, więc rusza w epicką podróż w poszukiwaniu ładowarki, by набrać sił i zaimponować jej kompletem zielonych pasków na wskaźniku doładowania. Takie historijki zazwyczaj wymyślałam, o zwykłych przedmiotach będących pod ręką.

A jakbyś miała opowiedzieć bajkę o niebieskowlasej Tinie, która więcej od innych widziała i czuła?

Nie umiałabym pociągnąć tak rozpoczętej opowieści.

Bo wesołe bajki piszą smutni ludzie?

Kiedy z moim dzieckiem wygłupiałam się, bawiłam, przytulałam, to, nieświadomie, poddawałam terapii moje wewnętrzne dziecko... Mogłam podarować sobie trochę tego, czego mnie samej brakowało w dzieciństwie.

„Wewnętrzne dziecko” naprawdę istnieje? Kiedy człowiek dorośleje, może już wyłącznie fantazjować na temat tego, co czuł, kiedy był mały.

Tu bardziej chodzi o to, że wracasz do sytuacji, w której czułaś lęk, ból i bezradność. I próbujesz przepracować ten stres z przeszłości, choć nadal tkwiący w twoim ciele. Teraz możesz sobie to już wytłumaczyć z perspektywy osoby dorosłej: oczywiście, że się bałaś, bo to było straszne. Wiele wewnętrznych dzieci, które spotkała trauma, tkwi zawieszonych w stanie letargu jak królewna Śnieżka w szklanej trumnie, dopóki ktoś nie przyjdzie i nie potwierdzi prawdziwości ich doświadczenia.

Jak przebiega spotkanie z naszym wewnętrznym dzieckiem?

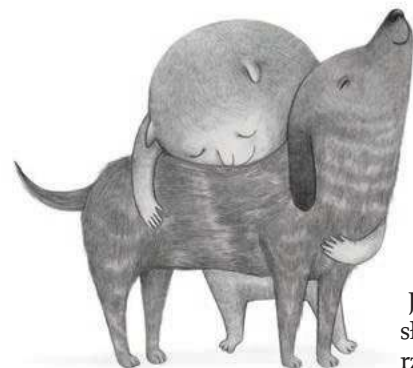
To zazwyczaj nic sielankowego, czasami przypomina natknięcie się na dziecko wychowane przez wilki czy oblaskawianie dzikiego zwierzątka, które nie ufa ludziom. Ale są też osoby, które zachowują w sobie dziecięcość przez całe życie. →

w trakcie kampanii wojennej. Gdyby ci „ludzie sukcesu” mieli empatię, nie mogliby przecież robić tego, co robią, i odnosić sukcesów. Ale czy problem nie leży w tym, jak definiujemy sukces? Przecież to, co oni robią, jest przerażające. Serio, chciałabyś znaleźć się z którymś z nich w trudnej życiowej sytuacji? Dajmy na to, jako rozbitkowie w szalupie?

Ludzie empatyczni wcale nie muszą być super przyjacielscy, wylewni czy towarzyscy, równie dobrze mogą być introwertycznymi ponurakami. Lecz w sytuacjach kryzysowych pomogą. Jeśli spotkają osobę, która ma problem, to nie zostawiają cię na mrozie, zachowują się przyzwoicie, dadzą trochę nadziei. Mówię tu o zwykłych ludzkich odruchach.

Teraz rozumiem, dlaczego pracę magisterską i doktorat poświęciłaś Simone Weil, dla której zdolność współodczuwania była istotą człowieczeństwa.

Jej rodzaj wrażliwości bardzo mnie pociągał. Ożywczy był też sposób pisania Weil – oszczędny, lapidarny. Jestem zwolenniczką prostoty słowa wyrażającego złożoność rzeczy. Filozofia akademicka





Ilustracje
ALEKSANDRY ZAJĄC

pochodzą z książki
„Co robią uczucia?”.
Dziękujemy wydawnictwu
Dwie Siostry
za ich udostępnienie.



Gościnność piecze ciasto.



JACEK TARAN

→ Sądzę, że oni nigdy nie przekroczyli pewnego progu traumatycznego przerażenia, odrzucenia, skrajnej bezradności czy stanięcia twarzą w twarz ze złem. Jest w nich pierwotna odwaga do odkrywania świata, ludzi, siebie. Ich wewnętrzne dziecko nie jest odpryskiem czegoś traumatycznego, nie jest od nich oddzielone jak odłamek szkła z rozbitej szyby, ale całkowicie z nimi zintegrowane. Myślę o nich: „szczęściarze”.

A o czym myślałaś, pisząc „Co robią uczucia” i „Co lubią uczucia”? O dorosłych? O dzieciach? O sobie?

O uczuciach, po prostu. Zastanawiałam się nad takimi częściami we mnie, które w tej chwili są wyciszone, dawno ich nie czułam. Kiedy nabierało się ich kilkanaście, pokazałam to wydawnictwu Dwie Siostry. Spodziewałam się odpowiedzi: „To się nie nadaje na książkę”. A przeczytałam: „Przyjmujemy”. A to nie było nawet pisane jako książka.

Pierwsze zapisane uczucie?

„Odwaga odpoczywa w samym środku lasu”.

Odwaga była wówczas dla Ciebie sprawą najistotniejszą?

A kto jej nie potrzebuje? W świecie, który należy do nieczujących?

Ja najbardziej odnajduję się w naburmuszonej dumie, która „siedzi w wysokiej wieży na szczycie szklanej góry”.

To jedno z moich ulubionych uczuć. Zaprzysiężam się z nią na nowo w dorosłości. Nawet napisałam o niej opowiadanie, które może trafi kiedyś do jakiejś książki. Siedzę z dumą w tej jej wysokiej wieży i rozmawiamy o tym, jak nas boli głupota, złośliwość, szyderstwo i pogarda. Rozumiem ją. Chciałabym mieć jej więcej w sobie. Żałuję, że tak długo ją w sobie blokowałam. Życie jest pełne różnych paskudnych sytuacji, a duma, której nie należy mylić z pychą i butą, jest jednym z naszych wewnętrznych strażników, którzy sygnalizują nam: „Pora stąd wyjść”. Bo to nie jest tak, że ktoś sobie siedzi z zadartym nosem na szczycie szklanej góry i patrzy na świat z tej bez-

piecznej perspektywy. Czasami ta wysoka skała może być jedynym bezpiecznym miejscem. Potrzebujemy wiedzieć, że mamy prawo uciec w górę, gdy ktoś depta naszą godność. Nie pamiętam, żebym kiedyś żałowała, że się od czegoś zdystansowałam i wspięłam wyżej, a wiele razy przyszło mi żałować, że nie słuchając wewnętrznego głosu zeszałam na dół. Teraz wiem, że duma jest potrzebna do bronięcia swoich granic, nawet jeśli wiesz, że coś przez to przegrasz.

Czyli?

Zdajesz sobie sprawę, że postępowanie zgodne z twoim wewnętrznym kompasem skończy się stratą czy porażką, i jednocześnie to jedyna możliwość. Bo do zwycięstwa wiedzie wyłącznie kompromis, który uważasz za zgniły. W takich chwilach duma, która ci mówi: „Nie, to nie dla mnie. Nie zasługuję na coś takiego. Jestem więcej warta”, pomaga się nie zagubić. Nie jest dobrze, gdy jest to jedyny głos, którego słuchasz, ale on też powinien być dopuszczony do dyskusji, bo czyż chór głosów namawiających na zgniły kompromis nie jest przypadkiem wystarczająco liczny i głośny?

Jak na książki o uczuciach reagują dzieci?

Naturalnie: jakby weszły w bezpieczną przestrzeń, w której niczego, co mają w sobie, nie muszą się wstydić.

A dorośli?

Bywają mocno poruszeni. Jakby weszli do zakazanego miejsca, zamkniętego przed nimi przez większość życia. W naszym i wcześniejszych pokoleniach często nie wolno było ujawniać uczuć, nawet zupełnie uzasadnionych, bo mogłeś się spotkać z krytyką i wyśmianiem. Skoro jako chłopiec czułeś strach przed pójściem do dentysty, to znaczy, że byłeś „babą”. Z kolei dziewczynki na fotelu u dentysty słyszały: „To jest ból? Czekaj, aż będziesz dziecko rodzić!”. Teraz, jako dorośli, muszą przedzierać się do swoich uczuć przez gęste zasieki. A przecież sfera emocjonalna nigdy nie powinna być traktowana jako coś wadliwego czy niepożądanego. I jeśli jest bogata i złożona, to tylko dobrze.

Dostajesz w tej sprawie listy?



Jeśli ktoś musiał
zaprzeczać swoim
uczuciom, teraz
zaprzecza uczuciom
swojego dziecka
i myśli, że na tym
polega wychowanie.
Zablokowani rodzice
nie życzą sobie, by ich
dziecko okazywało
emocje.

I to z wielu krajów – z Polski, z Francji, Niemiec, z Turcji, ze Stanów. Piszą ludzie w różnym wieku, płci, zawodów. Najczęściej terapeuci, psycholodzy, rodzice. Piszą, żeby mi dać znać, jak bardzo są wdzięczni za książkę o uczuciach. Że w dzieciństwie od nikogo o tym nie słyszeli. Jakby to był wstydlivy temat. Albo jakby to z nimi było coś nie tak. Teraz czytają tę książkę swoim dzieciom i swojemu wewnętrznemu dziecku. Prawda jest taka, że całe pokolenia były wychowywane wbrew elementarnej wiedzy z zakresu psychologii rozwojowej i kolejne pokolenia powielały błędy poprzednich generacji. Jeśli ktoś sam musiał zaprzeczać swoim uczuciom, teraz zaprzecza uczuciom swojego dziecka i myśli, że na tym polega wychowanie. Niedojrzali, zablokowani rodzice sobie nie życzą, by ich dziecko okazywało emocje. Bo uczucia są przeciwieństwem karności. Są miarą wolności.

Budują autonomię?

Poczucie tożsamości, zaufanie do siebie, pewność siebie, niezależność. A wielu dorosłych dla własnego komfortu blokuje dzieciom ruchliwość, ciekawość, emocjonalność. Łatwiej dziecko skontrolować, jest dziesięć razy mniej pracy, nie trzeba za maluchem biegać i odpowiadać na pytania.

To słaby argument na wrogość wobec uczuć.

Duża część nieufności wobec uczuć bierze się ze zrównywania uczuć z postępowaniem. To są dwie różne rzeczy. Nie ma jednoznacznego przejścia między tym, co czujesz, a tym, co zrobisz. Ktoś np. poczuł złość. Ale to nie oznacza, że taki człowiek zaraz rzuci talerzem o ścianę. Może zrobić coś zupełnie innego: wsiada na rower, włącza sobie muzykę w słuchawkach, idzie pobiegać, wypala na balkonie papierosa. Wzorem dojrzałej emocjonalności wcale nie są osoby, które skrajnie manifestują



swoje uczucia – nieokiełznaną furję, bezbrzeżne niezadowolenie, mega foch – tylko osoby, które są na tyle samoświadome, że same przeżywają swoje uczucia, a nie każą innym przeżywać swoich uczuć. Sterroryzowane tym otoczenie kuli się w sobie, chodzi na paluszkach, boi się cokolwiek powiedzieć, a ci radykalowie uczuć, którzy narzucają burzowy klimat całemu domowi czy miejscu pracy, wcale nie są uczuciowcami, tylko przemocowcami emocjonalnie. „Miałem ciężki dzień w pracy, więc teraz urządzę wam w domu piekło” jest symptomem niedojrzałości emocjonalnej, a nie związkiem przyczynowo-skutkowym. W ogóle uczucia mają złą prasę, używane są do brudnej roboty.

Brudnej roboty?

Mają uzasadniać zachowania przemocowe. Przykład skrajny: strzelanina w szkole. Nie dostajemy informacji na temat tego, w jakim stopniu człowiek dokonujący zamachu cierpiał na anomalie psychiczne: że sprawiała mu przyjemność dominacja oraz sadystyczne zachowania. Najczęściej słyszymy, że ten ktoś otworzył ogień, bo koledzy się z niego śmiali, rodzice nie poświęcali mu czasu, nauczycielka traktowała z wyższością. Zaznane upokorzenie, opuszczenie i niesprawiedliwość ma rzekomo automatycznie prowadzić do tego, że taka osoba zaczyna mordować? Przecież w każdej szkole jest kilkadziesiąt nastolatków, którzy przeżywają trudne chwile, dla których rodzice nie mają czasu, rówieśnicy przeżywają, kogoś zostawiła dziewczyna. Ludzie zaznają najgorszych form rozpaczki już jako dzieci.

I jak to się przekłada na krzywdzenie innych?

Niestety, sprowadza się do równania: przeżyjesz coś złego, to staniesz się zły, byłeś bity, będziesz bił. A to nieprawda. Gdyby było prawdą, że „skrzywdzeni krzywdzą”, to wszyscy byśmy się dawno pozabijali. Ziemia byłaby pusta, bo nie wiem, czy jest ktoś, komu nigdy w życiu nie przydarzyła się jakaś krzywda czy trauma. To nie nadmiar uczuć jest źródłem przemocy, tylko brak empatii – nieodczuwanie tego, jak w tej sytuacji może czuć drugi człowiek. Empatia jest wewnętrznym hamulcem blokującym nieludzkie zachowania.

© Rozmawiała KATARZYNA KUBISIOWSKA



TOMASZ

Stawiszyński: Pragnienie rozstrzygnięcia



PAMIĘTACIE? PIERWSZE GODZINY, DNI, tygodnie, miesiące wojny w Ukrainie – czy raczej: barbarzyńskiej napaści Rosji – upływały nam w atmosferze napięcia i oczekiwania na momentalny, radykalny zwrot akcji, jakiś twist, który to wszystko

nagle odmieni, zakończy. W tę czy tamtą stronę. Zaraz po obudzeniu – nerwowe przeglądanie wiadomości. Przesuwające się po facebookowych i twitterowych tablicach posty, z których wynikało, że przełom jest tuż. Opatrywane setkami, tysiącami lajków i komentarzy wpisy dowodzące, że rosyjska armia za chwilę boleśnie skonfrontuje się z rzeczywistością. Że Putin, na podobnej zasadzie (fantazja vs. rzeczywistość), przeszacował, zapędził się, zapamiętał. Popadł w szaleństwo. I działa wbrew woli oraz interesom kremłowskiej elity. Wbrew woli oraz interesom rosyjskiej biznesowej elity. Wbrew woli oraz interesom Chin. Dlatego właśnie jego dni są policzone, podobnie jak policzone są dni „specjalnej operacji wojskowej”. Jeszcze tylko trochę – i będzie po sprawie.

Pamiętacie? Na podstawie precyzyjnych wyliczeń eksperci przekonywali, że to nie potrwa – bo nie może potrwać – długo. A jeśli nawet – dodawali – nie parametry militarne okażą się decydujące, to bez wątpienia zadziałają czynniki ekonomiczne. Oto bowiem (pamiętacie?), poczynszy od końca lutego 2022 r., jedna za drugą zaczęły się z Rosji wycofywać kolejne korporacje i firmy. Jeden za drugim kolejne kraje ogłaszały sankcje wymierzone w agresora. Żadna gospodarka nie wytrzyma tego rodzaju deprywacji i niechybnie zaraz runie – słyszeliśmy. Wraz z nią natomiast – nie może być inaczej – runie zbrodniczy reżim. O ile, naturalnie, świat nie pograży się najpierw w nuklearnej pożodze. Od której, jak zresztą słusznie oceniali ludzie zajmujący się szacowaniem tego typu zagrożeń, znaleźliśmy się bodaj najbliższej od czasów kryzysu kubańskiego.

Cóż, minęło półtora roku i – przynajmniej na razie – nie zanoszą się na żadne spektakularne zakończenie. Media, nie

tylko społecznościowe, niekiedy jeszcze wykazują żywsze zainteresowanie problematyką wojenną – zazwyczaj, kiedy wydarzy się coś dającego przerobić się na efektowny nagłówek (bo w sieci czyta się już dzisiaj prawie wyłącznie nagłówki) – ale emocje ewidentnie przygasły. A jeśli nawet gdzieś się periodycznie kondensują, to częściej np. przy okazji nawiedzających południe Europy upałów i pożarów niż przy okazji ukraińskiej ofensywy czy też dronów, którym udaje się omijać obronę przeciwlotniczą Moskwy.

Specyficzna to, ale i znana dobrze dynamika: najpierw uniesienie, a potem opadanie, powrót do codzienności, habituacja. Nie tylko przy okazji wojny w Ukrainie możemy ją w sobie – i dookoła siebie – obserwować, ale także np. przy okazji rozmaitych politycznych afer. Pamiętacie? Emocjonalna atmosfera zazwyczaj na początku sięga zenitu, żeby następnie przejść w stan całkowitego niemal uśpienia i zobojętnienia. Ileż to już było „definitywnych kompromitacji” tego czy tamtego polityka, tej czy tamtej ekipy, ile „końców demokracji”, ile „ostatecznych upadków”? No właśnie.

Co jest jednak złego w tym – można by odpowiedzieć – że tak bardzo pragniemy szybkich rozwiązań, momentalnych przesilen? To przecież zrozumiałe i jak najbardziej ludzkie. Otóż mam w tym względzie nieco odmienne zdanie. Nie mogę się mianowicie oprzeć wrażeniu, że efektem ubocznym tego naszego ciągłego zniecierpliwienia nie jest wyłącznie frustracja spowodowana tym, że różne sprawy, które chcielibyśmy natychmiast załatwić, i tak ciągną się latami. Efektem ubocznym – najpoważniejszym – jest raczej niezdolność do rozpoznawania, z czym faktycznie mamy do czynienia. I – co za tym idzie – niezdolność do adekwatnego działania.

A może w ogóle zachodzi tutaj specyficzny paradoks: pozbywając się infantylnej fantazji o możliwości natychmiastowego rozstrzygnięcia złożonych problemów mogliśmy sprawniej, a zatem... szybciej je rozwiązywać? ©

BARTOSZ MINKIEWICZ



Data Center dla Twojego biznesu w centrum Krakowa

Najważniejsze cechy **S-NET Data Center**

Sprawdź, jak wygląda nasze Data Center w pigułce.



Gwarancja SLA



Obiekt klasy Tier 3



Transmisja danych
do krajowych operatorów



Samodzielny dostęp
do szaf w trybie 24/7



Redundantne połączenie
z siecią Internet



Monitoring 24/7
oraz opieka specjalistów

Bezpieczeństwo danych

Nowe **S-NET Data Center** zostało wyposażone w najnowszą generacji systemy przeciwpożarowe, chłodzenia oraz niezależne systemy zasilania.



Systemy
przeciwpożarowe



Systemy
chłodzenia



Niezależne
zasilanie



s-net.pl/data-center



Skontaktuj się z nami

+48 **12 395 71 00**

MATTEO BOCELLI



A Night With Matteo WORLD TOUR

11.10.2023
ICE KRAKÓW

14.10.2023
COS TORWAR, WARSZAWA

16.10.2023
HALA STULECIA, WROCŁAW

BILETY: BILETSERWIS.PL

WWW.MATTEOBOCELLI.IT



Prestige
MJM

bs BILET
SERWIS

REGENT
WARSAW HOTEL

WŁOCHOWSKA TROJAN POKOSZYŃSKI VIVA! PANI STYL onet preart vixon

ANDREA BOCELLI

LIVE IN CONCERT - 24 SIERPNIA 2024
PGE NARODOWY, WARSZAWA



BILETY: BILETSERWIS.PL

ALNORD KAPITAŁ WMF UNIVERSAL KMM ANDREABOCELLI.COM

Prestige
MJM

bs BILET
SERWIS

PGE
NARODOWY

REGENT
WARSAW HOTEL

ZET WŁOCHOWSKA onet VIVA! TROJAN POKOSZYŃSKI preart vixon